

PRZEGLĄD POŻARNICZY

116^{lat} 12 / GRUDZIEŃ 2022



Niezmienne z Wami

Spis treści

6 Ostatnie dni dawnego ładu	66 Wgląd w Przegląd
9 Retrospekcja w Polskę 1912	70 Strażak z przypadku, filatelista z wyboru
12 Gaszenie pożarów w latach 1910-1914	72 Przez ocean historii
18 A.D. 1912 Codziennosc strazacka	74 Humanista w ciele inzyniera
23 Historia podręcznego sprzętu strażackiego	76 W świecie sztucztwa
28 Akcje 110-lecia 28 Błona nitrocelulozowa: piekielny wynalazek 30 Koszmar w kopalniach 33 Pożar w Yellowstone: triumf przyrody? 36 Hiszpania: BLEVE na kempingu 38 Czarne dni nad Wisłą	78 Wiedziałem, czego chcę
43 Historia pewnego ubrania	80 Prasa pożarnicza – wycinki z historii
48 Dzieje motoryzacji	83 Reprint pierwszego numeru PP
63 Żywoty równoległe	111 Fachmanówka strażacka 12/2022



Wydawca
Komendant Główny PSP

Redakcja
00-463 Warszawa, ul. Podchorążych 38
tel. 22 523 33 06
e-mail: pp@kgpsp.gov.pl, www.ppoz.pl

ZESPÓŁ REDAKCYJNY
Redaktor naczelna
bryg. Anna ŁAŃDUCH
tel. 22 523 33 07 lub tel. MSWiA 533-07
alanduch@kgpsp.gov.pl

Zastępca redaktor naczelnej
kpt. Emilia KLIM
tel. 22 523 33 06 lub tel. MSWiA 533-07
eklim@kgpsp.gov.pl

Sekretarz redakcji
Anna SOBÓTKA
tel. 22 523 34 27 lub tel. MSWiA 534-27
asobotka@kgpsp.gov.pl

Redaktor
Marta GIZIEWICZ
tel. 22 523 33 98 lub tel. MSWiA 533-98
mgiziewicz@kgpsp.gov.pl

Administracja, reklama, strona www
Katarzyna GRUSZCZYŃSKA
tel. 22 523 33 06 lub tel. MSWiA 533-06
pp@kgpsp.gov.pl

Korekta
Dorota KRAWCZAK

Rada redakcyjna
Przewodniczący:
gen. brygadier Andrzej BARTKOWIAK
Członkowie:
st. bryg. dr inż. Paweł JANIK
nadbryg. dr inż. Mariusz FELTYŃOWSKI,
prof. uczelni
st. bryg. Marek PIEKUTOWSKI
st. bryg. Jacek ZALECH
st. bryg. Marcei SOBOL
st. bryg. Paweł ROCHAŁA
bryg. Karol KIERZKOWSKI
bryg. Rafał JURECZKO

Prenumerata
Cena prenumeraty na 2022 r.:
rocznej – 96 zł, w tym 8% VAT,
półrocznej – 48 zł, w tym 8% VAT.
Formularz zamówienia i szczegóły dotyczące
prenumeraty można znaleźć na
www.ppoz.pl w zakładce Prenumerata

Reklama
Szczegółowych informacji o cenach
i o rozmiarach modułów reklamowych
w „Przeglądzie Pożarniczym” udzielamy telefonicznie
pod numerem 22 523 33 06
oraz na stronie www.ppoz.pl
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
oraz reklam.
Redakcja decyduje o publikacji nadesłanych artykułów.
Materiały niezamówione nie będą zwracane. Redakcja
zastrzega sobie prawo skracania i redakcji tekstów oraz
zmiany ich tytułów.

Projekt i skład
Grafixpol, www.grafixpol.com

Druk
Zakłady Graficzne TAURUS Roszkowsky Sp. z o.o.
Kazimierzów, ul. Zastawie 12
05-074 Halinów
Nakład: 7700 egz.



Nasza okładka:
Strażacy w mundurach z różnych epok.
Od lewej stoją: st. bryg. Marcin Przybyłowski,
pchor. Marta Patyk,
st. kpt. Bartosz Pawnik, Arkadiusz Ogrodowski.
Od lewej klęczą:
bryg. Włodzimierz Górzyski,
mł. asp. Grzegorz Stój
fot. Agnieszka Kubitus / Quadrat Studio

Anna Łańduch

15. redaktor naczelny,
3. redaktor naczelna



Drodzy Czytelnicy!

Obchodzenie własnej rocznicy zawsze jest nieco krępujące, choć bywa i miłe. Zdecydowaliśmy się na ten numer specjalny nie po to, żeby stworzyć autopromocyjną celebry, ale by przypomnieć historię straży, której czasopismo niezmiennie towarzyszy już od 110 lat.

A taki staż to ewenement, z którego często nie zdajemy sobie sprawy. Co może wydarzyć się przez 110 lat? Wszystko: zniknie kraj, powstanie nowy, wybuchną dwie wojny światowe i nadejdą inne kataklizmy, przez glob przetoczy się kilka poważnych kryzysów gospodarczych, pandemii, powstaną i upadną dyktatury, zmieni się pozycja kobiet, powstaną e-czasopisma... Tym bardziej imponuje fakt, że mimo tylu zawieruch „Przegląd Pożarniczy”, nie licząc wojen, ukazuje się regularnie i ma się dobrze – w przeciwieństwie do innych czasopism o tematyce technicznej, które zakończyły swój żywot na różnych zakrętach zmian i transformacji. Owszem, podtapiały nas różne nurty ideologiczne, jednak zatopić nie zdołały. Na szczęście.

Kolejny fenomen to charakter periodyku. Od początku PP był pisany dla strażaków i przez strażaków. Od zawsze stanowił forum wymiany wiedzy, poglądów i doświadczenia ludzi straży, którzy wykraczali poza ramy zawodowej poprawności i dawali z siebie więcej. Tak jest i dziś. Przy czym nie zapominajmy, że jakość produktu prasowego jest wypadkową talentów autorskich i redaktorskich. A redakcja była zawsze kameralna (dziś liczy pięć osób), co oznacza mrówczą pracę pod rygiem goniących terminów. W tym miesiącu redakcja daje od siebie jeszcze więcej – numer 112-stronicowy zamiast 56-stronicowego. Traktujemy jubileusz jako okazję do pokazania ścieżki, którą kroczyło pożarnictwo. Stąd dobór treści pokazujących przeobrażenia w motoryzacji, umundurowaniu, środkach gaśniczych. Staraliśmy się także pokazać kontekst historyczno-społeczny, w którym powstawał „Przegląd Pożarniczy”. Dopelnieniem całości jest reprint pierwszego numeru czasopisma. To wyjątkowa gratka, zważywszy że zachowało się zaledwie kilka oryginalnych egzemplarzy.

Jubileusz jest też jedną z nielicznych okazji do odnowienia deklaracji. Nie popadamy w samozachwyty, ale zdajemy sobie sprawę, że PP stanowi czasami jedyne źródło pożarniczej wiedzy historycznej. Uprawnia nas do tego stwierdzenia liczba próśb o udostępnienie archiwalnych wydań. Nasze łamy to trwałe świadectwo przeszłości. Dbajmy o nie wspólnie. Piszmy dalej tę historię. Przez kolejne stulecia.

Podziękowania

Za 112 stronicami tego wydania kryje się praca wielu ludzi, którym chcieliśmy podziękować za życzliwość, wsparcie i pomoc.

Dziękujemy Komendzie Miejskiej PSP w Warszawie, a szczególnie panu Arkadiuszowi Ogrodowskiemu, za pomoc w zorganizowaniu okładowej sesji fotograficznej oraz wzięcie w niej udziału. Nie byłaby ona możliwa gdyby nie pan mł. asp. Grzegorz Stój z Izby Historii Ratownictwa OSP Wesoła, który udostępnił historyczne umundurowanie i sprzęt, a także zgodził się pozować. Dziękujemy też pozostałym modelom: pani pchor. Marcie Patyk – studentce trzeciego roku SGSP, panu bryg. Włodzimierzowi Górzyskiemu z Biura Edukacji KGPSP, panu st. bryg. Marcinowi Przybyłowskiemu z Biura Planowania Operacyjnego oraz panu st. kpt. Bartoszowi Pawnikowi z Biura Prawnego. Nadto panu st. bryg. Marcelemu Sobolowi – za wypożyczenie munduru do sesji.

Szczególne podziękowania należą się Muzeum w Łowiczu. Udostępniło nam nieliczne już utrzymane przy życiu egzemplarze pierwszego wydania PP, które posłużyły do stworzenia reprintu. Z tak miłym i pomocnym podejściem nieczęsto mamy do czynienia. Dziękujemy także bibliotece Szkoły Głównej Służby Pożarniczej za dostęp do historycznych numerów.

Panowie Leszek Piekarski i kpt. Tomasz Banaczkowski służyli nam nieocenionym wsparciem technicznym przy przygotowaniu skanów starych wydań. Także im serdecznie dziękujemy.



Szanowni Państwo!

Ten rok rocznic zamykamy szczególnym wydarzeniem. Nasz „Przegląd Pożarniczy” 15 grudnia kończy 110 lat. Wiele się zmieniło od czasów, kiedy Bolesław Chomicz i Józef Tuliszkowski założyli czasopismo mające towarzyszyć strażakom w podnoszeniu ich kwalifikacji. Czy spodziewali się, że przetrwa tak długo? Tego nie wiemy, ale z dumą odnosimy się do faktu, że możemy kontynuować dzieło naszych wielkich poprzedników. Podkreślimy, że to spore osiągnięcie, zważywszy że tak wiele czasopism zginęło w zawieruchach historii lub ekonomii.

Rocznice uświadamiają, że nie byłoby teraźniejszości bez przeszłości i że obok refleksji, dokąd zmierzamy, powinniśmy mieć świadomość, skąd wyszliśmy. „Przegląd Pożarniczy” od jedenastu dekad ocala od zapomnienia to, co bezpowrotnie odchodzi w przeszłość: wydarzenia, akcje, dokonania pokoleń strażaków zawodowych i ochotników. To kopalnia wiedzy o przeobrażeniach organizacyjnych, zadaniowych i wizerunkowych formacji, rozwoju wiedzy z dziedziny pożarnictwa. Dla wielu z nas czasopismo to ma wymiar sentymalny, jest bowiem świadkiem wydarzeń, których sami byliśmy uczestnikami. Na łamach PP znalazły się analizy tragicznych i zarazem przełomowych akcji ratowniczych, jak ta podczas pożaru rafinerii w Czechowicach-Dziedzicach, powodzi tysiąclecia, a ostatnio relacje z pracy strażaków podczas pandemii oraz działań związanych z pomocą uchodźcom czy krajom dotkniętym kataklizmami. Od dekad czasopismo dokumentuje także niezwykle wkład strażaków ochotników w zapewnienie bezpieczeństwa społeczeństwu. Stara się wspierać słowem, wiedzą, poradami tę wyjątkową, bo bezinteresowną służbę tysięcy druhen i druhow.

Szczególną rolę PP odegrał przez ostatnie 30 lat istnienia Państwowej Straży Pożarnej. Opisywał jej tworzenie, potknięcia i sukcesy. Niejeden z nas stał się bohaterem artykułów czy ich autorem. Taki jest bowiem charakter tego czasopisma – to my, strażacy współtworzymy je, dzieląc się swoją wiedzą i doświadczeniem, odmiennym spojrzeniem, pomysłami i wizją. To z pewnością decyduje o sile periodyku – za jego wiarygodnością stoją kompetencje strażaków różnych pionów służby. Dzięki nim PP od lat jest nieocenionym forum edukacji i integracji strażaków z całego kraju, dokumentuje realia, ale i wytycza kierunki rozwoju formacji. Mam nadzieję, że to się nie zmieni. Niezmiennie więc zachęcam was, drodzy strażacy, do tworzenia publikacji i dziękuję za te, które znalazły się już na łamach. Nie ma lepszego forum wymiany doświadczeń niż PP.

Możemy się cieszyć własnym czasopismem dzięki pracy wielu pokoleń wydawców. To oni, mając świadomość roli, jaką PP odgrywa w pożarniczym środowisku, dbali o nieprzerwane ukazywanie się periodyku. Stworzyli warunki do pracy wielu pokoleń autorów, redaktorów, fotografów, korespondentów. Jako kolejny wydawca mogę zapewnić, że staram się ten dorobek wzbogacić i wspierać rozwój czasopisma. W kolejne lata wkraczamy z nową szatą graficzną i nowoczesną stroną internetową, która jest uzupełnieniem papierowych łamów i tworzy zasobną bazę wiedzy z różnych dziedzin ratownictwa. Niemala w tym zasługa zespołu redakcyjnego: redaktor naczelnej bryg. Anny Łańduch, kpt. Emilii Klim, Anny Sobótki, Marty Giziewicz i Katarzyny Gruszczyńskiej. Serdecznie dziękuję za ich pracę. Sprawne działanie, dobra organizacja, kreatywność to ich wielki atut i dowód, że zgrany oraz dobrze zarządzany zespół jest kluczem do sukcesu w wielu projektach.

Żyjemy w czasach, kiedy świat mediów zmienia się niemal z dnia na dzień. Zapewne i nasze czasopismo będzie ulegało przeobrażeniom, co naturalne i nieuniknione. Życzę mu jednak, aby przetrwało kolejne stulecia w dobrej kondycji intelektualnej, służąc następnym pokoleniom czytelników.

Kiedy wydano pierwszy numer PP, podobnie jak teraz zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Czas nadziei, wiary, miłości. I czas składania życzeń. Niniejszym czynię zadość tradycji i chciałbym z serca złożyć czytelnikom, strażakom Państwowej Straży Pożarnej, druhom i druhom ochotniczych straży pożarnych, pracownikom cywilnym PSP, autorom PP życzenia pomyślności i zdrowia. Życzę optymizmu i spokoju ducha w niespokojnych czasach oraz wiary w to, że swoim działaniem przyczyniamy się choć trochę do zmiany świata na lepsze. Niech będzie ona motorem napędzającym nas do działania i źródłem satysfakcji.

Komendant Główny
Państwowej Straży Pożarnej

gen. brygadier Andrzej BARTKOWIAK



Minister Spraw Wewnętrznych i Administracji

Mariusz Kamiński

Funkcjonariuszki i Funkcjonariusze Państwowej Straży Pożarnej, Druhny i Druhowie Ochotniczych Straży Pożarnych, Pracownicy Cywilni PSP,

grudniowy numer „Przeglądu Pożarniczego” jest w tym roku wyjątkowy. Świątujemy 110-lecie istnienia czasopisma, które ukształtowało wiele pokoleń wspaniałych strażaków. Wspominamy Bolesława Chomicza i Józefa Tuliszkowskiego – twórców „Przeglądu Pożarniczego”. 15 grudnia 1912 roku ukazał się pierwszy numer pisma, które było poświęcone strażom ogniowym, budownictwu ogniotrwałemu i ubezpieczeniom od ognia. Dzisiaj redakcja kontynuuje to dzieło i przypomina o najpiękniejszych momentach w historii formacji. Nie zapomina przy tym o strażackiej codzienności.

Państwowa Straż Pożarna i Ochotnicze Straże Pożarne odgrywają kluczową rolę w polskim systemie zarządzania kryzysowego. To strażacy są zwykle pierwsi na miejscu pożaru, wypadku czy innych zdarzeń, gdzie zagrożone jest ludzkie życie, zdrowie i mienie. Jako Minister Spraw Wewnętrznych i Administracji chcę podziękować Państwu za trud służby i wzorowe zaangażowanie w obowiązki.

Nasze myśli zmierzają już w kierunku Świąt Bożego Narodzenia, radosnego czasu, który spędzamy w gronie najbliższych. Gromadzimy się przy wigilijnym stole z dala od codziennych trosk i obowiązków. Życzę, by nadchodzące Święta przyniosły Państwu spokój i wiele wzajemnej życzliwości. Strażacka służba to nieustanne poświęcenie i niesienie pomocy innym. Wielu spośród Was spędzi te wyjątkowe dni, dbając o nasze bezpieczeństwo. Myślami będziecie jednak ze swoimi Bliskimi, którym również przekazuję wyrazy najwyższego uznania za wsparcie, które Wam okazują. Życzę spokojnej i bezpiecznej służby w tym wyjątkowym czasie.

Jeszcze raz gratuluję Redakcji „Przeglądu Pożarniczego” tak pięknego jubileuszu. Życzę Państwu, by kolejne numery czasopisma cieszyły się popularnością wśród strażackiej braci.

Z poważaniem

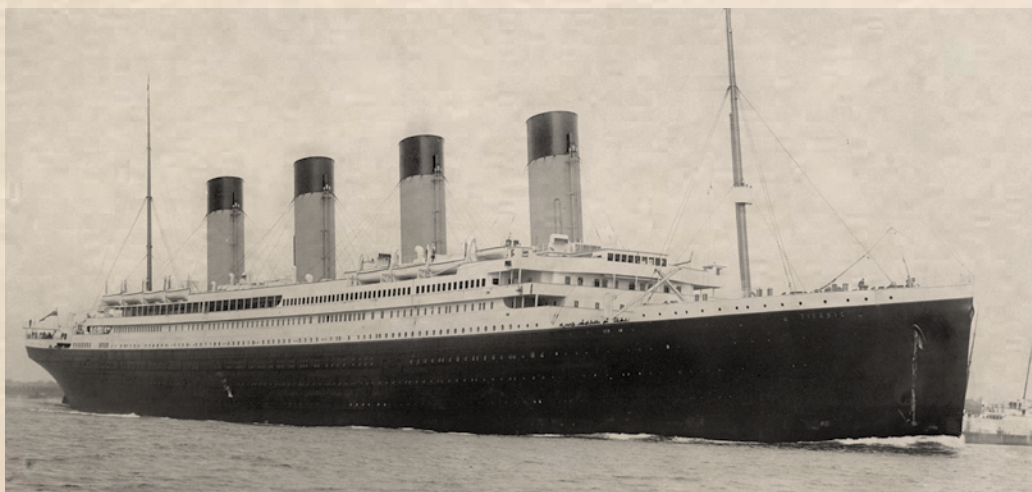
M. Kamiński

Minister Spraw Wewnętrznych i Administracji

Ostatnie dni dawnego ładu



Pędził przez Atlantyk – dumny i piękny, dzieło doskonałe ludzkiej myśli technicznej. A jednak w ciągu kilku godzin znalazł się na dnie oceanu. Wspaniały Titanic przepadł wraz z setkami ludzi 15 kwietnia 1912 r. Podobnie świat belle epoque pędził naprzód, pełen energii społecznej, naukowej, kulturalnej. Narody różnych części Europy, także bałkańskie, dążyły do tego, by stanowić o sobie. Sprzecznych sił było zbyt dużo – piękny świat przepadł w strasznej hekatombie wojennej lat 1914-1918.



RMS Titanic wypływa z Southampton 10 kwietnia 1912 r.
fot. Francis Godolphin Osbourne Stuart (1843-1923), Wikipedia (PD-US)

Anna Sobótka

Historia niezatapialnego

Titanic miał wraz ze swoimi braćmi – Olympikiem i Gigantikiem (późniejszym Britannikiem) ustanowić nowe standardy komfortu, a wręcz przepychu podróży morskiej przez Atlantyk. 10 kwietnia 1912 r. to imponujące dzieło ambicji i postępu technicznego wyruszyło z Southampton w swój dziewiczy rejs. Na pokład weszło 1324 pasażerów (oprócz nich podróżowało 892 członków załogi) z różnych grup i klas społecznych.

Pasażerów pierwszej klasy w istocie otaczał luksus: apartamenty urządzone w stylu Ludwika XVI czy empire, salony wypoczynkowe, restauracje, basen, salon fryzjerski – czego tylko dusza zapagnie. Największe wrażenie robiła dziobowa klatka schodowa w stylu króla Wilhelma i królowej Marii, z balustradą w stylu Ludwika XIV.

Niestety, projektując wnętrze statku, więcej uwagi poświęcono najdrobniejszym elementom wyposażenia niż szalupom ratun-

kowym. Ostatecznie na pokładzie znalazło się ich 20 – wystarczyło jedynie dla 1,1 tys. osób, czyli połowy pasażerów i członków załogi. Niestety pozwalało na to prawo. Jego aktualizacją zajęto się dopiero po katastrofie Titanica.

Po wypłynięciu z Southampton „niezatapialny” zawinął jeszcze do Cherbourga oraz Queenstown i otworzyła się przed nim otwarta droga przez Atlantyk do Nowego Jorku. Titanic pędził pełną parą ku swojemu tragicznemu przeznaczeniu. Pojawiały się co prawda ostrzeżenia, które mogły zmienić bieg historii, jednak nie spełniły swojej roli. Radiotelegrafści odebrali ostrzeżenie o polu lodowym od SS America, ale nie dotarło ono do kapitana statku – Edwarda Johna Smitha. Brakowało wówczas określonych zasad przekazywania do dowództwa wiadomości docierających za pomocą telegrafu. Radiooperatorzy zajmowali się przesyłaniem życzeń z niezatapialnego Titanica od pasażerów do ich krewnych i znajomych na lądzie.

Był 14 kwietnia, zbliżała się północ, gdy błogi sen o bezpieczeństwie i komforcie na środku oceanu przemienił się w koszmar. Kiedy marynarze na bocianim gnieździe zaalarmowali mostek kapitański o górze lodowej, pozostało już bardzo mało czasu na reakcję. Pierwszy oficer William Murdoch wydał sternikowi komendę skrętu w lewo, a maszynownia otrzymała polecenie „cała wstecz”. Niestety nie udało się uniknąć kolizji. Statek uderzył w górę lodową o godz. 23.40.

Pierwszą osobą, która uświadomiła sobie, że katastrofa jest blisko, był konstruktor Titanica Thomas Andrews. Gdy podzielił się tą wiedzą z kapitanem, przyszedł czas, by przygotować szalupy i ratować, kogo się da. Początkowo niewiele osób było chętnych, by zajmować w nich miejsce, nadal nie dowierzając, że grozi im niebezpieczeństwo. Jednak między godz. 1.00 a 2.00 w nocy, gdy dało się zauważyć przechylenie statku, przy szalupach zaczęli tłoczyć się przerażeni pasażerowie. Orkiestra grała bez przerwy, by zapobiec panice – i było tak do końca, do ostatecznego zatonięcia Titanica.

Po godz. 2.00 zawałił się najpierw pierwszy, potem drugi komin, przestał pracować generator prądu i zapadła ciemność. Statek przełamał się na pół – część dziobowa poszła na dno od razu, rufa zniknęła pod wodą około godz. 2.20. Ci, którzy ocalili w szalupach, czekali na statek Carpathia, który pędził na ratunek – dotarł do celu o godz. 4.00.

Przez kolejne dziesiątki lat rozważano przyczyny zatonięcia Titanica i okoliczności, które mogłyby temu zapobiec lub choćby umożliwić uratowanie większej liczby pasażerów.

Wiele zmienić mogło wcześniejsze dostrzeżenie góry lodowej, jednak warunki obserwacji były trudne, choć w tym przypadku pomogłoby ułożenie obserwatorów także na pokładzie. Mogli szybciej dostrzec górę lodową, obserwując nagle zniknięcie gwiazd nad horyzontem – świadczyłoby to o obecności przeszkody, która je zasłaniała.

Być może lepiej byłoby, gdyby statek nie próbował ominąć góry lodowej, tylko w nią uderzył, woda zalałaby mniej przedziałów i Titanic utrzymałby się na powierzchni. Nie sposób jednak winić Williama Murdocha, że podjął decyzję, która sama się nasuwała, mając na działanie jedynie 40 sekund.

Odrębną kwestią jest mechanizm powstania uszkodzeń w kadłubie. Po zweryfikowaniu w ciągu ponad 100 lat rozmaitych koncepcji środowisko naukowe przychyliło się do teorii wadliwych nitów. To koncepcja o tyle ciekawa, że oprócz kwestii technicznych istotny jest w niej również kontekst... społeczny i ekonomiczny. Otóż w XIX i na początku XX w. blachy poszycia statków łączyły ręcznie za pomocą nitów czteroosobowe zespoły nitownicze. Jednak konkurencją stały się dla nich maszyny. Aby pokazać, że bardziej opłacalne jest zatrudnienie ludzi, nitownicy zaczęli pracować szybciej, by wbić więcej nitów w tym samym czasie. Z kolei kowale wyrabiający nity zaczęli dodawać do przekuwanej stali szlakę, co też później przyspieszało pracę. Niestety okazało się, że w konsekwencji te elementy stawały się bardziej kruche i były w stanie znieść mniejsze obciążenia. Arkusze blachy poszycia statku wytrzymały starcie z górą lodową, ale część łączących je nitów uległa zniszczeniu. Między arkuszami pojawiły się szczeliny, przez które woda wnikała do wnętrza kadłuba i zaczęła zatapiać Titanica.

Kiedy statek już tonął, pojawiła się jeszcze szansa na ratunek. Gdyby załoga statku Californian, który znajdował się w niewielkiej

odległości od Titanica, widząc rakiety wystrzelane w niebo, nawiązała kontakt z transatlantykiem, historia wszystkich pasażerów i załogi mogłaby zakończyć się szczęśliwie. Niestety dowództwo Californiana zadowolilo się domysłami, że to... fajerwerki, choć istnieją również doniesienia, że kolor rakiet był mylący.

Spółeczeństwo w miniatuże

Na tragedię Titanica można także spojrzeć szerzej, biorąc go pod społeczną i kulturową lupę metafory. Transatlantyk jak w soczewce skupiał obraz społeczeństwa epoki edwardiańskiej. Klasę pierwszą zajmowała arystokracja lub ci, którzy dzięki pracy albo łutowi szczęścia zdobyli miliony – co prawda byli mniej życzliwie przyjmowani przez tę pierwszą grupę, ale jednak akceptowani. W klasie drugiej znalazły się osoby mniej zamożne, ale żyjące na przyzwoitym poziomie. Klasa trzecia należała do ludzi próbujących przetrwać, patrzących z nadzieją w stronę Nowego Świata, do którego zmierzali.

Świat społecznych granic świetnie oddawały realne, materialne zapory strzeżone przez załogę, które oddzielały międzypokładzie, gdzie przebywali pasażerowie trzeciej klasy, od pokładów klasy pierwszej i drugiej. Był to wymóg prawa amerykańskiego wprowadzony wiele lat przed rejsem Titanica, by zapobiec rozprzestrzenianiu się choroby zakaźnej oczu – trachomy. Czy miał uzasadnienie na Titanicu? A może stanowił wygodne wytłumaczenie, by oddzielać ludzi gorszego sortu od tych ulepionych z lepszej gliny? Dzięki temu nic nie naruszało komfortu ich podróży.

Te bariery przyczyniły się do śmierci bardzo wielu pasażerów trzeciej klasy, wśród nich kobiet i dzieci, które wedle ówczesnej, a i zapewne współczesnej etyki powinny mieć pierwszeństwo w kolejce do szalup. Daniel Allen Butler w swojej książce „Nieznajomy. Pełna historia RMS Titanic” pisze, że najtrudniejsze do obalenia dla pasażerów trzeciej klasy okazały się bariery przekonania o własnej podrzędnej roli, o konieczności zdania się na decyzje dowództwa i załogi statku, choć z każdą chwilą stawało się jasne, że nikt z wyższych pokładów nie myśli o tym, by dać im szansę przeżycia. Większość osób trwała w beznadziei. Tylko część zaważyła o możliwość wydostania się na pokład szalupowy, a spośród nich zaledwie garstce udało się uratować.

W epoce edwardiańskiej przekonanie o niemożności decydowania o sobie, słuszności przestrzegania ścisłych granic przestrzeni życiowej dla przedstawicieli klas niższych powoli jednak topniało. Coraz silniej dawały o sobie znać nurty polityczne i społeczne, które upominały się o wykluczane do tej pory grupy, a jednocześnie poddawały w wątpliwość porządek ustanowiony, wydawałoby się, przez siłę wyższą. Socjaliści i sufrażystki przekonywali, że zmiana jest możliwa, a kobiety i klasy niższe mogą więcej. Były to ostatnie dni świata raz na zawsze ustalonych norm, stałości porządku życia. Ostateczny cios zadał im pierwszy globalny konflikt zbrojny lat 1914–1918.

Sny o potędze

Zarówno I wojna światowa, jak i katastrofa Titanica uderzyły w jeszcze jedno kluczowe przekonanie społeczeństw Europy i Ameryki. Całkowite zaufanie owocom dynamicznego postępu technicznego, dzięki któremu, jak się wydawało wielu, człowiek ostatecznie ujarzmił siły natury, okazało się zgubne. Ludzkie wynalazki miały przynieść powszechny pokój i szczęście, tymczasem

zawodziły, jak w przypadku Titanica lub mogły posłużyć jako narzędzie zagłady, jak działało się w czasie I wojny światowej.

Pierwsza dekada XX w. stanowiła zwieńczenie stulecia przemian cywilizacyjnych, jakich nigdy wcześniej nie doświadczyła ludzkość. Pojawił się silnik parowy, potem spalinowy, a także oświetlenie elektryczne. Prędkość podróżowania po lądzie zwiększyła się trzykrotnie, a po morzu – czterokrotnie. Był to również czas wybitnych osiągnięć w dziedzinie fizyki, chemii, psychologii czy medycyny. Nauka zaczęła grać pierwsze skrzypce w sferze postępu ekonomicznego, stała się podporą przemysłu.

Jeśli dokonał się tak wielki skok rozwojowy, nietrudno podejrzewać, że ci, którzy się z nim utożsamiali – Europejczycy i Amerykanie, zwłaszcza z klas wyższych, nabrali przekonania, że ludzkości nie sposób już pokonać. Stąd przemierzanie Atlantyku pełną parą bez względu na pogodę i stan morza (była to powszechna praktyka przed katastrofą Titanica) czy brak jasnych procedur przekazywania ostrzeżeń o polach lodowych i innych zagrożeniach na mostek kapitański. Nie uświadomiono sobie, że te uchybienia i brak ostrożności mogą skończyć się tragedią, dopóki faktycznie do niej nie doszło. A kiedy już się zdarzyła, ci, którzy patrzyli szerzej i wzięli pod uwagę wszystkie okoliczności, stwierdzili, że przy takiej brawurze kiedyś musiało do niej dojść. Na szczęście był to punkt wyjścia do koniecznych zmian – zmodyfikowano przepisy Izby Handlu i wprowadzono odpowiednie zasady bezpieczeństwa, także te dotyczące takiej liczby szalup, by mogli na nich znaleźć miejsce wszyscy pasażerowie i załoga.

Cień Bałkanów

Przyglądając się wydarzeniom 1912 r., społeczeństwu europejskim w tym czasie, nie sposób pominąć kwestii politycznych, tym bardziej że zbliżał się 1914 r. i wybuch I wojny światowej, zatem w polityce już 2 lata wcześniej musiało dziać się wiele. Zanim jednak przejdziemy do sedna wydarzeń 1912 r., odpowiedźmy na pytanie, jaki polityczny porządek świata wówczas panował.

Ład europejski a aspiracje półwyspu

Po zwycięstwie nad Napoleonem potęgi europejskie postanowiły skonstruować nowy ład i wpisać w niego mechanizmy, które nie pozwolą na zburzenie równowagi sił w przyszłości. Podczas kongresu wiedeńskiego ustalono, że żadne z państw europejskich nie będzie dominowało nad innymi, a jednocześnie cztery główne (Anglia, Austria, Prusy, Rosja) miały dbać o przestrzeganie tej zasady i przy okazji władać całą Europą. System ten nosił miano Świętego Przymierza. Przez 100 lat udawało się utrzymać jego postanowienia w mocy, mimo okresowych komplikacji. Jednak z czasem różnic dzielących państwa mające zadbać o równowagę w Europie narosło już tak wiele, że doszło do powstania dwóch wrogich sojuszy. Pierwszy – Trójpakt stworzyły Wielka Brytania, Francja i Rosja, a drugi – Trójpakt – Niemcy, Austro-Węgry i Włochy.

Jak wiadomo, jedną z przyczyn pierwszego globalnego konfliktu zbrojnego był tzw. kocioł bałkański, czyli sprężenie sprzecznych interesów poszczególnych narodów żyjących na półwyspie, a zarazem ich protektorów – mocarstw europejskich. Druga połowa 1912 r. upłynęła pod znakiem burzliwych wydarzeń z nim związanych. Zajrzyjmy zatem pod pokrywę tego kotła, w którym już zaczynało wrzeć, by w 1914 r. doszło do tragicznego w skutkach wybuchu.

Wojny bałkańskie

Głównym wrogiem dla państw bałkańskich była Turcja, okupująca część półwyspu. Tak więc kiedy poniosła klęskę w wojnie z Włochami o interesy w Afryce, Serbia i Bułgaria postanowiły wykorzystać okazję i uderzyć w osłabionego nieprzyjaciela. Ponadto na początku 1912 r. powstał system sojuszy między Serbią i Bułgarią oraz Grecją i Czarnogorą, pod nazwą Ligi Bałkańskiej.

W październiku 1912 r. Czarnogóra, a następnie Serbia, Bułgaria i Grecja wypowiedziały Turcji wojnę. Trwała ona do grudnia i zakończyła się pełnym zwycięstwem Ligi. Udało się jej wyprzeć Turcję z Półwyspu Bałkańskiego. Wytworzyło to swego rodzaju próżnię w regionie. Rozprawiwszy się z Turcją, państwa bałkańskie mogły skonfrontować się ze swoim kolejnym wrogiem, Austro-Węgrami, a to oznaczałoby już włączenie w konflikt na mocy sojuszy wielu innych państw europejskich.

Zanim jednak do tego doszło, na półwyspie wybuchła kolejna wojna. Bułgaria była niezadowolona z postanowień konferencji pokojowej w Londynie, na mocy której przyznano jej nie tak znaczne obszary, jak oczekiwała, tymczasem Serbii przekazano terytoria niewspółmiernie znaczne w stosunku do jej zaangażowania w wojnę, zatem w czerwcu 1913 r. wypowiedziała swojemu sąsiadowi wojnę. Konflikt rozstrzygnął się w ciągu miesiąca – w lipcu Bułgaria została pokonana.

Wojny bałkańskie przeobraziły półwysep całkowicie. Zabrakło Turcji, jednego z głównych rozgrywających w regionie. Serbia (i wspierającą ją Rosja) zyskała na znaczeniu i zaczęła coraz wyraźniej prowadzić politykę antyhabsburską, wykorzystując słabość Austro-Węgier.

Światowa wojna u bram

W kotle bałkańskim wrzało coraz bardziej i miało to coraz większe znaczenie dla pokoju w Europie. Choć przyczyn I wojny światowej było wiele, to kropla, która przełamała czarę goryczy europejskich waśni, pochodziła z Bałkanów. 28 czerwca 1914 r. serbski nacjonalista Gavrilo Princip zastrzelił w Sarajewie następcę tronu Austro-Węgier arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żonę Zofię. W następstwie tego wydarzenia Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii i w tym momencie ruszyła sojusznicza machina. Rosja ogłosiła mobilizację, Niemcy zagroziły wypowiedzeniem wojny, wówczas mobilizację ogłosiła Francja, kolejnymi ruchami II Rzeszy było wypowiedzenie wojny Rosji, a następnie Francji. Niemcy, które ze względu na swoje ambicje i przekonanie, że należy im się lepsza pozycja na arenie międzynarodowej, na wojnę przygotowywały się od lat, wkroczyły na teren Belgii, by dotrzeć do Francji.

Wskutek I wojny światowej zginęło 10 mln ludzi, tyle samo padło ofiarą głodu i powojennej epidemii grypy. Wydarzyła się rewolucja rosyjska, która pochłonęła jeszcze więcej ofiar. Pojawiły się stalinizm, nazizm, nastąpił wybuch kolejnej wojny światowej i kolejna hekatomba. Katastrofa nadchodziła wielkimi krokami i choć w 1912 r. można było je usłyszeć, wielu nie dowierzało jeszcze, że jest możliwa. ☹

Literatura dostępna u autorki

Anna Sobótka jest dziennikarką i sekretarzem redakcji „Przeglądu Pożarniczego”, pracuje w redakcji od 2018 r.



Józef Piłsudski idący wzdłuż szeregu członków Związku Strzeleckiego.
Ćwiczenia w Zakopanem, 1913 r.
fot. Wikipedia / domena publiczna

Retrospekcja w Polskę 1912



Rok 1912 to rok wielu wydarzeń – wtedy właśnie zmarł kronikarz Warszawy Bolesław Prus, wtedy nastąpiło poświęcenie soboru św. Aleksandra Newskiego na placu Saskim (obecnie nieistniejącego), a polski biochemik Kazimierz Funk stworzył nazwę „witamina” (wyzolował tiaminę, czyli witaminę B1).

Mimo to czas ten upłynął Polakom głównie pod znakiem polityki.

Marta Gizewicz



Historia Polski od początku jej istnienia była burzliwa i trudna. Wielkim winnym (ale nie jedynym) tego stanu rzeczy było w dużej mierze położenie kraju i jego warunki geopolityczne. Lokalizacja w środku Niziny Północnoeuropejskiej oznaczała kiepskie możliwości naturalnej obrony oraz konieczność toczenia częstych walk o przetrwanie, zwłaszcza z dwoma sąsiadami – po stronie zachodniej i wschodniej.

Dźwiganie się z kolan

Zasadniczo okres, w którym przypada 1912 r., zdominowały wydarzenia mające miejsce już około pół wieku wcześniej. A może nawet więcej, gdy ziemie polskie były rozgrabiane przez zaborców. Skupiając się jednak na całkiem realnie mających wpływ na życie Polaków dziejach, najlepiej będzie cofnąć się w czasie najdalej do

represji popowstańczych. Po 1863 r. najsurowiej karano duchowieństwo – likwidowano parafie, kościoły stawały się cerkiewami, próbowano wprowadzić kazania w języku rosyjskim, a w 1866 r. anulowano konkordat z 1847 r. Kolejną ofiarą represji padł język polski, który usunięto z administracji, szkolnictwa i życia publicznego. Zamykano czytelnie, wydawnictwa, teatry, zakazywano druku polskich książek. Na szlachtę i duchowieństwo nałożono kontrybucję, co miało na celu stopniowe wyniszczanie finansowe, licytację majątków i opuszczanie kraju. Wszystko to kładło się cieniem na kolejne lata.

Zmieniała się też polityka. To, co kojarzy nam się z początkiem XX w., to ścieranie się ugrupowań politycznych, zwłaszcza Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS), której znanym działaczem był Józef Piłsudski, marksistowskiej Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL) z Różą Luksemburg na czele oraz Narodowej Demokracji (endecji) Romana Dmowskiego. Zanim jednak

NIKTÓRE WAŻNE POSTACI POLITYCZNE OKRESU OKOŁO 1912 R.

IGNACY EWARYST DASZYŃSKI (1866-1936) – lider Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej, polityk socjalistyczny, działacz niepodległościowy.

WŁADYSŁAW DOMINIK GRABSKI (1874-1938) – działacz niepodległościowy, w latach 1905-1912 poseł do Dumy Państwowej, członek powstałego w 1914 r. Komitetu Narodowego Polskiego, opowiadającego się za utworzeniem państwa polskiego w oparciu o Rosję.

WINCENTY WITOS (1874-1945) – działacz ruchu ludowego Polskiego Stronnictwa Ludowego, poseł galicyjskiego Sejmu Krajowego (1908-1914), poseł do parlamentu austriackiego (1911-1918).

JÓZEF KLEMENS PIŁSUDSKI (1867-1935) – działacz niepodległościowy, związany z PPS, twórca Organizacji Bojowej PPS (1904) i Polskiej Organizacji Wojskowej (1914), w 1912 r. wybrany na komendanta głównego Związku Strzeleckiego oraz naczelnego komendanta sił wojskowych. Gdy wybuchła I wojna światowa, zajął się mobilizacją wojsk.

WALERY JAN SŁAWEK (1879-1939) – bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego, działacz PPS, konspirator Organizacji Bojowej PPS, sekretarz powołanego w 1912 r. Polskiego Skarbu Wojskowego, który jeszcze w tym samym roku podporządkował się Wydziałowi Wojskowemu Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych.

ROMAN STANISŁAW DMOWSKI (1864-1939) – działacz i polityk, poseł na II i III Dumę Państwową, współzałożyciel Narodowej Demokracji (endecji). Uważał, że Polska może odzyskać niepodległość dzięki sojuszowi z Rosją, za największe zagrożenie uznawał Niemcy.

WŁADYSŁAW EUGENIUSZ SIKORSKI (1881-1943) – żołnierz i polityk, sekretarz PSP, członek organizacji niepodległościowych: Związku Walki Czynnej, Związku Strzeleckiego i KTSSN. W czasie pierwszej wojny światowej walczył w szeregach

doszło do tego starcia, warto przypomnieć sobie, skąd na terenach Królestwa Polskiego wziął się socjalizm. Pierwsze działania polskich socjalistów, niezadowolonych z dotychczasowych idei, m.in. liberalnych, pojawiły się w drugiej połowie XIX w. Młodzi konspiratorzy podążyli w kierunku koncepcji społecznej, kolektywistycznej, socjalistycznej i narodowej, upatrując największych wartości w ludzie miejskim (robotnikach) i wiejskim (chłopach). Pierwsze koła socjalistyczne powstały w 1875 r. w Petersburgu, pierwsze partie polityczne zaś na przełomie lat 80. i 90. XIX w.

Rewolucja

W lutym 1904 r. doszło do japońskiego ataku na rosyjską flotę w Port Artur. Zaczęła się wojna, która szybko obnażyła słabości Rosji. Kulało wszystko – polityka, wojsko, dowództwo, ogólne przygotowanie do działań zbrojnych i ich organizacja. Był to dobry czas na uaktywnienie się polskich organizacji politycznych. Zawiązane w Wiedniu Stronnictwo Polityki Realnej próbowało uzyskać w Petersburgu polonizację szkolnictwa, sądownictwa i administracji, walczyło także o utworzenie samorządu terytorialnego i miejskiego. Później tzw. postępowi demokraci (pedecja) postulowali wolność demokratyczną i powszechne głosowanie. Narodowa Demokracja (endecja) zaś chciała wprowadzenia języka polskiego w gminach. Partie socjalistyczne PPS i SDKPiL nasiliły swoją działalność, organizując strajki i podburzając robotników.

W lipcu 1904 r. Józef Piłsudski prowadził rozmowy ze sztabowcami w Tokio, próbując zyskać poparcie dla ewentualnego powstania zbrojnego. Niestety Japończyków przestrzęgl przed planami zrywu Roman Dmowski, który preferował porozumienie się z Petersburgiem i uzyskanie ustępstw dla Polski, kosztem gwarancji spokoju.

13 listopada na placu Grzybowskiem w Warszawie doszło do zbrojnej manifestacji antywojennej, podczas której bojówki PPS otworzyły ogień do policjantów i kozaków. W styczniu 1905 r. przed Pałacem Zimowym wojsko zmasakrowało tłumy robotników, pozbawiając życia przeszło tysiąc ludzi. Wydarzenie to prze-

szło do historii jako krwawa niedziela i zapoczątkowało falę manifestacji nie tylko w Rosji, ale i na ziemiach Królestwa Polskiego, m.in. w Łodzi (zginęło tu około 200 ludzi).

W kwietniu ukazem carskim wprowadzono wolność religijną (poza Cerkwią unicką). W Warszawie młodzież żądała polonizacji szkolnictwa. Postulaty wsparła rosyjska młodzież akademicka. Opór przyniósł rezultat w postaci zezwolenia na nauczanie języka polskiego w szkołach, co spotkało się z krytyką rosyjskich nacjonalistów. W 1912 r. Mikołaj II wprowadził ustawę szkolną, w myśl której nauczycielami w szkołach rządowych mogli być jedynie prawosławni. Ratunkiem były szkoły prywatne, których w 1914 r. było w Królestwie Polskim 800 (uczyło się 80 tys. uczniów), a w samej Warszawie było ich ponad 150.

We wrześniu 1905 r. Rosja zawarła pokój z Japonią. Plan rewolucyjny musiał nabrać tempa, póki cesarstwo liżało rany. Polskie partie przyłączyły się do rosyjskiego strajku powszechnego, który sparaliżował państwo. Car Mikołaj II zapowiedział podstawowe wolności polityczne i zlikwidowanie cenzury. Mimo to entuzjaści rewolucji woleli obalenie caratu. Liczba strajkujących stale rosła. Partie miały swoje formacje bojowe i oddawały się walkom nie tylko z aparatem państwowym, ale i między sobą. Działalność ta odbiła się m.in. na samych robotnikach, gdy w grudniu 1906 r. zastosowano tzw. lock out (zamknięcie fabryk) i tysiące ludzi straciło pracę. Nie każdy jednak popierał rewolucyjne zapędy, jak na przykład biskupi w Królestwie Polskim.

Po rewolucji

Kryzys, który spadł na Rosję, odbił się echem w Królestwie oraz na ziemiach zabranych. Mikołaj II zmuszony był wydać w 1906 r. Manifest październikowy z ustawami, które miały pogodzić system autokratyczny z parlamentarnym. Zaraz potem odbyło się spotkanie I Dumy Państwa, czyli izby niższej parlamentu. Uczestniczyli w niej Polacy z Królestwa, którzy utworzyli Koło Polskie, oraz posłowie z Koła Kresowego.

Pozostawiając już politykę, warto wspomnieć bardzo znane nazwisko z zupełnie innej bajki. Janusz Korczak, a właściwie Henryk Goldszmit, to legendarny pedagog, o wielkich osobistych zasługach dla sierocnych dzieci. Kojarzony również z postacią fantastyczną Pana Kleksa. A co ma wspólnego z rokiem 1912?

Krochmalna była ulicą żydowską, zamieszkiwaną przez biedotę, wokół roito się od sklepików, fabryk, ale także melin i domów publicznych. W okresie przedwojennym w Warszawie dwie trzecie warszawskich prostytutek było żydowskiego pochodzenia. Mimo że gmina żydowska walczyła ze stręczycielstwem, handel kobietami kwitł. Przy Krochmalnej mieściło się centrum demoralizacji. W 1905 r. uległo to zmianie, gdy bojówki Bundu zaczęły zwalczać działalność alfonsov.

Wkrótce losy tej ulicy miały się związać z Domem Sierot. 12 maja 1910 r. Towarzystwu Pomoc dla Sierot udało się zakupić plac przy

tej ulicy, na skraju miasta. Miejsce było dobre dla dzieci ze względu na oddalenie od dużego zagęszczenia ludzi, bezpieczeństwo, bliskość łąk. Być może Korczak nie doszedłby do tego pomysłu, gdyby nie znajomości, które zawarł dzięki pracy w szpitalu dziecięcym Bersohnów i Baumanów. Dał się wciągnąć w działalność Towarzystwa, które z łatwością zdobywało środki dla swoich wychowanków.

W tworzeniu Domu Sierot w dużej mierze pomagała Korczakowi poznana w jednym z przytułków Stefania Wilczyńska – nauczycielka, która uwielbiała pomagać dzieciom. Budowę zaczęto w 1911 r., a w październiku 1912 r. do Domu Sierot wprowadziło się 88 pierwszych wychowanków (oficjalne otwarcie miało miejsce w lutym 1913 r.). Korczak na stanowisku kierownika, a Wilczyńska jako główna wychowawczyni pracowali z pasją i oddaniem, za darmo. Gdy w 1914 r. wybuchła wojna, Korczak został powołany do wojska jako lekarz.

Duma została jednak szybko rozwiązana, gdyż panujący w niej układ sił był niekorzystny dla rządu i cara. Wybory do II Dumi odbyły się w styczniu 1907 r. Zmniejszono liczbę mandatów dla reprezentantów polskich, forsowanie pomysłów popolskich zeszło na drugi plan, bo trzeba było zająć się raczej obroną polskich instytucji. Pełną kadencję przetrwała dopiero III Duma (1907-1912), ostatnią – IV Duma (1912-1917).

Jeszcze w czasie rewolucji doszło do rozłamu PPS na PPS Frakcję Rewolucyjną (potem pod dawną nazwą PPS) z Józefem Piłsudskim oraz PPS Lewicę, która zamiast za niepodległością Polski opowiadała się za sojuszem z Rosją i bliżej jej było do SDKPiL, z którą się połączyła (częściowo) w 1918 r. pod postacią Komunistycznej Partii Robotników Polskich (KPRP). PPS Frakcja Rewolucyjna poszukiwała zwolenników głównie w Galicji, licząc na porozumienie z Austrią przeciw Rosji. W dużej mierze ich stanowisko popierali ludowcy z rozbitego Polskiego Związku Ludowego (PZL) – nazywani zaraniarzami, od nazwy tygodnika „Zaranie”, którzy za swój cel obrali emancypację wsi, jej rozwój, uwolnienie chłopów od wpływów kleru i szlachty. Ich hasłem było „Sami sobie”. Mieli oni swój udział w budowie wiejskich szkół, spółdzielni mleczarskich i pożyczkowych. Częściowo z kręgów zarańskich wyłoniła się w 1915 r. nowa partia PSL („Wyzwolenie”).

W czasie rewolucji i po niej najsilniejszą w Królestwie partią była endecja Romana Dmowskiego. Ugrupowanie to przeszło również burzliwą rewolucję, bo z partii antyrosyjskiej stało się antyniemiecką, głoszącą ugodę i konieczność liczenia się z Niemcami, jako twardym kulturowo i rozwiniętym cywilizacyjnie państwem, obok którego Rosja staje się mniej groźna, a wręcz w potrzebie. Koncepcja ta wywołała falę krytyki i odejść starych polityków. Z opozycjonistów powstał w 1912 r. Narodowy Związek Chłopski (później wraz ze Związkiem Chłopskim i Stronnictwem Ludowym przekształcił się w PSL), oderwała się także tzw. Secesja oraz robotnicy z NZR. Bliżej im było do socjalistów niepodległościowych z PPS Frakcji, którzy wciąż mieli orientację antyrosyjską.

Polacy chcą wolności

10 listopada 1912 r. w wiedeńskim mieszkaniu polskiego architekta i polityka Hipolita Śliwickiego spotkały się frakcje poli-

tyczne, bardziej znaczące z nich to m.in. Polska Partia Socjalistyczna, Polska Partia Socjaldemokratyczna, Polskie Stronnictwo Postępowe (PSP), Polskie Stronnictwo Ludowe, Związek Chłopski, Narodowy Związek Robotniczy (NZR). Partie zawarły porozumienie i utworzyły Komisję Tymczasową Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych (KTSSN), która istniała do 16 sierpnia 1914 r., kiedy powołano Naczelny Komitet Narodowy (NKN). KTSSN miała jasno określony cel – wyłonić rząd narodowy w razie wybuchu wojny austriacko-rosyjskiej. Szczególnie liczono na ten konflikt i po prostu się go spodziewano przez wzgląd na zaostrzający się kryzys bośniński. 1 grudnia 1912 r. komendantem nowo powstałych sił wojskowych został mianowany Józef Piłsudski. Utworzonemu Wydziałowi Wojskowemu podlegał Polski Skarb Wojskowy, Związek Strzelecki „Strzelec” i Polskie Drużyny Strzeleckie.

W sierpniu 1914 r. w Krakowie powstał Naczelny Komitet Narodowy, który skupiał reprezentację polityczną Polaków w Galicji, tj. jednoczył wszystkie środowiska polityczne w obliczu zagrożenia i wspólnego celu. Plan działania zakładał utworzenie podczas pierwszej wojny światowej trzyczłonowego państwa Austro-Węgier-Polski (trializm), co miało być rozwiązaniem sprawy polskiej, którą od dawna żadne państwo nie zajmowało sobie głowy. Polska część obejmowałaby tereny Galicji i Królestwa Polskiego.

Okres rewolucyjny i porewolucyjny pokazał, że mimo długoletniej rusyfikacji o zmianie marzyli obywatele polscy, litewscy, łotewscy, białoruscy i ukraińscy. Oczekiwanie na konflikt austriacko-rosyjski naznaczone było aktywnościami niepodległościowymi. Koła Polskie działały w parlamentach trzech państw zaborczych – w pruskim Landtagu, w niemieckim Reichstagu, w austriackiej Radzie Państwa oraz w rosyjskiej Dumie Państwowej i Radzie Państwa (izba wyższa parlamentu). Wybuch I wojny światowej ostudził nieco emocje polityczne, rozbieżności poglądowe stały się szczególnie niekorzystne, na pierwszy plan wysunęły się działania wojskowe i próby wyzwolenia narodu polskiego spod jarzma zaborców. ☞

Literatura dostępna u autorki

Marta Giziewicz jest redaktorką i dziennikarką, autorką powieści, pracuje w „Przeglądzie Pożarniczym” od 2020 r.

Gaszenie pożarów w latach 1910-1914



W latach poprzedzających pojawienie się pierwszego numeru „Przeglądu Pożarniczego” oraz następujących zaraz po tym wydarzeniu o kształcie ochrony przeciwpożarowej w Polsce przesądzały przepisy i systemy panujące w trzech państwach zaborczych. Nie brakowało jednak inicjatyw zmierzających do wypracowania własnego modelu.



Rysunek „Do ognia” Wacława Pawliszaka
fot. „Tygodnik Ilustrowany”, nr 4 z 28 (15) stycznia 1905 r.

Jerzy Gutkowski

Straże pożarne

Po 1906 r. praktycznie we wszystkich zaborach ochotnicze straże pożarne – czy ogniowe, jak wówczas jeszcze je nazywano – mogły powstawać i działać bez większych przeszkód, choć (poza Galicją) pod ścisłym nadzorem. Na bardziej liberalną politykę okupantów, szczególnie Rosji, miała wpływ rewolucja 1905 r., wojna rosyjsko-japońska oraz pogarszające się stosunki międzynarodowe w Europie, również między zaborcami. By powołać straż w zaborze austriackim, należało spełnić wymagania przepisów ustawy o stowarzyszeniach z 15 listopada 1867 r. i ustawy

o policji ogniowej z 10 lutego 1891 r. (obowiązywała w miastach i miasteczkach Królestwa Galicji i Lodomerii z Wielkim Księstwem Krakowskim). W Królestwie Polskim, czyli zaborze rosyjskim, najważniejsza była zgodność statutu straży występującej o zarejestrowanie ze statutem wzorcowym, zawartym w ustawie normalnej straży ogniowych w Królestwie Polskim z 12 grudnia 1898 r. Oczywiście władze rosyjskie niezmiennie zachowywały czujność, by działalność straży nie wychodziła poza ustalone ramy. W zaborze pruskim (niemieckim) strażactwo ochotnicze miało najdłuższe tradycje, ale aktywność w nim Polaków była bardzo

ograniczana. Władze policyjne, od których zależało wydanie pozwolenia na utworzenie straży, wymagały, by odpowiedni odsetek członków stanowili obywatele narodowości niemieckiej. Nawet w tych strażach, w których Polacy licznie przeważali, w zarządach Niemcy musieli mieć większość.

O polskiej specyfice popularyzowania zagadnień ochrony przeciwpożarowej na wsiach możemy mówić na przykładzie zaboru austriackiego. Działające w Galicji założone przez polskich ziemian Towarzystwo Kółek Rolniczych (TKR) miało na celu szerzenie oświaty i solidaryzmu społecznego wśród ludności wiejskiej. W ramach działalności Towarzystwa powstawały biblioteki i czytelnie, organizowane były kursy, zbył produktów rolnych, TKR wydawało książki i własny periodyk, popularyzowało wiedzę o nowoczesnym rolnictwie, a od 1903 r. zakładane były ochotnicze straże pożarne. W 1914 r. TKR zrzeszało 2081 kółek rolniczych, przy których powstało 497 straży pożarnych.

A jak wyglądała sytuacja ze strażami zawodowymi? W Galicji zasady ich powstawania określała przywołana wyżej ustawa o policji ognowej. W myśl jej przepisów w każdym mieście lub miasteczku miała zostać zorganizowana straż pożarna gminna, czyli zawodowa (gmina zatrudniała strażaków i utrzymywała sprzęt), lub ochotnicza. W mniejszych miejscowościach, gdzie istniejąca już straż ochotnicza zobowiązała się do wypełniania zadań i obowiązków straży pożarnej gminnej, odpadała potrzeba powoływania tej drugiej. W miastach liczących powyżej 10 tys. mieszkańców musiał zostać natomiast obowiązkowo zorganizowany korpus straży pożarnej gminnej, bez względu na istnienie straży ochotniczej. Przepisom tym podlegało 71 wymienionych w ustawie miast i miasteczek.

W Królestwie Polskim nie było tak konkretnych przepisów, ale, co ciekawe, Rosjanie woleli, by w dużych miastach, z rozwiniętym przemysłem, zakładano straże zawodowe, gdyż łatwiej im było sprawować nad nimi nadzór. Poza Warszawą zawodowe straże pożarne działały, z różnym powodzeniem i przez różny okres, w Kielcach, Lublinie, Łodzi, Siedlcach i Zamościu. Ich powstawanie i funkcjonowanie było w dużej mierze zależne od zasobów kasy miejskiej, bo utrzymanie zawodowej jednostki kosztowało sporo. Szczególną specyfikę miała straż łódzka, która w 1913 r. składała się z dziewięciu oddziałów, w tym czterech fabrycznych i pomimo swej pełnej dyspozycyjności i dobrego wyszkolenia nosiła nazwę Łódzkiej Straży Ogniowej Ochotniczej.

Reasumując: pod koniec 1913 r. w Królestwie Polskim było zarejestrowanych 557 ochotniczych straży ogniowych, pięć zawodowych i 39 fabrycznych. W Galicji było to odpowiednio 890 i 30, a o strażach fabrycznych brak danych. Najtrudniej o statystykę z zaboru niemieckiego, gdyż składają się na nią dane pocho-

dzące z różnych lat (w przedziale 1900-1914) ze Śląska, Wielkopolski i Pomorza. Uwzględniając informacje podane za źródłami niemieckimi przez Dariusza Faleckiego w artykule „Działalność Prowincjonalnego Związku Straży Pożarnych Śląska w latach 1863-1939” (Zeszyty Naukowe SGSP, 2019, nr 69) można przyjąć, że na ziemiach zaboru niemieckiego na początku XX w. działało łącznie 1081 ochotniczych straży pożarnych (w tym 896 na Dolnym i Górnym Śląsku), 48 straży obowiązkowych, 15 fabrycznych i przynajmniej dziewięć zawodowych.

W tym czasie wszystkie straże, poza tymi z Królestwa Polskiego, miały możliwość zrzeszania się w strukturach zwią-



Sikawka parowa na ulicach Warszawy – rekonstrukcja
fot. zbiory Centrum Edukacji i Historii Warszawskiej Straży Pożarnej

kowych, utworzonych w celu udzielania pomocy jednostkom strażackim w sprawach fachowych i organizacyjnych. Chodziło tu o wypracowanie wspólnych wzorów umundurowania, odznak, regulaminów, programów szkoleń itp. Związki strażackie organizowały wystawy sprzętu gaśniczego, przeprowadzały szkolenia i zwoływały zjazdy, na których przedstawiciele straży z różnych stron kraju wymieniali się doświadczeniami. W Galicji rolę taką pełnił Krajowy Związek Ochotniczych Straży Pożarnych w Królestwie Galicji i Lodomerii z Wielkim

Księstwem Krakowskim, a w zaborze niemieckim były to: Prowincjonalny Związek Straży Pożarnych Śląska, Poznański Prowincjonalny Związek Straży Pożarnych i Pomorski Związek Prowincjonalny Straży Pożarnych. W zaborze rosyjskim starania działaczy, wśród nich Bolesława Chomicza, doprowadziły do tego, że w kwietniu 1915 r. władze rosyjskie zatwierdziły statut Towarzystwa św. Floriana, jako ogólnokrajowej organizacji zrzeszającej straże z Kongresówki. Ze względu na sytuację wojenną dopiero we wrześniu 1916 r. udało się zorganizować w Warszawie zjazd strażaków reprezentujących 302 straże ogniowe ze wszystkich guberni Królestwa, z wyjątkiem suwalskiej.

Stan bezpieczeństwa pożarowego

Obraz bezpieczeństwa pożarowego jest odbiciem regulacji prawnych i podejścia do spraw ochrony przeciwpożarowej w poszczególnych państwach okupujących ziemie polskie. Mimo że najmniej polskojęzycznej literatury dotyczy sytuacji w zaborze niemieckim, wiemy, że w początkach XX stulecia sprawy bezpieczeństwa pożarowego były tu najlepiej uporządkowane. Powszechnie stosowane budownictwo ogniotrwałe, docenianie znaczenia ubezpieczeń od ognia, przeważnie zresztą obligatoryjnych, oraz dobra sieć straży pożarnych (ochotniczych, fabrycznych, obowiązkowych i zawodowych) sprawiały, że proporcjonalnie do zaludnienia paliło się w zaborze niemieckim najmniej, a straty pożarowe nie były tak dotkliwe, jak w innych częściach podzielonego państwa.



Strażacy na wozie rekwizytowym
przed I Oddziałem WSO na ul. Nalewki
fot. zbiory Centrum Edukacji i Historii
Warszawskiej Straży Pożarnej

Najgorsza sytuacja panowała w Królestwie Kongresowym, gdzie według danych z 1914 r. aż 86% budynków było drewnianych, 78% pokrytych słomą, a tylko 12% miało pokrycie dachowe ogniotrwałe. W dziesięciu miastach gubernialnych (stolicach guberni) budynki drewniane stanowiły średnio 55%, murowane 36%, a w konstrukcji mieszanej (najczęściej był to tzw. mur pruski) 9%. Te nieco lepsze proporcje w dużych miastach uzmysławiają, jak tragiczna sytuacja panowała na wsiach i w małych miasteczkach. Dla przykładu: w Węgrowie budynki drewniane stanowiły 96%, w Garwolinie 95%, w Biłgoraju 93%, w Mińsku Mazowieckim 92%. Największy wpływ na zagrożenie pożarowe w małych miejscowościach i wsiach w tzw. ulicówkach miała gęsta zabudowa, bez zachowania odpowiednich odległości pomiędzy budynkami. Skutkiem tego były liczne pożary masowe, czyli takie, w których pastwą ognia padało więcej niż 25 obiektów. W 1904 r. w Przysusze (pow. Opoczno) spłonęło 459 budynków, w Łaskarzewie (pow. Garwolin) 385. W 1907 r. w Zwoleniu pożar zniszczył 454 budynki, a w Nowym Dworze 415. W latach 1904-1910 odnotowano 244 pożary masowe, w których zniszczeniu uległo 31741 budynków, czyli średnio w jednym pożarze 130. W latach 1903-1912 całkowicie lub częściowo spłonęło ponad 220 tys. obiektów budowlanych. Aby złagodzić konsekwencje społeczne pożarów, ustawą z dnia 10 czerwca 1900 r. wprowadzono przepis stanowiący, że „wszystkie budynki prywatne i publiczne obowiązkowo podlegają wzajemnemu ubezpieczeniu od ognia” (fundusz na odszkodowania pochodzi tylko ze składek). Do szacowania wartości ubezpieczanych budowli i wyceny strat pożarowych powołano wykwalifikowanych taksatorów. Ujednolicono składki ubezpieczeniowe, które okresowo wyznaczało teraz MSW w Petersburgu. Zlikwidowano obowiązującą od 1870 r. górną granicę odszkodowania 5 tys. rubli.

W Galicji ustawą o policji ogniowej każda gmina została zobowiązana do wydania regulaminu ogniowego. Miasta dzielono na dzielnice, w których wybierano dzielnicowego delegata ogniowego, nadzorującego przestrzeganie przepisów przeciwpożarowych i postanowień regulaminów. W każdym z regulaminów znajdował się

m.in. rozdział dotyczący obowiązków związanych z czyszczeniem kominów i utrzymywaniem ich w należytym stanie technicznym. Jednym z podstawowych działań mających uchronić miasta przed pożarami masowymi było wyznaczanie rejonów ogniodpornych, czyli takich, w których stawiano budynki tylko z materiałów ogniotrwałych. Rejony te wyznaczały rady miejskie, przeważnie na podstawie opinii specjalnie w tym celu powoływanych komisji. Bywało, że rejon po jakimś czasie rozszerzano, np. po pożarach w Nowym Sączu w 1911 r. strefą ogniotrwałą objęte zostało całe miasto.

Jak i czym gaszono

Wiadomo od dawna, że na skuteczność działań gaśniczych wpływają przede wszystkim trzy elementy: czas powiadomienia straży o pożarze, wyszkolenie strażaków uczestniczących w akcji i sprzęt, jakim dysponują. Początek końca ery jazdy do pożaru „na dym” stanowiło w miastach rozpowszechnienie telegrafu. Już w latach 80. XIX w. z Warszawską Strażą Ogniową (WSO) połączonych było telegrafem dwanaście szafek alarmowych w części lewobrzeżnej miasta i siedem na Pradze. W Krakowie zainstalowano w 1887 r. telegraf firmy Siemens, pełniący funkcję publicznej sygnalizacji alarmowo-pożarowej. Urządzenie to, modernizowane, działało do 1970 r. W telegraf tej samej firmy wyposażono w 1903 r. Katowice, gdzie do trzech linii dozorowych podłączono 22 punkty powiadamiania o pożarze. Telegraf nie zachwycał jednak zbyt długo, bo szybko znalazł uznanie telefon, opatentowany w marcu 1876 r. przez Alexandra Grahama Bella. Do uruchomienia w 1882 r. pierwszej w Warszawie centrali telefonicznej podłączono około 160 abonentów, w tym cztery oddziały WSO. Wynalazek i związane z nim dobrodziejstwa wywołały duże zainteresowanie, czego efektem stało się dosyć szybkie upowszechnienie łączności telefonicznej w stolicy. W 1913 r. zarejestrowanych było już prawie 30 tys. telefonów w mieszkaniach, urzędach i aparatów ulicznych. Czatownie strażackie straciły na znaczeniu, ale w Warszawie rozebrano tylko jedną, w Oddziale I na Nalewkach, jako że była drewniana.

Wynaleziony w XVIII w. przez Thomasa Newcomena, a później udoskonalony przez Jamesa Watta silnik parowy trafił do pożarnictwa w 1830 r., kiedy to sikawkę parową wykonała Fabryka Maszyn Johna Braithwaite'a. Pierwsza sikawka parowa dla Warszawskiej Straży Ogniowej została zakupiona w 1864 r., a kolejne dwie w następnym. Służyły one blisko 20 lat. W 1884 r. wymieniono je na trzy nowocześniejsze i wydajniejsze sikawki firmy Shand Mason. Trafiły do oddziałów: I, II i IV. Pozostałe dwa oddziały otrzymały sikawki parowe dopiero po zakupach dokonanych w 1911 r. Wszystkie sikawki były przystosowane do zaprzęgu konnego, załogę stanowiło od sześciu do ośmiu osób: dowódca, woźnica, maszynista, palacz i czterech strażaków. Ogień pod kotłem rozpalany był już w strażnicy, bo czas potrzebny na osiągnięcie ciśnienia roboczego wynosił około 10-15 min, a więc mniej więcej tyle, ile dojazd do pożaru. Wydajność tych nowszych sikawek parowych wynosiła przeważnie 1600 l/min. Dawało to możliwość operowania prądami wody na dużą odległość, bez forsownego machania ramionami pompy, nieodzownego w przypadku jeszcze wówczas powszechnych sikawek ręcznych. W jednym ze swoich licznych tekstów o pracy strażaków Bolesław Prus tak relacjonował w „Kronikach” gaszenie pożaru budynku na rogu Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia: „W oknach czwartego piętra i na szczycie płonącego domu lśniły się mosiężne hełmy strażaków, którzy chodzili z taką swobodą po brzegach dachu, jakby tam dla nich specjalnie pourządzano wygodne asfaltowe chodniki. [...] Tymczasem potężne strumienie wody z sykiem lały się na dach już dobrze rozgrzany. W jednym z okien szturmowanego domu, od Krakowskiego Przedmieścia, ukazała się sznurkowa drabinka, w drugim, od Królewskiej ulicy, gruba kieszka parowej sikawki”.

Pod koniec XIX w. Warszawa mogła się szczycić łatwym i wygodnym dostępem do wody, która w 1886 r. popłynęła nowoczesnym w skali europejskiej systemem wodociagowym, zaprojektowanym na zlecenie prezydenta Starzyńskiego przez Williama Lindleya (wcześniej istniał już w Warszawie wodociąg zaprojektowany przez Henryka Marconiego, ale okazał się za mało wydajny). W Warszawie pojawiły się liczne hydranty, które znacząco ułatwiały strażakom zaopatrzenie w wodę gaśniczą.

Sam wyjazd oddziału WSO do akcji odbywał się z wielkim szykiem. Przed wszystkimi zaprzęgami jechał konno brandmajster, za nim dwie sikawki konne, dalej sześć beczkowozów (liczba ta zmniejszała się wraz z rozwojem sieci wodociagowej), którymi powoził po dwóch ludzi, następnie jeden lub dwa omnibusy wiozące strażaków i wóz rekwizytowy ze sprzętem. Cały taki tabor oddziałowy nazywano obozem, a liczył on około 40 osób. Każdy pojazd, oprócz beczkowozów, sygnalizował swój przejazd

biciem w dzwon zawieszony nad głową strażaka siedzącego obok woźnicy. Strażak zwiadowca-przewodnik ostrzegał przechodniów i inne pojazdy sygnałem granym na trąbce. Taki schemat obowiązywał w Warszawie do czasu objęcia komendatury WSO przez Józefa Tuliszkowskiego we wrześniu 1915 r. Warto wspomnieć, że Tuliszkowski podzielił każdy oddział na trzy plutony. Do akcji wyjeżdżał nie cały obóz, jak dotychczas, lecz najpierw pierwszy pluton, nazywany pogotowiem, składający się z jednego wozu, zabierającego ośmiu ludzi i komplet sprzętu potrzebnego do ugaszenia małego pożaru – a takie stanowiły większość. Drugi pluton wyjeżdżał od razu, gdy informacja o pożarze wskazywała na jego duże rozmiary, lub wezwany na pomoc pogotowiu. Jego siłę tworzyło 20 strażaków na dwóch lub trzech wozach, sikawka parowa, wóz rekwizytowy z wieloma odcinkami węży i drabina mechaniczna. Trzeci pluton, w którego skład wchodził omnibus, sikawka i kilka beczkowozów, przeznaczony był do wyjazdu na peryferie, gdzie nie było hydrantów, lub jako wsparcie przy dużych pożarach.

W stosunku do drugiej połowy XIX w. początek nowego stulecia nie przyniósł większych zmian w sposobie gaszenia pożarów w małych miastach i na wsiach. Ochotnicze straże pożarne posiadały przede wszystkim sikawki ręczne różnej wielkości: czterokołowe, dwukołowe i przenośne. W ich wyposażeniu były też czterokołowe i dwukołowe beczki na wodę, wężę do sikawek, drabiny (hakowe i mechaniczne), wozy rekwizytowe i sprzęt pomocniczy: bosaki, topory, tłumice, wiadra itp. Do wyjątków należały straże ochotnicze posiadające sikawki parowe.

Jedną z tych nielicznych była OSP w Pabianicach, wyposażona w 1912 r. w dwie takie maszyny, zakupione przez miejscowych przedsiębiorców. W strażach fabrycznych, tworzonych i urządzanych przez właścicieli dużych zakładów, sprzęt gaśniczy był zdecydowanie lepszy. Ale jedną z najlepiej wyposażonych technicznie jednostek straży stanowiła miejska OSP w Kaliszu. W 1913 r. poza sikawką parową i ośmioma ręcznymi z zasobem węży posiadała sikawkę motorową, czyli motopompę – pierwszą w Królestwie Polskim, a podobno



Samochód osobowo-rekwizytowy, który Miejska Straż Pożarna w Krakowie otrzymała w 1907 r. do jazd próbnych
fot. „Nowości Ilustrowane” nr 40 z 5 października 1907 r.

nawet w całym Cesarstwie Rosyjskim. Najwcześniej, już pod koniec XIX w., sikawki motorowe zastosowano w Niemczech, przy czym były to ciężkie urządzenia na czterokołowym podwoziu. Pierwszą przenośną motopompę wyprodukowała firma Konrada Rosenbauera z Linzu w 1910 r. Według znawcy historii techniki pożarniczej, nieżyjącego już pułkownika Henryka Kalicieckiego, straże pożarne w Kongresówce i Galicji (bez Warszawy, Łodzi i Krakowa) dysponowały w 1913 r. następującym sprzętem (PP nr 8/1978): 3079 sikawkami (w tym 37 motopompami) i 3975 beczkowozami (w tym 992 metalowymi), miały też 501 konnych

wozów rekwizytowych, 78 938 m węży tłocznych i 11 047 m węży ssawnych.

Początki motoryzacji

Efektem XIX-wiecznych odkryć i wynalazków technicznych były m.in. liczne konstrukcje samobieżnych pojazdów, które szybko trafiły do wyposażenia niektórych straży pożarnych, przeważnie w dużych i zamożnych miastach. Najpierw udoskonalono sikawkę parową, dokładając do niej drugą maszynę parową napędzającą układ jezdy. Ciężar tych pojazdów, przy małej ilości dróg utwardzonych, ograniczał możliwości dojazdu do pożaru. Dużą trudność sprawiała też konieczność stałego utrzymywania ognia w palenisku. W efekcie konstrukcje te nie znalazły powszechnego zastosowania w strażach pożarnych. Kolejnym rozwiązaniem, wprowadzonym na przełomie XIX i XX w., były samochody z napędem elektrycznym. Pierwsze dwa takie pojazdy trafiły w 1902 r. do straży w Hanowerze, a nieco później do Monachium i Berlina. Niemieckie doświadczenia wykazały, że samochody o napędzie elektrycznym są w strażach pożarnych bardziej przydatne niż parowe, jednakże i one nie znalazły szerokiego zastosowania z powodu ograniczonego zasięgu oraz

kłopotliwego i kosztownego ładowania akumulatorów. Dopiero po zastosowaniu w samochodach silników spalinowych rozpoczął się prawdziwy przełom w wyposażeniu technicznym straży pożarnych. Pierwsze samochody pożarnicze nie były przystosowane do przewożenia sprzętu gaśniczego, służyły głównie jako środek transportu dla strażaków, sztabu lub komendanta. Od takich właśnie osobówek rozpoczęło się w 1900 r. motoryzowanie straży paryskiej. W 1906 r. samochód benzynowy marki Beckmann posiadało już dowództwo straży we Wrocławiu, gdzie samochody te były właśnie produkowane. W pierwszych latach XX w. cieszyły się one dużym uznaniem. W rozegranym w 1903 r. rajdzie samochodowym na trasie Wrocław-Wiedeń zdobyły trzy pierwsze miejsca. Wybuch I wojny światowej zakończył dobrą passę ich twórców i producentów, obecnie jest na świecie podobno tylko jeden samochód tej marki. Dłużej na rynku motoryzacyjnym działała w Szczecinie fabryka Stoewer. Automobil tej firmy zakupiła dla komendanta w 1908 r. straż pożarna w Szczecinie. Wyraźnie bliskość producenta sprzyjała wyposażaniu jednostek strażackich w samochody. W pozostałościach po zakładach Stoewer produkowany był w PRL-u kultowy motocykl Junak.

W kolejnych latach zaczęto montować w pożarniczych samochodach spalinowych pompy, a w 1909 r. firma Metz wyprodukowała pierwszy samochód gaśniczy z autopompą i zbiornikiem na wodę. Pojawiły się też drabiny samochodowe (wcześniej Magirus montował drabiny na samochodach parowych – pierwszą w 1904 r.). W 1910 r. wrocławska straż pożarna posiadała 26-metrową drabinę Magirusa na podwoziu Daimlera oraz dwa samochody gaśnicze. Straż poznańska otrzymała w 1911 r. (na stronie internetowej poznańskiej KM PSP podany jest 1912 r.) od razu cztery samochody: z drabiną, dwa gaśnicze i osobowy.



Wynalezienie telefonu zrewolucjonizowało absolutnie wszystko
fot. Wikipedia / domena publiczna



„Regulamin ogniowy” Starego Sącza z 1910 r.
fot. z oryginału Jerzy Gutkowski



Ochotnicza Straż Pożarna w Starym Sączu w 1912 r.
fot. archiwum OSP w Starym Sączu



Drabina pożarnicza Magirus, 1904 r.
fot. Wikipedia / domena publiczna

W Krakowie zaczęło się fatalnie. Wielkim orędownikiem szybkiej motoryzacji był tu naczelnik Miejskiej Straży Pożarnej Feliks Nowotny. Uważał, że zakup nowoczesnego sprzętu nie tylko umożliwi szybki dojazd do pożarów, ale znacznie zmniejszy koszty generowane utrzymywaniem koni. By przekonać do pomysłu rajców, porozumiał się z jedną z wiedeńskich firm, która w październiku 1907 r. wypożyczyła krakowskiej straży nowy model benzynowego samochodu osobowo-rekwizytowego zabierającego dziesięć osób. Automobil był czterokrotnie z powodzeniem wykorzystywany podczas akcji gaśniczych. Niestety, podczas kolejnej jazdy do pożaru, w nocy z 3 na 4 listopada, doszło do śmiertelnego wypadku. Wydarzenie to odbiło się szerokim echem, bo był to w Krakowie pierwszy wypadek śmiertelny z udziałem samochodu. Na najbliższym posiedzeniu Rady Miejskiej radny Ignacy Daszyński powiedział: – *Rzecz ta jest związana z używaniem automobilu, który gmina ma kupić dla straży pożarnej. Chciałbym się tu dowiedzieć, jak rzecz się ma z tym automobilem. Całe miasto zgorzzone jest wypadkiem.* Sprawa upadła, samochód odesłano. Temat powrócił dopiero po 7 latach. Z chwilą wybuchu I wojny światowej Miejska Straż Pożarna w Krakowie została zmilitaryzowana i przeszła pod komendę wojskowego dowództwa austriackiego. Naczelnik Feliks Nowotny przekonał nowych zwierzchników, że zmotoryzowanie znacznie poprawi skuteczność gaśniczą, tak ważną w warunkach wojennych. W październiku 1914 r. trafiły do krakowskiej straży dwa samochody osobowo-rekwizytowe produkowane w zakładach Wiener Neustadt.

Warszawska Straż Ogniowa była niestety pod względem zmotoryzowania daleko w tyle za większością zawodowych straży, które powstały przecież dużo później od niej. Wprawdzie na początku 1914 r. wypożyczono od niemieckiej firmy Büssing samochód do przeprowadzenia prób i testów, które wypadły pomyślnie, ale na pierwszy samochód musieli warszawscy strażacy czekać jeszcze 2 lata. Podstawę stanowiły zatem ciągle pojazdy konne. W 1913 r. w stajniach pięciu oddziałów WSO czuwały w sumie 193 konie.

Wybuch konfliktu światowego w 1914 r. i przetaczające się przez polskie ziemie fronty bitewne tylko zwiększały zagrożenie pożarowe, ale w miarę rozwoju sytuacji wojennej i międzynarodowej coraz mniej mglista stawała się nadzieja, że w końcu Polacy zaczną sami decydować o swoich sprawach, w tym również o ochronie przeciwpożarowej. ☞

Jerzy Gutkowski należy do grona pierwszych absolwentów Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej. Jest autorem publikacji dotyczących historii pożarnictwa. Był współzałożycielem kwartalnika „Pożarniczy Przegląd Historyczny” (ukazującego się w latach 1982-1989), a w latach 1982-1984 jego redaktorem prowadzącym

LITERATURA

- J. Gutkowski, *Warszawska Straż Pożarna 1836-2016*, Warszawa 2016.
- J. Gutkowski, *Ochotnicza Straż Pożarna w Starym Sączu 1874-2019*, Stary Sącz 2019.
- P. Matusak, *Tradycje i profil ideowy ruchu strażackiego w Polsce*, [w:] „Z dziejów ochotniczych straży pożarnych” – Zeszyty Historyczne ZOŚP RP, t. VI, Warszawa 2007.
- J. Moniczewski, L. Buczak, *A tu się pali jak cholera! Szkice z dziejów Krakowskiej Straży Pożarnej*, Kraków 2010.
- T. Olejnik, *Towarzystwa Ochotniczych Straży Ogniowych w Królestwie Polskim*, Warszawa 1996.
- W. Piławski, *Historia sikawek, motopomp i samochodów pożarniczych*, Warszawa 1994.
- S. Rejman, *Działalność samorządów gminnych w zakresie bezpieczeństwa i porządku publicznego w znacniejszych miastach zachodniogalicyskich w latach 1889-1914*, Rzeszów 2013.
- J. Skorupski, *100 lat motoryzacji straży pożarnych w Warszawie*, Warszawa 2021.
- R. Szaflik, *Dzieje ochotniczych straży pożarnych w Polsce do 1939 r.*, [w:] „I Sympozjum Historyczne Związku Ochotniczych Straży Pożarnych”, Warszawa 1979.

A.D. 1912

Codziennosc strażacka



Rok 1912. Nie było Polski, ale byli polscy strażacy. W Galicji mogli swobodnie posługiwać się językiem polskim. W Królestwie Polskim zaborca dostrzegał zagrożenie w rodzącym się polskim ruchu strażackim. W Wielkopolsce, na Pomorzu i Śląsku pożarnictwem zarządzali Niemcy. Za 2 lata wybuchnie I wojna światowa. W takich okolicznościach rodził się „Przegląd Pożarniczy”, a życie codzienne strażaka miało swoje blaski i cienie.



Zjazd przedstawicieli polskich straży pożarnych Królestwa Polskiego
w Częstochowie, 1909 r.
fot. ze zbiorów CMP Mysłowice

Dariusz Falecki

Pierwsze próby zorganizowania polskiego pożarnictwa przypadły na drugą dekadę XX w. Podczas ogólnopolskich zjazdów strażackich kielkowała myśl utworzenia samodzielnego związku. W sierpniu 1912 r. odbył się zjazd we Włocławku. Kilka miesięcy później ukazał się pierwszy numer „Przeglądu Pożarniczego”. Szeregowy strażak siłą rzeczy był uwikłany w tryby wielkich wydarzeń, które wkrótce zmieniły losy Europy i Polski.

Polityka

Po rewolucji 1905 r. władze rosyjskie zliberalizowały politykę społeczną wobec Polaków. Zdawały sobie sprawę z zagrożenia, jakim było funkcjonowanie umundurowanych służb grupujących osoby polskiego ducha, jednak straże pożarne były po prostu potrzebne w obszarze bezpieczeństwa. Rosjanie dążyli do obsadzania stanowisk kierowniczych osobami lojalnymi. Pozyskiwali je sobie przez nadawanie odznaczeń i wyróżnień, co nie znaczyło, że Polacy

nie zajmowali wysokich stanowisk, prowadząc propolską działalność w ramach obowiązującego prawa.

Kim byli strażacy?

Odpowiedź na to pytanie podał Konstanty Wysznacki w „Przeglądzie Pożarniczym” w artykule pt. „Kto to są strażacy ochotniczy?”. Materiał pochodzi z 1931 r., jednakże informacje autor gromadził dużo wcześniej, opierając się na danych z Kasy Strażackiej. Niemal w 40% strażakami były osoby poniżej 25. roku życia. 57% stanowili mężczyźni w wieku od 25 do 50 lat. Osoby starsze stanowiły zaledwie 3%. Wśród strażaków przeważali żonaci mężczyźni – 52%. Kawalerów było 48%.

W Galicji 47,5% strażaków stanowili chłopci, 24,5% rzemieślnicy, a ok. 20% robotnicy fabryczni i robotnicy niewykwalifikowani. Ciekawe dane pochodzą z lat 20. XX w. z Zarządu Wojewódzkiego Związku Straży Pożarnych w Kielcach. Na terenie całego województwa było 306 strażaków z wyższym wykształceniem, z niepełnym wyższym – 77, średnim – 849, niepełnym średnim – 824, podstawowym – 10 012, niepełnym podstawowym – 17 785, analfabetów aż 888.

Na terenie Galicji spośród 252 osób (przełom XIX i XX w.) zakładających strażę pożarną w swoich miejscowościach 40 było urzędnikami, 32 właścicielami ziemskimi lub zarządcami majątków, 31 księżmi, 31 burmistrzami, 25 lekarzami, 17 notariuszami, 17 sędziami i adwokatami, 13 aptekarzami, 11 nauczycielami, dziewięć naczelnikami gmin, sześć chłopami, pięć starostami powiatowymi, trzy inżynierami, trzy rzemieślnikami, dwie właścicielami zakładów przemysłowych, dwie kupcami, dwie organistami, a jedna leśniczym.

Sytuacja uległa niebawem zmianie. Po 1910 r. w nowo założonych jednostkach dominowali przedstawiciele rzemieślników, robotników i chłopów. Miało to związek z rozwojem nowych prądów ideowych propagowanych przez Polską Partię Socjalistyczną. Wówczas odsunęły się od straży pożarnej warstwy inteligentne.

Finanse

Strażacy borykali się na co dzień z wysokimi kosztami działalności gaśniczej, ratowniczej i biurowej. Na przykład w miejskiej straży ogniowej w Kielcach wydatki na obsługę kancelarii wynosiły rocznie ok. 300 rubli (dzienna płaca robotnika to ok. 120 kopiejek), na konserwację i utrzymanie narzędzi ogniowych przeznaczono 150 rubli. Poważnym wydatkiem było w Kielcach opłacenie czatowników. Podobnie w Warszawie i Radomiu. Na zapomogi dla członków straży wydano w Radomiu 600 rubli, w Kielcach tylko 11 rubli. Utrzymanie koni to wydatek ok. 500 rubli. W niektórych miastach wypożyczano je do prac pociagowych, za co straż pożarna

otrzymywała zapłatę. Pomimo codziennych bolączek ogół społeczeństwa i władze postrzegały działalność strażaków jako bardzo pożyteczną. Zdarzało się, że instytucje lub firmy, których majątek uratowała straż pożarna, okazywały wdzięczność, zasilając konto straży lub zamieszczając podziękowania w prasie w formie płatnych anonсів. Zakład ratyfikacji spirytusu w Kielcach przekazał straży ogniowej w 1908 r. nagrodę w wysokości 500 rubli. Mniejsze

kwoty – od 15 do 40 rubli – wpłacili właściciele sklepów i małych firm. Podobnie było w innych miastach Królestwa Polskiego. Zarządy straży pożarnych zabiegały na zebraniach o werbowanie majątnych mieszczan lub włościan, przedstawiciele władz miejskich i powiatowych, a nawet wojewódzkich, którzy mogli wpływać na korzystne dla strażaków zapisy subwencji w budżetach.

kandydat

Zarządy straży pożarnych starały się o pozyskanie osób o właściwych predyspozycjach. W Krakowie informowano kandydatów do miejskiej straży zawodowej, że strażak musi przestrzegać na co dzień dekalogu strażackiego, przez co rozumiano: szacunek do munduru, trzeźwość, czujność wraz z gotowością do poświęceń, wykazywanie się odwagą i posłuszeństwem wobec przełożonych, trzymanie porządku i dyscypliny, poczucie dumy z przynależności do organizacji, koleżeństwo, a także potrzebę społecznego działania. Strażak miał być na co dzień osobą umiejącą zachować zimną krew, z poczuciem karności i podległości służbowej.

Wstąpienie strażaka w szeregi stowarzyszenia dokonywało się na pisemną prośbę kandydata. W miejskiej zawodowej straży pożarnej w Krakowie wiek kandydata miał się mieścić w przedziale 20–40 lat. Strażak musiał być zdrowy i silny, mówić po polsku, nie mógł równocześnie pełnić służby wojskowej. Chętni do plutonu obsługującego sikawki ręczne nie mogli mieć dzieci ani żon. Kandydat podpisywał kontrakt i składał przysięgę przed prezydentem miasta. Za wykroczenia regulamin przewidywał areszt od 12 do 48 godz., karę pieniężną, degradację, a nawet wydalenie ze służby. Strażakom zawodowym w Krakowie przysługiwała bezpłatna opieka lekarska, w razie wypadku byli przenoszani do innej służby miejskiej lub otrzymywali dożywotnią rentę.

Warunki bytowe

W Białostockiej Straży Ogniowej obowiązkiem strażaków było stałe przebywanie na posterunku. Nie stosowano systemu zmianowego. Strażacy mieszkali w jednym dużym pomieszczeniu. Wydzielono w nim miejsce na sypialnię, jadalnię i pomieszczenie wykładowe. Garderoba i rzeczy osobiste przechowywane były w drewnianych szafkach. Kąpiel odbywała się raz w tygodniu w łaźni miejskiej. Zarobki strażaka zawodowego kształtowały



St. Wnętrzak, naczelnik straży pożarnej w Hucie Katarzyna w Sosnowcu (Królestwo Polskie). Umundurowanie, dystynkcje i odznaki kroju rosyjskiego, ok. 1910 r. fot. ze zbiorów CMP Mysłowice



Ćwiczenia w sali gimnastycznej straży pożarnej we Lwowie, druga dekada XX w.
fot. ze zbiorów p. Andrzeja Azyana



Uroczystość w sali gimnastycznej straży pożarnej we Lwowie, druga dekada XX w.
fot. ze zbiorów p. Andrzeja Azyana

się w Białymstoku na poziomie 25 rubli – komendant, 19 rubli – wachmistrz, 18 rubli – oficer młodszy, 15 rubli – strażak szeregowy (cena chleba to wówczas 3 kopiejki). Obiady gotowano we wspólnej kuchni. Śniadania i kolacje strażak przygotowywał we własnym zakresie. W kuchni była dostępna dla wszystkich gorąca woda. Działalność oddziału zawodowego straży ogniowej finansowało miasto. A strażacy byli w większości kawalerami.

Alarm

Jeszcze pod koniec XIX w. w dużych miastach alarm ogłaszał czatownik z wysokiej wieży w remizie. Była to osoba dobrze znająca teren. Czatownik podawał dowódcy i woźnicy dokładny adres zdarzenia. W remizie wisiał na ścianie duży plan miasta. Potem, ok. 1912 r., alarmowanie straży dokonywało się przez telegraf. Dyżurny natychmiast zapalał oświetlenie w koszarach i w stajni. Otwierał drzwi garażowe, sprawdzał prawidłowe zawieszenie uprzęży przy wozach konnych. Strażacy wyznaczeni do ostrego pogotowia zakładali mundury i wybiegali do taboru, zapinali pasy, zakładali hełmy i linki, które były ułożone już wcześniej przy siedzisku. W dużych miastach straże zawodowe dysponowały systemem pożarowskazów (sieć zbliżona działaniem do telegrafu). We wsiach, gdzie nie było elektryczności, podczas alarmu wyznaczano strażaka do zapalenia pochodni. Zimą, gdy knoty pochodni były zimne i długo się zapalały, strażak używał butelczki z benzyną i zapalek.

Tabor

Około 1912 r. w podziałach bojowych przeważały pompy ręczne zabudowane na konnych wozach czterokołowych, ponadto wozy do transportu sprzętu z ławkami dla załogi (rekwizytowe), beczkowozy, zestawy burzące i węzowe. Całość nazywano tabor.

Wozy były ciężkie (o masie całkowitej około tony), nie wszystkie miały resory. Na stanie straży zawodowej pozostawało zwykle sześć koni. Konieczna była ich codzienna obsługa, czyli wyżywienie, napojenie i mycie. Tabor strażacki poruszał się galopem, tworzył kolumnę w porządku określonym regulaminem. Pierwszy wyjeżdżał wóz z pompą ręczną, za nim beczkowozy. Na ostatnim wozie wisiała lampa z ciemnoczerwonym kloszem. Trzymano odstęp na długość jednego wozu. Komendant stał na pierwszym wozie po prawej stronie. Z przodu siedział woźnica, obok strażak z sygnalówką. Instrument dęty ostrzegał osoby postronne. Niestety, dochodziło do wypadków i potrażeń pieszych. Po dotarciu do akcji rozkładano sprzęt i podłączano pompę za pomocą węży ssawnych do beczkowozów lub hydrantów, w miastach z siecią wodociagową. W przypadku dużego pożaru do pompowania wody byli wyznaczani mieszkańcy. Opornych policja doprowadzała na miejsce akcji.

Akcja

Każdy strażak miał wyznaczone zadanie (podział). Woźnica obsługiwał jednego konia, pomagał mu jeden strażak. Woźnica wprowadzał zwierzę, narzucał chomąto, wkładał wędzidło do kółek przy uździe (część uprzęży). Pomocnik zaś równał konia i zakładał pas postronkowy na orczyk. W dużych miastach woźnica dysponował dwoma końmi i tym samym dwoma strażakami do pomocy. Układaniem linii węzowych zajmował się prądownik. W akcji brali udział ponadto: trójnikowy, hydrantowy i kontroler. Podczas gaszenia pożaru pompę obsługiwali sikawkowi. Strażak (wodny) dostarczał wodę z innego punktu czerpania niż hydrant. Konną drabinę obrotową obsługiwało czterech strażaków, drabinę drążkową (trójprzęsłową) również czterech, drabinę francuską dwóch, drabinę Szczerbowskiego dwóch lub trzech. Drużyna toporników składała się z kilku strażaków, których część mogła być zadyspo-



Ćwiczenia Lwowskiej Straży Ogniowej na podwórzu, ok. 1910 r.
fot. ze zbiorów autora



Unikatowa fotografia przedstawiająca strażaków OSP Słominki
po zgaszeniu pożaru, lata 1910-1920
fot. ze zbiorów Michała Malisza

nowana do pomocy przy obsłudze drabiny mechanicznej. Drużynę ratowników tworzyło sześciu do ośmiu strażaków. Obsługiwali oni płótno ratunkowe, mieli podręczny sprzęt do udzielania pierwszej pomocy.

Biuro

W archiwach państwowych napotkać można zespoły akt poszczególnych jednostek jeszcze sprzed 1914 r. Korespondencję prowadzono odręcznie, dokumentację grupowano rocznikami w teczkach tekturowych. W strażach ochotniczych w dużych miastach pisano na maszynie. Zamówienia na zakup sprzętu wysyłane były w formie zapytań do kilku firm. Producenci sprzętu odpowiadali na papierze firmowym, załączając katalogi i instrukcje obsługi. Księgi rachunkowe przychodów i rozchodów prowadzono w zeszytach. Już wtedy wymagało to wiedzy z rachunkowości. Kwestionariusze osobowe gromadzono w oddzielnych teczkach. Prowadzono rejestr obecności na zbiórkach i ćwiczeniach, a także rejestry sprzętu i rejestry wyjazdów z wyszczególnieniem alarmów fałszywych. Wyjazdów było od 40 do 60 na rok. Kancelista wykonywał odręczne tabelki. Charakterystyczne jest piękne kaligraficzne pismo.

Po 1910 r. wprowadzono formularz „Raport o pożarze”, zawierający: datę i miejsce zdarzenia, liczbę strażaków zadysonowa-

nych do akcji, godzinę wyjazdu i przybycia, siłę wiatru, użyte narzędzia, straty materialne, kierownika akcji, osobę, która się wyróżniła, sprzęt pożyczony innym strażom, sprzęt, który uległ uszkodzeniu, wypadki z udziałem ludzi i koni. W późniejszych latach prowadzono rejestr zakupu paliwa do motopomp i samochodów.

Integracja

Korzystny wpływ na integrację strażaków miały wydarzenia okolicznościowe. Na stałe w kalendarz strażacki wpisały się koleżeńskie opłatki z okazji świąt Bożego Narodzenia. Kolędy grała orkiestra strażacka. W karnawale organizowano bale strażackie. Oprócz rodzin strażaków mogły w nich uczestniczyć osoby postronne, ale po zakupie biletu. W drugiej dekadzie XX w. odbywały się wycieczki krajoznawcze. W Królestwie Polskim popularnością cieszyły się wycieczki do stolicy, Kazimierza nad Wisłą, Ojcowa i okolic. Kolejnym aspektem integracyjnym były wydarzenia o charakterze kulturalno-oświatowym (odczyty, prelekcje, wieczornice). Przy organizacji tego typu wydarzeń współpracowały nierzadko strażackie pokolenia – ojciec, syn i bracia.

Do współpracy angażowały się kobiety – żony strażaków. Służyły radą i wsparciem. Udzielały się w kółkach teatralnych i chórach. Właśnie w tym okresie, w latach 1910-1912, kobiety na fali ruchu emancypacyjnego zaczęły szukać swojego miejsca w organizacjach strażackich, co skutkowało zakładaniem drużyn żeńskich. Oficjalny projekt w tej sprawie zgłoszono na zjeździe straży pożarnych we Włocławku w 1912 r.

Górny Śląsk

Tylko Katowice i Królewska Huta (obecnie Chorzów) miały miejskie zawodowe straże pożarne. Wszyscy członkowie straży zawodowej w Katowicach byli na etatach miejskich, pracowali na terenie jednostki 8 godz. dziennie (na trzy zmiany). Etaty i sprzęt finansowano z budżetu miasta. Służbę pełniło w jednostce 10 strażaków. W razie pożaru alarmowano 20 strażaków straży rezerwowej (pracownicy sąsiedniej gazowni miejskiej) oraz ok. 40 strażaków z miejskiej OSP. Zawodową Straż Pożarną w Królewskiej Hucie tworzyły: Oddział I (dowódca, czterech starszych strażaków i 12 strażaków),



Siedziba i tabor Miejskiej Straży Zawodowej w Królewskiej Hucie,
ok. 1910 r.
fot. ze zbiorów autora



Korespondencja w języku rosyjskim zakładowej straży pożarnej fabryki lin i drutu Deichsel w Sosnowcu, 1908 r.
fot. ze zbiorów CMP w Mysłowicach

Oddział II (23 strażaków – pracownicy magistratu, odpowiednio przeszkoleni i umundurowani). Strażacy z Oddziału I zatrudnieni byli w warsztatach na terenie jednostki. Do ich obowiązków należała konserwacja sprzętu, naprawa wozów konnych, montaż instalacji telefonicznych, obsługa centralki telefonicznej w ratuszu.

W zarządach straży ochotniczych zasiadali zdeklarowani Niemcy. Członkami szeregowymi byli autochtoni, nierzadko polskiego ducha. Strażak ochotnik uczestniczył w regularnych zbiórkach i ćwiczeniach. Nie otrzymywał za to pieniędzy. Na tzw. Śląsku Zielonym (Pszczyna, Rybnik, Mikołów) w większości istniały ochotnicze straże pożarne we wsiach i miasteczkach.

W zakładowych strażach pożarnych

W kopalniach, hutach i fabrykach działały zakładowe straże pożarne zawodowe lub ochotnicze ze stałym pogotowiem. Należały do najlepiej wyposażonych. Przykładowo w założonej w 1912 r. w Nikiszowcu (obecnie dzielnica Katowic) zakładowej straży pożarnej koncernu Giesche strażak był na etacie robotnika (huty lub kopalni). Każdy miał na własność kompletne umundurowanie. W razie alarmu odstępował od miejsca pracy i uczestniczył w akcji. Gdy trwała dłużej, otrzymywał dodatek do pensum – do 10% miesięcznych poborów. Strażacy byli zobowiązani do regularnych ćwiczeń na terenie zakładu. W umowie o pracę znajdowała się adnotacja, że w przypadku pożaru lub innego zdarzenia mają obowiązek wyjazdu do innego miasta lub dzielnicy. Życie strażaka w dużym i średnim mieście było zdominowane przez pracę, nierzadko trwającą 10 godz. dziennie. Miejsce zamieszkania stanowił familok, czyli dom wielorodzinny ulokowany przy zakładzie. Należy pamiętać, że w zarządach wszystkich rodzajów straży pożarnych na Śląsku zasiadli Niemcy. Była to inteligencja techniczna – inżynierowie i majstrowie. Członkami szeregowymi byli autochtoni o indyferentnym poczuciu narodowościowym.

Zagłębie Dąbrowskie

Ciekawa sytuacja panowała w 1912 r. w Zagłębiu Dąbrowskim. Do wybuchu I wojny światowej ochronę przeciwpożarową na terenie uprzemysłowionym prowadziły zakładowe straże pożarne.

Własność zakładów stanowił kapitał niemiecki, w zarządach straży pożarnych zasiadali Polacy, rzadziej Rosjanie. Umundurowanie i dystynkcje były rosyjskie, członkami szeregowymi byli Polacy. Korespondencję kancelaryjną prowadzono w języku rosyjskim lub niemieckim. Na co dzień strażak szeregowy był robotnikiem, rzemieślnikiem lub kupcem. Pomimo styczności ze sobą kilku narodowości nie dochodziło do zatargów na tym tle.

Śląsk Cieszyński

W 1912 r. region ten przynależał do Austro-Węgier. Funkcjonowały tam straże ochotnicze, w większości niemieckie lub czeskie. Inicjatorem powoływania jednostek polskich był Klemens Matusiak – na co dzień nauczyciel w szkole powszechnej we wsi Trzanowice, która po 1920 r. znalazła się na Zaolziu w Czechach. W zarządach polskich straży pożarnych na Śląsku Cieszyńskim przeważali nauczyciele. Za służbę strażacką nie otrzymywali wynagrodzenia.

W Księstwie Cieszyńskim dochodziło do kuriozalnych sytuacji, kiedy jednostki czeskie rywalizowały z polskimi pod względem czasu dotarcia do zdarzenia. Wymagało to regularnych ćwiczeń oraz codziennej dbałości o sprzęt. Klemens Matusiak wspomina, że około 1910 r. straż pożarna, która zdecydowała się wprowadzić polskie emblematy i komendę, otrzymywała niższe subwencje od niemieckiego Związku Krajowego w Opawie. W szeregach tamtejszych OSP przeważali rolnicy i drobni rzemieślnicy.

Edukacja

Strażacy – przedstawiciele lokalnej inteligencji dbali o edukację. Inicjatywą taką wykazał się Stanisław Kruszewski, naczelnik OSP Wymyślin (dziś woj. kujawsko-pomorskie). Był z zawodu nauczycielem. W 1895 r. założył Oświatę Dorosłych – formę doskonalenia miejscowej ludności. Raz w tygodniu uczył niepiśmiennych druhów czytania, pisania i rachunków. Lekcje odbywały się oficjalnie w języku rosyjskim, a nieoficjalnie Kruszewski uczył języka polskiego. Inny członek zarządu OSP, ziemianin Feliks Flato, podarował Kruszewskiemu księgozbiór, który stał się zasobem założonej potem Czytelni Ludowej. Podobna czytelnia powstała przy OSP Rypin, z inicjatywy Władysława Cholewińskiego – lekarza i członka OSP. Po 1905 r. prowadzono w niej tajne nauczanie w języku polskim. Za tę działalność Cholewiński został uwięziony w twierdzy Modlin. Do powstających bibliotek strażackich starano się sprowadzać prasę strażacką. Założony w 1912 r. i mający ogólnopolski charakter „Przegląd Pożarniczy” świetnie się do tego nadawał. Polskiej prasy pożarniczej było jak na lekarstwo. Lokalny charakter miał galicyjski „Przewodnik Pożarniczy” pod redakcją Antoniego Szczerbowskiego i warszawski „Strażak” pod redakcją Emila i Leopolda Szyller-Rackich. Rozkwit polskich tytułów strażackich przypadnie dopiero na międzywojnie. ☞

Literatura dostępna u autora

Dariusz Falecki jest naczelnikiem Wydziału Naukowo-Oświatowego w CMP w Mysłowicach

Historia podręcznego sprzętu gaśniczego



Chociaż ocenia się, że śmiercią techniczną (oznaczającą stan, kiedy urządzenie nie spełnia już minimalnych wymogów formalnoprawnych bądź użytkowych) „umiera” około 90-95% gaśnic, to odrzucenie ich jako użytecznego narzędzia byłoby poważnym błędem. Przydatność lekkiego, podręcznego sprzętu służącego do likwidacji zarzewi pożaru przez jedną, nawet słabo wyszkoloną osobę odkryto już w XVIII w.



Paweł Wolny

Pierwsza zarejestrowana gaśnica została opatentowana w Anglii w 1723 r. przez słynnego chemika Ambrose’a Godfrea. Miała zbiornik z płynem gaśniczym, a do jej uruchomienia wykorzystywany był ładunek z prochu strzelniczego zamknięty w cynowej komorze. Umieszczone na korpusie zapalnik, kiedy zaczęły oddziaływać na nie płomienie, inicjowały wybuch prochu strzelniczego, który służył rozpyleniu środka gaśniczego. Choć konstrukcja ta przypomina bardziej stałe urządzenie gaśnicze, to jest uznawana za praprzodka współczesnych gaśnic. Urządzenie, które uruchamiane było w sposób bardziej konwencjonalny i bez wątplenia można nazwać je gaśnicą, to rozwiązanie opracowane przez angielskiego pisarza i wynalazcę, kapitana George’a Williama Manbygo. W zależności od źródła: w 1813 r., 1816 r. lub 1818 r. zaprojektował on pierwszą przenośną gaśnicę nazywaną z francuska extinc-teur, co oznacza „coś, co gasi”, czyli ni mniej, ni więcej „gaśnica”. Ale czy

J. TULISZKOWSKI, GAŚNICE RĘCZNE: APARATY PRZECIWPOŻAROWE, TYPY, SYSTEMY I SPOSOBY ICH UŻYCIA, WARSZAWA 1924

Potrzeba fachowego przedstawienia i krytycznej oceny gaśnic ręcznych daje się coraz więcej odczuwać, gdyż, bądź co bądź, aparaty te, tak dotychczas w naszym świecie strażackim zaniedbane, zaczynają wchodzić w coraz to większe użycie. Sam, jako strażak, przez szereg lat poprzedniej służby (w Rydze, Kijowie i Zwierzyńcu) odnosiłem się z pewną nieufnością, a nawet niechęcią, do gaśnic ręcznych, uznając dobry prąd wody, topór i bosak w tęgich, sprawnych rękach strażaka za jedyne niezawodne narzędzia do walki z ogniem. Jednak kilkoletnia praktyka w straży ogniowej Warszawskiej i 4-o letnia praca nad ochroną przeciwpożarową obiektów wojskowych w Ministerstwie Spraw Wojskowych przekonały mnie o dużym znaczeniu gaśnic, statystyka bowiem i setki pożarów, ugaszonych w zarodku dzięki tym aparatom, wymownie świadczą o ich użyteczności.

pisownia oryginalna

pierwsze było to słowo, czy urządzenie, nie udało mi się określić. Zbudowane było natomiast z miedzianego naczynia o pojemności około 14 l roztworu „popiołu perłowego” (czyli węgla potasu) zmieszanego ze sprężonym powietrzem.

Ewolucja gaśnicy

Kolejna wersja gaśnicy powstała około 70 lat później. Almon M. Granger opracował rozwiązanie wykorzystujące reakcję roztworu wodorowęglanu sodu i kwasu siarkowego. W cylindrze zawieszono fiolkę zawierającą stężony kwas siarkowy. W zależności od rodzaju gaśnicy fiolkę z kwasem można było stłuc na jeden z dwóch sposobów: przez użycie tłoka lub usunięcie ołowianego korka zamykającego fiolkę. Po zmieszaniu kwasu z roztworem wodorowęglanu z fiolki wydostawał się dwutlenek węgla, zwiększając ciśnienie wody. Woda pod ciśnieniem była wypychana z kanistra przez dyszę lub krótki wąż. Gaśnica sodowo-kwasowa została opatentowana w USA w 1881 r.

Dokładnie w tym samym roku gaśnica wyzwalana nabojem została wynaleziona przez Read & Campbell z Anglii. Pierwotnie jako środek gaśniczy wykorzystywano wodę lub roztwory wodne. Później zaczęto stosować tetrachlorek węgla (CTC), który okazał się jednak środkiem silnie toksycznym. W 1905 r. w Rosji Aleksandr Loran wynalazł chemiczną gaśnicę pianową, która po raz pierwszy została użyta do ugaszenia naczynia z płonącej benzyną. Działała i wyglądała podobnie do typu sodowo-kwasowego, ale jej konstrukcja była zupełnie inna. Główny zbiornik zawierał roztwór wody, środek pianotwórczy na bazie korzenia lukrecji i wodorowęglanu sodu. Cylindryczna metalowa lub plastikowa komora mieściła około półtora litra 13% siarczanu glinu i była zaczopowana ołowianą nasadką. Po odwróceniu urządzenia chemikalia mieszały się, wytwarzając dwutlenek węgla. Lukrecja powodowała, że niektóre pęcherzyki CO_2 zostawały uwięzione w cieczy i powstawała gęsta białobrązowa piana.

W 1911 r. ten sam środek został użyty przez The Pyrene Manufacturing Company of Delaware. Opatentowała ona małą, przenośną gaśnicę, która wykorzystywała CTC. Zbudowana była z mosiężnego lub chromowanego zbiornika o pojemności od 0,6 do 9 l z zintegrowaną pompą ręczną. Ponieważ pojemnik był beczciśnieniowy, można go było ponownie napełnić świeżym zapasem środka.

Rozwojowe lata 20.

Bromek metylu jako środek gaśniczy zaczęto stosować w 1920 r. i był on bardzo popularny w Europie. To gaz, który oddziałuje na środowisko pożaru przez wiązanie wolnych rodników. Skuteczność bromku metylu była satysfakcjonująca, ale okazał się on wyjątkowo toksyczny w połączeniu z gazami pożarowymi. Oprócz tego, że był uznawany za środek gaśniczy, to miał również szerokie stosowanie w rolnictwie – do odkażania gleby, jednak ze względu na fakt, że zubażał warstwę ozonową, został wyeliminowany z użycia przez protokół montrealski. Problem stanowiła silna toksyczność opisanych związków chemicznych, prowadząca nawet do śmierci – i dlatego nie można było ich używać w pomieszczeniach zamkniętych. W 1940 r. w Niemczech wynaleziono ciekły chlorobromometan (CBM). Stosowano go przede wszystkim w przemyśle lotniczym. Był skuteczniejszy i nieco mniej toksyczny niż tetrachlorek węgla. W użyciu znajdował się do 1969 r.

Gaśnica śniegowa została skonstruowana w USA przez Walter Kidde Company w 1924 r., w odpowiedzi na zapotrzebowanie giganta telekomunikacyjnego Bell Telephone na nieprzewodzącą prądu substancję chemiczną do gaszenia trudnych do ugaszenia pożarów w centralach telefonicznych. Składała się z wysokiego



Poręczna gaśnica firmy Pyrene, lata 60. XX w.
fot. Firetech117 / Wikipedia (CC BY-SA 4.0)

metalowego cylindra zawierającego 3,4 kg CO_2 , z zaworem pokrętnym i wężykiem wykonanym z plecionego drutu mosiężnego pokrytego bawełną oraz przypominającym lejek kompozytowym rogiem jako dyszą. Choć gaśnice na CO_2 do tej pory są w powszechnym użyciu, to uznanie dwutlenku węgla za gaz cieplarniany może zakończyć ich karierę, podobnie jak tych opartych na halonie.

Od halonu

W 1970 r. halon 1211 przybył do USA z Europy, gdzie był używany od końca lat 40. lub wczesnych 50. Halon 1301 został opracowany przez DuPont i armię amerykańską w 1954 r. Zarówno halon 1211, jak i 1301 działają przez spowalnianie reakcji spalania, a w przypadku 1211 również przez schładzanie.

Współczesne gaśnice są kontynuacją rozwiązania z 1928 r. firmy DuGas (później przejętej przez Ansul). Była to proszkowa gaśnica ze środkiem gaśniczym na bazie wodorowęglanu sodu dodatkowo zabezpieczonego chemicznie przed zbrzyleniem i odpornym na zawilgocenia. Gaśnicę uruchamiano przez przekręcenie zaworu pokrętnego, który otwierał zbiornik z gazem napędowym (CO_2). Podawanie proszku porcjami było możliwe dzięki zastosowaniu dźwigni na zaworze na końcu węża. Proszek ABC powstał w Europie w 1950 r., amerykański Super-K (proszek gaśniczy na bazie chloru potasu) wynaleziono na początku lat 60., a Purple-K (o około cztery, pięć razy większej skuteczności w zwalczaniu pożarów grupy B niż CO_2 i ponad dwa razy większej niż wodorowęglan sodu) został opracowany przez US Navy pod koniec 1960 r.

Sprzęt gaśniczy w Polsce (1918-1939)

W okresie międzywojennym w Związku Straży Pożarnych RP nie było zbyt wielu osób, które traktowały gaśnice jako poważne narzędzie do zwalczania pożarów. Podstawowy problem w relacjach z producentami gaśnic stanowiła niemożność wypracowania standardów oraz minimalnych wymagań. Firmy dążyły do uzyskania monopolu na produkcję różnych typów gaśnic, uparczywie trzymały się swoich rozwiązań – uważając, że są najlepsze – i nie chciały wyrzec się osiągniętej przewagi nad konkurencją. Wiele firm miało zastrzeżone wzory użytkowe, patenty lub unikatowe rozwiązania, które wpływały na skuteczne działanie gaśnic. W tej sytuacji Związek, nie mając z jednej strony żadnych korzyści z ingerowania w ten obszar, a z drugiej chcąc uniknąć wieloletnich, kosztownych procesów z firmami, już w 1934 r. zrezygnował z kontroli produkcji gaśnic. Decydenci Związku powiadomili o swojej decyzji wszystkie zainteresowane ministerstwa oraz instytucje. Wydział Techniczny

Tabela 1. Normy dotyczące poszczególnych typów gaśnic i ich wyposażenia

źródło: opracowanie własne

Nr normy	Zakres tematyczny
PN-64/M-51051	gaśnice pianowe
PN-64/M-51071	gaśnice proszkowe (wytyczne konstrukcyjne)
PN-59/M-51076	gaśnice tetrowe
PN-61/M-51076	gaśnice śniegowe
PN-67/M-51077	prądownice do gaśnic i agregatów śniegowych

Związek opracował „Instrukcję o instalacji gaśnic” zatwierdzoną przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych (pismo nr AP 33/125 z dnia 11 kwietnia 1938 r.). Dokonano wówczas po raz pierwszy oficjalnego podziału gaśnic na następujące typy: pływowe, pianowe, tetrowe (zawierające jako substancję gaszącą czterochlorek węgla) oraz śniegowe. Określono również rodzaje materiałów i substancje, które można nimi gasić. W tym samym roku Wydział Techniczny Związku opracował projekty norm dla gaśnic, zatwierdzone przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych (pismo nr AP/33/125-10 z dnia 3 lutego 1939 r.). Normy były następujące:

1. Określenie pojęcia „gaśnica”: gaśnica jest to ręczny aparat przenośny do gaszenia pożarów w zarodku, zawierający substancję gaszącą oraz energię potrzebną do samoczynnego, niezwłocznego wyrzucenia tej substancji na zewnątrz.
2. Części składowe gaśnicy: zbiornik, urządzenie wewnętrzne, osprzęt, ładunek.
3. Wielkości charakterystyczne gaśnic.
4. Konstrukcja i wykonanie gaśnic.

Standardy te funkcjonowały jeszcze w czasach wczesnego PRL-u. Do 1948 r. obowiązywały normy oraz warunki techniczne badania gaśnic opracowane w 1938 r. przez Wydział Techniczny Związku Straży Pożarnych RP.

1948-1975

Główny Inspektorat Obrony Przeciwpożarowej Ministerstwa Przemysłu i Handlu ustalił warunki techniczne wykonania i odbioru gaśnic tetrowych, śniegowych i proszkowych, opublikowane w czerwcu 1948 r. Dla gaśnic pływowych i pianowych opracowano projekt normy (PN/M-51051). Choć w 1948 r. nie uzyskała ona aprobaty Polskiego Komitetu Normalizacyjnego, to i tak obo-

Tabela 3. Rodzaje gaśnic w zależności od środka gaśniczego

źródło: PN-75/M-51050

Nazwa gaśnicy	Symbol	Środek gaśniczy
płynowa	W	woda i wodne roztwory zwiększone właściwości gaśnicze wody
pianowa	WP	piana gaśnicza
halonowa	H	halon
śniegowa	S	dwutlenek węgla
proszkowa	P	proszek gaśniczy

Tabela 2. Podział pożarów na grupy w zależności od rodzaju spalającego się materiału

źródło: PN-75/M-51050

Grupy pożarów	Określenie pożarów
A	pożary ciał stałych pochodzenia organicznego, przy spalaniu których występuje zjawisko żarzenia, np. drewna, papieru, tworzyw sztucznych
B	pożary cieczy palnych i substancji stałych topiących się wskutek ciepła wydzielanego podczas pożaru, np. benzyny, olejów, naftalenu (pożary cieczy rozpuszczalnych w wodzie, jak np. alkoholu, acetonu, oznaczone są literą B)
C	pożary gazów, np. metanu, propanu, acetonu
D	pożary metali, np. magnezu, sodu, uranu
E	pożary grup A i D występujące w obrębie urządzeń elektrycznych pod napięciem

Rozmowa z automatu telefonicznego na lotnisku Okęcie, lata 70. U dołu widoczna gaśnica śniegowa
fot. domena publiczna / NAC

Tabela 4. Odmiany gaśnic w zależności od sposobu magazynowania czynnika roboczego

źródło: PN-75/M-51050

Odmiany gaśnic	Symbol	Sposób magazynowania czynnika roboczego
pod stałym ciśnieniem	X	w zbiorniku gaśnicy
z dodatkowym zbiornikiem	Z	w oddzielnym zbiorniku
bez czynnika roboczego	Y	środek gaśniczy jest wyrzucany na zewnątrz w wyniku reakcji chemicznej lub przemiany fizykochemicznej



Barakowozy z gaśnicami pianowymi na budowie w Warszawie, 1971 r.
fot. domena publiczna / NAC



W sklepie „Spotem”, 1967 r. Z prawej widoczna gaśnica pianowa
fot. domena publiczna / NAC

wiążywała podczas testów i była podstawą do wdrożeń obu typów gaśnic. W kolejnych latach ukazywały się następne normy, odzwierciedlając progres technologiczny w budowie i rozwiązaniach dla poszczególnych typów gaśnic (tabela 1).

Kolejną istotną zmianę wprowadziła norma z 1970 r. dotycząca standardu znakowania sprzętu i środków gaśniczych. Została ona zaktualizowana w 1975 r. i na podstawie PN-70/1/4-51001 gaśnice musiały być oznakowane odpowiednim symbolem literowym – wskazującym grupę pożarów, które można nimi skutecznie gasić. Wymieniona norma wprowadziła także podział pożarów na cztery podstawowe grupy, w zależności od rodzaju spalającego się materiału i sposobu spalania.

1975-1995

Wspomniana wcześniej zmiana normy z 1975 r. (PN-75/M-51050) w jednoznaczny sposób uporządkowała podział gaśnic oraz sposób ich oznaczania (tabela 2). W normie przyjęto następujące określenie gaśnicy: przenośny podręczny sprzęt gaśniczy uruchamiany ręcznie, o masie całkowitej nieprzekraczającej 20 kg (dla gaśnic śniegowych dopuszcza się 23 kg), gotowy do natychmiastowego użycia.

Usystematyzowano również oznaczenia literowe środków gaśniczych (tabela 3) oraz typów gaśnic uzależnionych od sposobu uruchamiania (tabela 4).

Pełny symbol gaśnicy składał się z następujących po sobie znaków: litery G oznaczającej gaśnicę, litery (w przypadku gaśnic pianowych – dwóch liter) oznaczającej symbol, liczby określającej wielkość znamionową oraz litery oznaczającej symbol sposobu uruchamiania.

Przykładowo dla gaśnicy proszkowej o masie środka gaśniczego wynoszącej 6 kg pod stałym ciśnieniem symbolem było

GP-6X. Ten system oznaczeń, poszerzony o nowe rodzaje gaśnic, funkcjonuje do dnia dzisiejszego.

Wymagania szczegółowe i zakres badania gaśnic określa norma PN-75/M-51079, która wskazuje: wymiary główne gaśnicy, masę całkowitą, zasięg rzutu strumienia środka gaśniczego, czas działania, masę gaśnicy po całkowitym wyładowaniu zbiornika, procent niewykorzystanego środka gaśniczego (pozostałego po rozładowaniu gaśnicy). Gaśnice sprawdza się pod kątem odporności na wstrząsy, zdolności gaśniczej i czasu niezawodności pracy. Rodzaje testów gaśniczych dla sprawdzenia skuteczności działania

poszczególnych typów gaśnic określa norma PN-75/M-51003. Na podstawie testów gaśniczych określonych w Polskiej Normie w 1978 r. Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Ochrony Przeciwpowodziowej zakończył prowadzone w poprzednich latach badania problemowe nad skutecznością poszczególnych typów gaśnic i środków gaśniczych. W tamtych latach za najskuteczniejsze (na podstawie testów) uznawano gaśnice proszkowe.

Od tamtej pory każda gaśnica dopuszczona do stosowania w ochronie przeciwpożarowej musiała posiadać dopuszczenie wyrobu do użytkowania, wydane przez Centrum Naukowo-Badawcze Ochrony Przeciwpowodziowej. W związku z przygotowaniami Polski do wejścia do struktur Unii Europejskiej polskie prawodawstwo pożarnicze musiało ulec zmianie. Rozpoczęto opracowywanie i wdrażanie nowych przepisów i norm odpowiadających standardom europejskim. W przypadku gaśnic przenośnych Polska Norma PN-92/M-51079/01-05 jest tłumaczeniem niemieckiej wersji normy europejskiej (EN). Wprowadzono nową definicję gaśnicy. Według wymienionej normy gaśnica to sprzęt, w którym ciśnienie wewnętrzne umożliwia wyrzucenie środka gaśniczego i jego skierowanie na ognisko pożaru.





Kącik pożarniczy w sali szkoleniowej Warszawskiej Spółdzielni Spożyców „Spotem”, 1966 r.
Widoczne gaśnice: pianowa, wodna i śniegowa
fot. domena publiczna / NAC

Gaśnice przenośne natomiast to gaśnice uruchamiane ręcznie, których masa nie powinna przekraczać 20 kg brutto. Polskie gaśnice miały masę środka gaśniczego wynoszącą 20 kg. W związku z tym wprowadzono okres karencji na używanie gaśnic o masie całkowitej 23 kg do końca 1995 r. W przypadku gaśnic śniegowych zmiana dotyczyła również konieczności wymiany zaworu z pokrętnego na szybko otwieralny oraz jej koloru z dotychczasowego srebrnego na czerwony.

Obecnie nie dopuszcza się do stosowania gaśnic chemicznych typu Y, w których należało wbić specjalny zbijak uwalniający gaz napędowy (powstawał w wyniku reakcji kwasu i zasady) i wymagało to odwrócenia urządzenia o 180°, czyli do góry dnem. Teraz każda gaśnica powinna mieć zawór samoczynny, który umożliwiałby przerwanie wypływu środka gaśniczego w odpowiednim momencie. Uruchomienie gaśnicy musi być przeprowadzone bez konieczności odwracania jej, ponieważ budowa syfonowa urządzenia spowodowałaby ulotnienie się gazu, który wypycha środek gaśniczy. Dla osób z roczników do około końca lat 70. ubiegłego wieku wycofanie tych gaśnic wiąże się niejednokrotnie z solidną traumą, ponieważ zostały im w pamięci niezwykle skuteczne szkolenia przeprowadzane przez strażaków w szkołach czy zakładach pracy, mówiące, że jedynym słusznym sposobem uruchomienia gaśnicy jest uderzenie wystającym prętem o podłogę.

Zakończenie

W ciągu prawie 100 lat od powstania tego, co uważamy za współczesne gaśnice, zapewniły one sobie trwałą pozy-

cję wśród sprzętu pożarniczego służącego do gaszenia pożarów w zarodku. Choć jeden z ojców założycieli polskiego pożarnictwa, inż. Józef Tuliszkowski, w swojej książce („Gaśnice ręczne...”) pozytywnie ocenił przydatność gaśnic w ochronie przeciwpożarowej, to wątpliwości w tym zakresie nie zostały rozwiane jeszcze ponad 30 lat później. W 1949 r. inż. Franciszek Kowalski opublikował w „Przeglądzie Pożarniczym” nr 2/1949 artykuł pt. „Czy gaśnice jako sprzęt pożarniczy mają rację bytu?”, w którym zwracał uwagę na pojawiające się często na konferencjach poświęconych produkcji sprzętu pożarniczego wy-

powiedzi przedstawicieli pożarnictwa dyskwalifikujące gaśnice jako sprzęt pożarniczy mający jakieś znaczenie w zabezpieczeniu obiektów przed pożarami. Musiały upłynąć kolejne lata, aby gaśnice stały się pełnoprawnym elementem wyposażenia i „wystroju” wewnątrz praktycznie wszystkich obiektów poza mieszkaniami, choć to w nich występują najczęściej pożary, które można byłoby ugasić gaśnicą.

Autor publikacji dziękuje pracownikom Biblioteki SGSP za udostępnienie archiwalnych zbiorów oraz Muzeum Pożarnictwa w Wolborzu za umożliwienie wykonania fotografii. ☞



dr inż. Paweł Wolny jest adiunktem badawczo-dydaktycznym na Wydziale Inżynierii Procesowej i Ochrony Środowiska Politechniki Łódzkiej

Akcje 110-lecia

Aleksandra Radlak

Błona nitrocelulozowa: piekielny wynalazek

Błona nitrocelulozowa, opracowana przez Eastman Kodak Company pod koniec lat 80. XIX w., mogłaby z powodzeniem funkcjonować w literaturze jako alegoria postępu. Z jednej strony dała ludzkości nowe możliwości – tak w zakresie medycyny, jak i kinematografii, z drugiej – nieraz przyczyniła się do tragedii ze względu na wysoką łatwopalność i fakt, że kontakt z wodą zwiększa ilość emitowanego przez nią śmierzionośnego gazu.

Cleveland Clinic

Środa 15 maja 1929 r. miała być kolejnym zwykłym dniem w centrum medycznym Cleveland Clinic w stanie Ohio w USA. Wcześniej rano przybył spawacz, aby naprawić nieszczelną rurę parową w podziemiach, które pełniły funkcję magazynu. Podczas rutynowej naprawy para – która podziałała jak katalizator – weszła w kontakt z około trzema, czterema tonami nitrocelulozowych klisz rentgenowskich. To był początek tragedii.

Natychmiast powstała chmura pełna toksycznych związków azotu i węgla. Dwie gwałtowne eksplozje, które wstrząsnęły kliniką, praktycznie zerwały dach z budynku. Trujące opary o wysokim ciśnieniu rozprzestrzeniały się po schodach i systemem rur, prędko docierając na każde piętro szpitala. 225 osób w mgnieniu oka znalazło się w śmierzionośnej chmurze. W raporcie Narodowego Stowarzyszenia Ochrony Przeciwożarowej znalazło się następujące stwierdzenie: „Najbardziej diabelski spryt nie pomógłby wymyślić układu z większą pewnością obliczonego na rozprzestrzenienie śmierci w całym budynku” [1].



Budynek Cleveland Clinic, ok. 1921 r.
fot. Cleveland Clinic / Wikipedia (CC BY 4.0)

Pobliska kompania strażacka stawiała się na miejscu wypadku jako pierwsza. Wtedy większość budynku spowijała już żółto-brązowa chmura. Z czasem dotarło więcej sprzętu przeciwpożarowego i oddziałów ratowniczych. Podniesiono drabiny do ewakuacji osób, które pojawiły się w oknach. Widok drabin wznoszonych jedna przy drugiej wprost do zięjących brunatnym dymem otworów okiennych zapisał się w lokalnej historii.

Pomimo heroicznych prób ratunku 123 osoby zginęły tego dnia niemal natychmiast. Niestety każdy z uratowanych, kto narażony był na wdychanie jakiegokolwiek ilości oparów, zmarł – niektórzy po kilku godzinach, inni po kilku dniach. Świadkowie donosili, że ciała ludzi wyprowadzonych z budynku żółkły, a później zieleniały.

Makabryczne zdarzenia z Cleveland Clinic doprowadziły do powołania kilku komisji śledczych. W rezultacie wprowadzono do przepisów poprawki, które głęboko zmieniły praktyki przeciwpożarowe, procedury szpitalne i sposób przechowywania niebezpiecznych materiałów w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie.

Wielopole Skrzyńskie

Błona nitrocelulozowa przyczyniła się do tragedii także w naszym kraju, w Wielopolu Skrzyńskim. Doszło do niej 11 maja 1955 r. Na scenie w drewnianym baraku, który na co dzień pełnił funkcję biblioteki, a czasem kawiarni, ekipa kina objazdowego szykowała się do wyświetlania komedii „Sprawa do załatwienia” Jana Rybkowskiego. Film nagrany był na dziesięciu taśmach z niesławnego materiału, których łączny ciężar wynosił 18 kg.

Była pogodna majówka. Wczesnym popołudniem tego samego dnia pracownicy kina bawili się w gospodzie i aż do wieczora nie szczydzili sobie alkoholu. Później ku zachwycie miejscowych – w Wielopolu Skrzyńskim nie było bowiem wówczas elektryczności – na okolicznych wzgórzach puszczała z zasilanego własnym agregatem prądotwórczym megafonu piosenkę Marii Koterbskiej

„Parasolki”. Seans rozpoczął się ok. 20.00, po nabożeństwie [3]. Okna baraków zabito deskami, a drzwi zamknięto, aby nikt nie dostał się do środka bez biletu. W sali udekorowanej suchymi gałęziami jodły i girlandami było wtedy około 200 osób, dorosłych i dzieci [4]. Niektórzy najmłodsi, których rodzice zabrali ze sobą, zasnęli dorosłym na kolanach – matki zabrały te dzieci do domu i w ten sposób nieświadomie uratowały im życie.

Film wyświetlano na projektorze marki Carl Zeiss Jena, który stał na stole przed sceną w baraku. Już sam fakt, że rolki z taśmą leżały tuż obok, stanowił naruszenie zasad bezpieczeństwa, ponieważ nieużywana w danym momencie taśma powinna być przechowywana w metalowych pudłach, daleko od projektora i wszelkich źródeł ognia. Tymczasem, zarówno operatorzy, jak i znajdujący się w pobliżu projektora widzowie palili papierosy.

Jak zeznawali niektórzy świadkowie, jeden z operatorów zdjął szpulę z fragmentem filmu, nie wyciągając papierosa z ust. Zwijając taśmę, przez przypadek dotknął jej powierzchni papierosem. Potem wszystko potoczyło się szybko. Widzowie usłyszeli jak coś syknęło, a całą szpulę zajął płomień. Operator odruchowo odrzucił od siebie płonący przedmiot – pech chciał, że akurat w kierunku pozostałych, niczym nieosłoniętych taśm; część płonącej taśmy spadła też na drewnianą podłogę. Ktoś krzyknął: „Pali się! Uciekać!”. Operator próbował ugasić ogień rękami, ale w obliczu niepowodzenia wyskoczył przez okno w stronę rynku. Razem z pozostałymi członkami załogi udał się samochodem w kierunku Dębicy. Operatorzy nie zajęli jednak daleko. Zostali zatrzymani i aresztowani, a później skazani.

Podobnie jak w klinice w Cleveland, płonące taśmy nitrocelulozowe zaczęły wydzielać toksyczny dym. Osoby siedzące w pobliżu projektora natychmiast straciły przytomność. Gdyby nie to,

że na sali byli wówczas strażacy, prawdopodobnie znacznie mniej osób przeżyłoby ten straszliwy pożar. Jeden z nich drewnianą ławą wybił deski z okna, umożliwiając ucieczkę tym z widzów, którzy znajdowali się nieopodal. Okna od strony rynku nie zostały zabite deskami, niektórzy wydostali się więc tą drogą. Cudem przeżyli także ci widzowie, którym udało się uciec przez ścianę zawaloną pod naporem spanikowanego tłumu. Większość rodziców wraz z dziećmi w panice rzuciła się jednak ku głównemu wyjściu oraz pozostałym oknom i wyjściom (nie wiedząc, że są zamknięte), potykając się o innych uciekinierów oraz o tych, którzy już stracili przytomność w wyniku wdychania trujących oparów i leżeli bez ruchu na podłodze.

Pozostali obecni na sali strażacy nie stracili jednak przytomności umysłu i wydostali się z budynku, by czym prędzej pobiec do remizy i dotrzeć z powrotem do baraku wraz ze sprzętem. Niestety, podczas gdy strażacy robili co w ich mocy, coraz gęstsze toksyczne opary wydobywały się już nie tylko z taśm filmowych, ale też z lepiku, którym pokryto dach – prędko pod wpływem temperatury zaczął on kapać do wnętrza. W końcu dach runął, a cała podłoga stanęła w płomieniach.

Przybyli w pośpiechu strażacy ujrzeni więc tylko płonące zwłoki na podłodze. Żywcem spłonęło wtedy 58 osób, wśród nich 38 dzieci. Pożar doprowadził do zaostreżenia przepisów przeciwpożarowych dla kin i teatrów oraz do zmiany celuloidowej taśmy na nośniki z innego materiału.

PRZYPISY

[1] *Grief Would Be Defeat*, Cleveland Clinic Magazine; <https://magazine.clevelandclinic.org/2021-centennial/grief-would-be-defeat> (dostęp: 20.06.2022).



Tyle zostało po sali z dokumentacją rentgenowską po pożarze w 1929 r.
fot. Cleveland Clinic / Wikipedia (CC BY 4.0)

Koszmar w kopalniach

Druga połowa XX w. upłynęła pod znakiem śmiertelnych pożarów w kopalniach i desperackich akcji ratowniczych. W tych ostatnich z pewnością nie brakowało zapалу, brakowało jednak przygotowania, a często i rozsądku. Tylko w Polsce miały miejsce dwa poważne wypadki, w których zginęli ludzie. Mało kto o tych tragediach mówi, choć wiele śląskich rodzin z pewnością je pamięta. I historia ta wcale nie kończy się na Polsce i sąsiadach. Ale zaczniemy od swoich.

Kopalnia Sośnica

Jedna z największych tragedii w historii polskiego górnictwa miała miejsce 30 maja 1955 r. w gliwickiej kopalni Sośnica, gdy prowadzono eksploatację pokładu na poziomie 550 m. Z powodu zaciśnięcia chodnika wentylacyjnego na wyższym poziomie górnikom zaczęło brakować powietrza. Aby przywrócić prawidłową wentylację, zdecydowano się przewietrzyć kilka pochylni sprężonym powietrzem.

To właśnie na poziomie 550 m około godz. 17.00 w komorze narzędziowej pojawił się dym i płomień. Dwaj pracownicy, którzy znajdowali się nieopodal miejsca wybuchu pożaru, jako pierwsi zauważyli ogień i podjęli bezskuteczną próbę jego ugaszenia, a potem powiadomili pozostałych członków załogi i dyspozytora kopalni. Tymczasem dymy pożarowe rozprzestrzeniały się wraz z pompowanym do korytarzy świeżym powietrzem. Gęsty dym utrudniał górnikom ewakuację. Część z tych pracujących najniżej została uwięziona przez pożar i zginęła. Wyjątkową zaradnością wykazała się grupa 34 górników, którzy – zdając sobie sprawę, że znaleźli się na pochylni, w której nie ma obiegu powietrza – zbudowali otamowany schron z węgla, drewna i ubrań w miejscu, gdzie doprowadzony był rurociąg ze sprężonym powietrzem. Tam czekali na ratunek.

Jak mówił Zenon Szmiedtke, kustosz Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu, nawiązując do sprawozdania grupy powo-

lanej do zbadania przyczyn wypadku: „Do godz. 19.00 spieszące na pomoc zastępy ratownicze słyszały odgłosy uderzeń po rurach dochodzące z odciętych rejonów. Później rury przywalone zawałem uniemożliwiały przekazywanie sygnałów. Miał na to wpływ także szum wywołany częściowym wypływem sprężonego powietrza. To z kolei podsycalo ogień” [1].

O godz. 19.00 kierownictwo akcji ratowniczej w oddziale przejął dyrektor kopalni, osobiście prowadząc ją całą noc. Drużyny ratownicze kopalni z powodu wyjątkowo złej widoczności długo przeszukiwały zadymione chodniki – druga z nich została wysłana za pierwszą i znalazła trzech nieprzytomnych kolegów. Dwóch sztygarów nie udało się odnaleźć, co znacznie obciążyło morale załogi i dowództwa.

Z pomocą Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego z Bytomia oraz drużyn z innych kopalń około godz. 21.00 zaczęto gasić pożar wodą podawaną pompami strażackimi ustawionymi w jednym z przekopów, co nie przyniosło jednak zamierzonych rezultatów. Dopiero następnego dnia udało się przygasić ogień, choć tylko częściowo. Na pochylni taśmowej odnaleziono ciało kolejnego ratownika-sztygara oraz sześć innych ofiar. Z powodu zbyt wysokiej temperatury ratownicy musieli się jednak szybko wycofać. Tymczasem podjęto decyzję, która przyniosła tragiczne konsekwencje – dopływ powietrza do rurociągu został zamknięty, by przyspieszyć gaszenie ognia.

2 czerwca około godz. 20.00 udało się dotrzeć do załogi, która wykonała prowizoryczny schron i czekała w nim na ratunek. Wszyscy 34 górnicy nie żyli, choć znalezione przy nich notatki świadczyły o tym, że byli przytomni jeszcze pięć godzin wcześniej. Dzień później znaleziona została ostatnia ofiara, a pożar udało się ugasić dzięki zalaniu chodnika wodą.

W wypadku zginęło 42 górników. Przyczyny pożaru nie udało się ustalić, podejrzewa się jednak, że wybuchł on wskutek nieostrożnego obchodzenia się z ogniem (prawdopodobnie nastąpiło zaproszenie ognia górniczą lampką lub papierosem). Po katastrofie w kopalni Sośnica zaczęto wyposażać pracowników dołowych w pochłaniacze tlenu węgla.

Kopalnia Makoszowy

Niedługo później, bo już 28 sierpnia 1958 r., doszło do kolejnego pożaru w śląskiej kopalni – tym razem była to kopalnia Ma-



Widok na szyby Kopalni Węgla Kamiennego „Sośnica”, 2015 r.
fot. Klaumich49 / Wikipedia (CC BY-SA 4.0)



Kopalnia Węgla Kamiennego „Makoszowy”, 2013 r.
fot. Klaumich49 / Wikipedia (CC BY-SA 4.0)

koszowy w Zabrze. Około godz. 1.00 w nocy na poziomie 300 m podczas cięcia palnikiem acetylenowym wystającej z ociosu żelaznej stropnicy doszło do zapalenia się kasztu wchodzącego w skład drewnianej obudowy przekopu. Ogień prędko rozprzestrzenił się na całość przekopu. 337 górnikom bezpośrednio zagrażał dym i gazy, które przedostały się do innych pokładów, samodzielnie podjęły więc ewakuację. Niefortunnie około 90 z nich natrafiło na gęsto zadymiony odcinek – stało się tak, ponieważ tamy (przeznaczone do odgradzania prądów powietrza świeżego od prądów powietrza zużytego) pomiędzy drogami uciezkowymi były nieszczelne. Co prawda tym razem, po doświadczeniu pożaru w kopalni Sośnica, górnicy wyposażeni byli już w pochłaniacze tlenu węgla, wydolność urządzeń wynosiła jednak zaledwie 20 min, ponadto nie wszyscy wiedzieli, jak ich używać.

To, co wydarzyło się później, zdecydowało o tragicznym rozwoju wydarzeń. Górnicy otrzymali bowiem telefoniczne polecenie pozostania w zadymionym odcinku i oczekiwania na ratunek. Nie udało się później ustalić tożsamości osoby, która dzwoniła, ani tego, czy była uprawniona do wydawania takich poleceń. Ratunek rzeczywiście dotarł – niestety dopiero po kilku godzinach. 42 osoby poniosły śmierć z powodu zaczadzenia. A jednak nie wszyscy podzielili ten los. Wśród górników przebywał bowiem ratownik, który namówił część z nich, aby nie słuchała rozkazu. Grupa przeszła około 150 m przez gęsty dym – jak się okazało, ku ocaleniu.

Co zaskakujące, część pracujących wtedy osób poniosła śmierć w innych częściach kopalni. Wywnioskowano na tej podstawie, że nie otrzymali oni odpowiedniego szkolenia w zakresie ewakuacji i nie wiedzieli, dokąd uciekać w razie pożaru. Podczas śledztwa wyszły na jaw kolejne poważne niedopatrzenia. Być może należy zacząć od tego, że pracując pod ziemią, można było palić

papierosy. Co jeszcze? Podczas cięcia szyny drewniana obudowa powinna zostać obłana wodą i posypana pyłem kamiennym, a sama szyna – osłonięta blachą. Po przecięciu należało zaś ponownie polać ją wodą. Jak wykazano podczas śledztwa, spawacz nie wykonał żadnej z tych czynności. Okazało się ponadto, że był on osobą z lekkim upośledzeniem umysłowym, w związku z czym nie mógł pełnić funkcji spawacza ani zostać dopuszczony do niebezpiecznej pracy pod ziemią.

To jednak nie koniec uchybień. Spawacz nie był bowiem jedyną osobą, która znalazła się na niewłaściwym stanowisku. Sztymar nie zdał egzaminów sztygarskich i to właśnie w zakresie bezpieczeństwa pracy. Zawiódł także dyspozytor kopalni, który początkowo polecił górnikom ugasić pożar za pomocą... wiadra z wodą. Gdy zasugerowali, że takie działanie może nie przynieść zamierzonych skutków, odparł, że mają „nasikać na płonący kaszt, a wtedy na pewno zgaśnie” i odmawiał zarówno uruchomienia alarmu, jak i wezwania ratowników.

Także działania poszukiwawcze pozostawiały wiele do życzenia. Dyrekcja kopalni (i jej władze zwierzchnie) wbrew dowodom ratowników kazała ratownikom w pierwszym rzędzie usuwać skutki pożaru, aby jak najszybciej można było wznowić wydobywanie, podczas gdy należało szukać ocalałych górników. W następstwie jeden z górników, ukryty w nieużywanym przodku, zmarł po ugaszeniu pożaru, a jego ciało odnaleziono dopiero po kilku dniach.

Bois du Cazier

Tragiczne wydarzenia w kopalniach nie były ograniczone w tym czasie do naszego kraju czy jego sąsiedztwa. 8 sierpnia 1956 r. w Bois du Cazier w Belgii ogień ogarnął powierzchnię kopalni od szybu aż po hałdy.

Wszystko zaczęło się o godz. 8.10, kiedy mechanizm wyciągowy w jednym z szypów został uruchomiony przed całkowitym



W katastrofie zginęło 136 Włochów, 95 Belgów, ośmiu Polaków, sześciu Greków, pięciu Niemców, trzech Algierczyków, trzech Węgrów, dwóch Francuzów, Anglik, Holender, Rosjanin i Ukrainiec
Camille Detraux / Wikipedia (CC BY-SA 4.0)



Ratownicy wyposażeni w aparaty oddechowe, 9 sierpnia 1956 r.
fot. Wim van Rossem / Anefo / Wikipedia (CC BY-SA 3.0 NL)

załadowaniem węglarki na odpowiednie miejsce. W wyniku tak trywialnego błędu pękły kable elektryczne. Wywołało to podziemny pożar w szybie, natychmiast podsycony poprzez pęknięcie rur w pobliżu. Pomimo próby ratunku z powierzchni rozprzestrzeniające się po kopalni dym i tlenek węgla zabiły prawie wszystkich uwieczonych przez ogień górników. Szczątki ostatnich, znajdujące się na dnie kopalni, odnaleziono dopiero kilkanaście dni później.

Nie była to spektakularna akcja – raczej po prostu skazana na niepowodzenie – ale do historii przeszły słowa ratowników: *tutti cadaveri*, czyli „wszyscy martwi”. Śmierć poniosły 262 osoby dwunastu narodowości, których ogromną część stanowili włoscy imigranci. Przeżyło zaledwie kilka osób.

Wkrótce potem Belgia zwołała konferencję na temat bezpieczeństwa w kopalniach węgla, a we wrześniu 1956 r. powołano



Sprzęt leżący poza kopalnią Bois du Cazier
fot. Luc Viatour / Wikipedia (CC BY-SA 3.0)

Komisję Bezpieczeństwa Kopalń. Jej zadaniem było monitorowanie procedur bezpieczeństwa i opracowywanie nowych przepisów. Szybka reakcja na katastrofę doprowadziła do znacznego zwiększenia bezpieczeństwa w belgijskich i innych europejskich kopalniach. Dziś w miejscu tragedii istnieje muzeum.

Zwickau

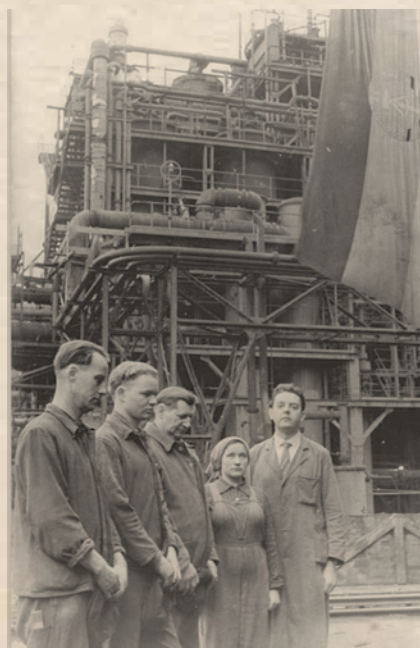
22 lutego 1960 r. miał miejsce wybuch gazu w kopalni Karl Marx w Zwickau w NRD. Wybuch doprowadził do pożaru na poziomie 1100 m, gdzie przebywało 174 górników. Kilkudziesięciu zostało uwieczonych na kilka dni głęboko pod ziemią. Aż 460 ratowników desperacko próbowało się do nich dostać.

Jak donosił „Dziennik Bałtycki”, „(...) akcja ratownicza w kopalni węgla kamiennego Karl Marx w Zwickau napotkała w piątek – w piątym dniu od chwili katastrofy – nowe trudności. Ekipy ratownicze posuwające się w kierunku miejsca, gdzie znajdują się odcięci górnicy, natrafiły na tak silne kłęby dymu i tak wysoką temperaturę, że musiały zrezygnować z dotarcia do zasypianych górników zamierzoną drogą. Fakt ten sprawia, że nadzieje na ocalenie życia tych górników maleją. Z całą energią przedsięwzięta zostanie próba przebicia się do ofiar katastrofy innym chodnikiem. Po wydobywaniu zwłok 49 ofiar śmiertelnej katastrofy liczba zasypianych wynosi obecnie 74. Są to mężczyźni w wieku od 16 do 60 lat” [2]. 21 lutego 1960 r. okazał się ostatnim dniem życia dla 123 pracujących pod ziemią ludzi.

PRZYPISY

[1] P. Pawlik, *61 lat od katastrofy w kopalni Sośnica*, <https://wiadomosci.onet.pl/slask/61-lat-od-katastrofy-w-kopalni-sosnica/btj1nmf> (dostęp: 20.06.2022).

[2] *W Zwickau maleją nadzieje*, „Dziennik Bałtycki”, nr 50, 27 lutego 1950 r.



Upamiętnienie minutą ciszy zmarłych górników z Zwickau
fot. Bundesarchiv, Bild 183-68314-0002 / Schmidt / Wikipedia (CC-BY-SA 3.0)

Pożar w Yellowstone: triumf przyrody?

Czy nam się to podoba, czy nie, ogień jest częścią natury, a natura wbrew pozorom jest do niego przystosowana. Pisał o tym st. bryg. Paweł Rochala, komentując falę pożarów w Australii, która wystąpiła na przełomie lat 2019 i 2020 i wywołała w mediach prawdziwą histerię wokół płonących eukaliptusów i ginących misiów koala [1]. Poruszenie było zrozumiałe, cierpienie żywych istot jest rzeczą niezwykle smutną. Nie zmienia to faktu, że pożary buszu czy lasów z przyczyn naturalnych były, są i będą.



Pożar w Yellowstone, 1988 r.
fot. Wikipedia / domena publiczna

Pirofity

Wśród specjalistów w dziedzinie pożarnictwa, ekologów i polityków, australijskie pożary wywołały żywą dyskusję o tym, jak pożarom lasów zapobiegać, jak je gasić, a nawet... czy je gasić. Z pewnością interesujące w tym kontekście jest istnienie pirofitów – roślin, które nie tylko są przystosowane do działania ognia, ale wręcz go potrzebują. Należą do nich zarówno australijski eukaliptus, jak i sosna wydmowa gęsto porastająca malowniczy obszar Parku Narodowego Yellowstone.

Niektóre sosny wydmowe, podobnie jak eukaliptus, potrzebują ognia do rozerwania sklejonnych żywicą szyszek i uwolnienia nasion. Ogień wpływa także na regenerację innych roślin występujących w Parku Narodowym Yellowstone, takich jak wierzbka, osika czy bylica. Dlatego od połowy lat 80. polityka przeciwpożarowa

parku zakłada, że pożary należy przeczekać, aby dopaliły się same. Tak działo się w przypadku pożarów występujących naturalnie, np. wskutek uderzenia pioruna, pożary spowodowane przez człowieka były z kolei gaszone.

W 1975 r. sporządzono ocenę wpływu na środowisko, która wykazała, że bez szwanku dla ekosystemu może spłonąć 1,7 mln z 2,2 mln akrów parku. Jak się potem okazało, sam prezydent Ronald Reagan – jak i wiele osób niezaangażowanych bezpośrednio w ochronę środowiska czy ochronę przeciwpożarową – nie wiedział o tej polityce aż do 14 września 1988 r., kiedy rozległe pożary parku niejako zmusiły go do zainteresowania się tym tematem.

Do 1988 r. w najsłynniejszym parku narodowym Stanów Zjednoczonych wystąpiło 140 pożarów, w dużej mierze spowodowanych uderzeniami piorunów. Tak jak zakładano, bez problemu dopaliły się naturalnie, zajmując średnio 250 akrów, przy czym sta-



Ratunku szukały także zwierzęta, Yellowstone 1988 r.
fot. Wikipedia / domena publiczna

tystkę zawyżał największy w tym okresie pożar, który pochłonął aż 7400 akrów.

Jednak warunki pogodowe w 1988 r. zaskoczyły wszystkich, nikt nie widział bowiem niczego podobnego od czasów założenia parku w 1872 r. Po mokrej wiosnie nastąpiły najbardziej suche miesiące w historii, którym towarzyszyły silne wiatry. Nie pojawiły się też deszcze, których spodziewano się jak zwykle w lipcu. A jednak do 15 lipca spłonęło tylko 8500 akrów... Ale tydzień później turyści znów zauważyli dym. I wtedy się zaczęło. W ciągu około dwóch tygodni w całym Parku Narodowym Yellowstone wybuchła seria pożarów, które rozprzestrzeniły się tak bardzo, że świat zamarł przed telewizorami.

Gasić, czy nie gasić

Dlatego zdecydowano się na to, by zrobić wyjątek od przyjętej polityki i w drugiej połowie lipca rozpoczęto szeroko zakrojone działania gaśnicze, mające na celu opanowanie żywiołu. Brało w nich udział 25 tys. strażaków. Wysiłki przeciwpożarowe skiero-

wane były na kontrolowanie boków pożarów oraz ochronę życia i mienia na drodze ognia. Użyto dziesiątek helikopterów i ponad 100 wozów strażackich, a koszty całej akcji przekroczyły 120 mln dolarów. Poza parkiem wystąpiły dwa związane z pożarami zgony, podczas akcji nie zginął jednak żaden strażak. A jednak, mimo ogromnego nakładu sił i środków, ogień wciąż szalał w najlepsze. W sumie latem wybuchło 248 pożarów, z których siedem spowodowało 95% szkód. Ostatecznie spaliło się około 683 tys. z 2,2 mln akrów parku i około 1,2 mln akrów łącznie w obrębie większego obszaru Yellowstone, który obejmuje kilka lasów narodowych przylegających do parku, a także Park Narodowy Grand Teton.

Wśród ekspertów panowała zgoda co do tego, że tylko deszcz lub śnieg mogą powstrzymać żywioł. Mieli rację: zaledwie cienka warstwa śniegu, który spadł 11 września, zatrzymała postęp ognia. Ostatecznie więc natura powstrzymała naturę.

W całej akcji nie pomogły media, które prześcigały się w budzących skrajne emocje doniesieniach i krytyce przepisów obowiązujących w parku – choć przecież okres największego nasilenia



Strażacy polewają wodą budynki kompleksu Old Faithful, 1988 r.
fot. Wikipedia / domena publiczna



Po latach roślinność się odrodziła. Las sosnowy w Yellowstone, 1998 r.
fot. Wikipedia / domena publiczna

pożarów pokrywał się z okresem, w którym od tej polityki zrobiono wyjątek i pożary gaszono. „New York Times” pisał o „połaciach zwęglonego, pozbawionego życia krajobrazu” [2]. Medialna panika szybko przebiła się do dyskursu politycznego. Prezydent Reagan nazwał politykę przeciwpożarową parku niedorzeczną, a minister spraw wewnętrznych Donald P. Hodel określił sytuację jako katastrofalną.

Jak się jednak okazało, wbrew powszechnym obawom zginęło niewiele zamieszkujących park wielkich zwierząt. Choć spłonęło 36% powierzchni parku, to poważne uszkodzenia gleby, mające negatywny wpływ na podziemne części roślin, były wręcz śladowe. Ze „zwęglonego, pozbawionego życia krajobrazu” [2] wyrosły zaś dzikie kwiaty i trawy. Pod popiołem zdomowały się nasiona sosny wydumowej, a z czasem małe drzewa zapuściły korzenie i zaczęły rosnąć. Zaburzenie starzejącej się struktury roślinności posłużyło więc za pierwszy etap naturalnego przywrócenia jej stanu znanego z czasu nadania temu dzielnicy statusu parku narodowego. Jako ciekawostkę należy dodać, że natychmiastowe gaszenie pożarów w kilkudziesięciu pierwszych latach funkcjonowania parku narodowego spowodowało wiele zmian w formacji roślinnej.

A co u koali?

Choć ze względu na różnice geograficzne trudno porównywać Stany Zjednoczone i Australię, to oba zdarzenia wywołały podobną burzę medialną. W Australii w latach 2019–2020 pożary także gaszono – ale nie w drodze wyjątku, tam bowiem gaszenie większości pożarów buszu i lasów jest powszechną praktyką (choć w czasach sprzed osiedlenia białego człowieka było inaczej i zarówno fauna, jak i flora przetrwały). Co najmniej 3700 strażaków,

wspartych przez 3000 rezerwistów armii, marynarki wojennej i sił powietrznych, pracowało na terenie całego kraju w najgorszych okresach – większość z nich w najbardziej dotkniętych ogniem rejonach, czyli Nowej Południowej Walii i Wiktorii. Dalsze wsparcie nadeszło z USA, Kanady i Nowej Zelandii. Używano tak samolotów, jak i sprzętu lądowego.

Australijskie źródła podają, że na południu, wschodzie i zachodzie Australii w sumie spłonęło ponad 12,6 mln ha buszu. Zaznaczają też, że Australia zawsze była podatna na pożary buszu, które każdego lata dotyczą niektóre rejonu. Pożary z lat 2019–2020 miały większy zasięg i nasilenie niż w poprzednich latach, a jednak ucierpiała tylko część kraju. Niektórzy australijscy politycy proponowali powrót do polityki wypalania buszu, która zapobiegłaby samoistnym pożarom, spotkali się jednak z krytyką ze stron obrońców środowiska. A co z eukaliptusami? Eukaliptusy, jak określono to w „Australian Geographic”, palą się „chętnie, łapczywie i wściekle”, a później się odradzają [3]. Tak dzieje się i tym razem, a rejon porośnięty eukaliptusem „dochodzą do siebie” najprędzej ze wszystkich.

PRZYPISY

[1] P. Rochala, *Spalona Australia?*, PP 2020, nr 2.

[2] D. Whipple, *Yellowstone Ablaze: The Fires of 1988*, <https://www.wyohistory.org/encyclopedia/yellowstone-ablaze-fires-1988> (dostęp: 20.06.2022).

[3] A. Hay, *Eucalyptus and the ancient kingdom of fire*, <https://www.australiangeographic.com.au/topics/science-environment/2021/11/eucalyptus-and-the-ancient-kingdom-of-fire/> (dostęp: 20.06.2022).



Kemping został zmieciony z powierzchni ziemi
fot. kadr z Fascinating Horror, *The Los Alfaques Disaster | A Short Documentary* |
Fascinating Horror / YouTube (<https://www.youtube.com/watch?v=v2h4vw9cYP8>)

Hiszpania: BLEVE na kempingu

11 lipca 1978 r. na kempingu Los Alfaques w Alcanar niedaleko Tarragony w Hiszpanii miała miejsce katastrofa drogowa, która wstrząsnęła światem. Zbliżało się popołudnie. Wczesnoletnie słońce wciąż świeciło wysoko nad śródziemnomorskim kurortem. Tuż obok kempingu, na którym relaksu zażywało wówczas blisko tysiąc wczasowiczów (głównie zagranicznych), wypadkowi uległ ciągnik siodłowy z cysterną wypełnioną 23 tonami wysoce łatwopalnego ciekłego propylenu.

Preludium

Na tragedię złożyło się wiele czynników – każdy z nich mógłby zostać wyeliminowany, gdyby przestrzegano zasad bezpieczeństwa. O godz. 1.05 z rafinerii wyjechała pozbawiona zaworów bezpieczeństwa cysterna z ładunkiem propylenu 4 tony powyżej maksymalnego obciążenia projektowego. Przy temperaturach powietrza 30°C ciśnienie w zbiorniku wynosiło około 1200–1700 kPa. Nie było w nim wolnej przestrzeni na ewentualne rozprężanie się gazu, który przemieszczał się w stanie zamrożonym w temperaturze –185°C. Przewożenie „nadprogramowych” ilości niebezpiecznych substancji było wtedy w Hiszpanii powszechną praktyką. Kierowcę poinstruowano, aby do Barcelony udał się węższą i bardziej krętą drogą krajową N-340 zamiast autostradą A-7. To również popularna praktyka, która pozwalała uniknąć opłat drogowych.

Zegarek, który znaleziono na ręce zgwałconego ciała kierowcy, zatrzymał się o godz. 14.36.

Eksplzja

Świadkowie nie byli zgodni co do zdarzeń poprzedzających wybuch. Niektórzy twierdzili, że zbiornik przeciekał już w drodze do miejsca eksplozji. Inni zeznali, że słyszeli donośny huk, gdy zbiornik zaczął przeciekać, a pojazd został zatrzymany przez kierowcę. Kolejni upierali się, że huk spowodowany był przez przepaloną oponę, a ciężarówka wymknęła się spod kontroli i uderzyła w ścianę oddzielającą kemping od pobocza. Według niektórych hipotez w zbiorniku podczas jazdy po drodze doszło do pierwszej eksplozji, która wyrzuciła pojazd na ścianę kempingu Los Alfaques, powodując rozlew propylenu.

Co ciekawe, pracownicy rafinerii przypomnieli sobie, że słyszeli, jak pół godziny przed wyjazdem kierowca kłóci się z kimś zaciekle przez telefon i ostrzega o odkształceniu w zbiorniku. Skąd się wzięło? Czy przez ciśnienie (co wątpliwe, bo to stal, a nie blacha), czy przez pękające spawy (ale wtedy mielibyśmy już do czynienia

z wyciekami gazu), czy przez przeciążenie konstrukcji wielokrotnym przewożeniem zbyt dużych ilości ładunku? Jakiegokolwiek były złego początku, cieknąca cysterna utworzyła chmurę gazowego propylenu, która częściowo dostała się na kemping. Warto wspomnieć, że Los Alfaques był przeładowany, podobnie jak cysterna – znajdowało się na nim dwa razy więcej turystów i pojazdów, niż dopuszczali przepisy.

Biała chmura przyciągnęła uwagę wczasowiczów. Dotarła też na dyskotekę, która znajdowała się nieopodal – to właśnie tam najprawdopodobniej trafiła na źródło zapłonu, natychmiast powracając do cysterny i powodując wybuch typu BLEVE. Uszkodzony zbiornik uległ rozerwaniu. Całość znajdującego się wewnątrz ładunku gazu zapaliła się. Wybuch i kula ognia zdewastowały wszystko w promieniu 300 m, poczynając od budynków i przyczep, a kończąc na samochodach – co najgorsze – ludziach. Zniszczeniu uległo 90% głównego obszaru kempingowego, a dyskoteka została zrównana z ziemią. Widziano płonących ludzi, desperacko wbiegających do morza. Łącznie na miejscu zginęło 157 osób – w wyniku początkowego wybuchu, a następnie pożarów i eksplozji samochodów i butli z gazem, z których korzystali turyści.

Tragiczny ratunek

Zaraz po katastrofie ranni byli ewakuowani w bardzo nieskoordynowany sposób przez innych ocalałych, korzystających z prywatnych samochodów. Miejscowi również udzielali pomocy i odwozili rannych do szpitali. Pierwsze ekipy ratownicze dotarły na miejsce dopiero po 45 min. Karetki pogotowia i inne siły ratunkowe przybywały stopniowo. Straż Obywatelska i siły zbrojne przeszukiwały zdewastowany obóz w poszukiwaniu ocalałych. Ostatni ranny został ewakuowany i przewieziony do szpitala po trzech godzinach.

Ruch na wąskiej i krętej N-340 został przekierowany w celu ułatwienia transportu ofiar. Płonąca cysterna zablokowała drogę, dzieląc rannych na dwie grupy – jedną na północy, drugą na południu. Na drodze na północ ranni otrzymali odpowiednią opiekę

medyczną po dotarciu do szpitali w Amposta lub Tortosa. Wielu pacjentów miało oparzenia obejmujące ponad 90% ciała, a większość zmarła w ciągu następnych dni.

Do wysokiej śmiertelności przyczyniła się nieodpowiednia opieka medyczna w drodze do szpitala. W większości przypadków podczas podróży nie podjęto żadnych działań medycznych, a kilku rannych doznało śmiertelnego szoku. Jedna z karettek uległa wypadkowi, w którym zginęli wszyscy jej pasażerowie. Kilka godzin później dostępne były środki powietrzne do transportu najciężej rannych do szpitali w Walencji i Barcelonie. Ostatecznym celem 58 ciężko poparzonych pacjentów był szpital Francisco Franco w Barcelonie. 82 pacjentów zabrano zaś na południe do szpitala La Fe w Walencji. W cztery dni po katastrofie wskaźnik przeżycia spadł do 45% w przypadku pacjentów zabranych do Walencji i 93% w przypadku pacjentów zabranych do Barcelony.

Wiść o katastrofie szybko obiegła świat, nie tylko ze względu na przerażający charakter zdarzenia, ale także dlatego, że wiele ofiar pochodziło z Niemiec, Wielkiej Brytanii, Francji, Belgii czy Holandii.

W ogólnym rozrachunku 300 osób zostało rannych, część ciężko. W wyniku katastrofy zginęło 217 osób (wśród nich kierowca), natomiast łączna liczba osób, które zmarły w ciągu następnych miesięcy w wyniku odniesionych obrażeń, wyniosła co najmniej 270. Ciała wielu ofiar zostały spalone nie do poznania. Większość z nich miała na sobie tylko kostiumy kąpielowe, a dokumenty zostały zniszczone. Nie było jeszcze wtedy dostępu do testów DNA, a jednak międzynarodowym zespołom medycyny sądowej udało się zidentyfikować wszystkie ofiary.

Literatura dostępna u autorki

Aleksandra Radlak jest tłumaczką z angielskiego i rosyjskiego oraz autorką m.in. powieści, opowiadań i felietonów



O tragedii było głośno w mediach, pisano o niej na przykład w „La Vanguardia Española” z 13 lipca 1978 r.
 fot. kadr z Fascinating Horror, *The Los Alfaques Disaster* | Fascinating Horror / YouTube
<https://www.youtube.com/watch?v=v2h4vw9cYP8>

Czarne dni nad Wisłą



Ogień daje życie i postęp, ma jednak oczywiście również drugie – niszczycielskie – oblicze. Od wieków płoną osady, miasta, wsie, lasy i pola, pałace, świątynie, gmachy publiczne i wszelkie wytwory rąk ludzkich. Donoszono o tych wydarzeniach w kronikach, relacjach, wspomnieniach, a później w wiadomościach prasowych, radiowych i telewizyjnych. Spróbujmy zatem przypomnieć pożary z ostatniego 110-lecia w Polsce, które choć nie zawsze odbiły się szerokim echem, wstrząsnęły ludźmi i których skutki odmieniły życie lokalnych społeczności.



Tomasz Banackowski

1921: płonie Pińsk

6 sierpnia 1921 r. pożar wybuchł w małej drewnianej budowlu mieszczącej się na podwórku niewielkiego młyna parowego przy ulicy Dominikańskiej, w środku jednego z najstarszych miast kresowych Rzeczypospolitej – Pińska.

Wskutek długotrwałej suszy i wyjątkowo gwałtownej wichury ogień rozprzestrzenił się z nadzwyczajną szybkością. Płomienie przerzucane były ponad dachami kamienic i stały się źródłem nowych zarzewi pożaru. Z tej przyczyny w bardzo krótkim czasie, bo zaledwie w sześć godzin, spłonęło około 400 budynków, w znacznej części murowanych. Ogień pochłonął najbogatszą, handlową część miasta. Spłonęło starostwo, komenda policji, poczta, trzy apteki, osiem hoteli oraz ponad 400-letni kościół franciszkański wraz z klasztorem oraz synagoga.

Okazało się, że budulec pochodzący z funkcjonujących w okolicy cegielni był niskiej jakości, ponieważ glina zawierała dużą domieszkę marglu. Prawie wszystkie domy zbudowane z tej cegły nie wytrzymały warunków pożaru i paliły się niegorzej od drewnianych.

Pożar przyniósł tak katastrofalne skutki, ponieważ ochrona przeciwpożarowa w Pińsku, tak jak na całych Kresach Wschodnich, była słabo zorganizowana i niedostatecznie finansowana. Ówczesna prasa winą za tę tragedię obarczyła pińskich strażaków, piętnując nieudolność dowódców, brak wyćwiczenia załogi i ubogi osprzęt.

Ostatecznie ogień zatrzymał się na gmachu gimnazjum, przy którym kilku wojskowych (a wśród nich, co wszędzie podkreślano, jeden Francuz) zorganizowało łańcuchowe podawanie wiader z wodą pobieraną z rzeki przez mieszkańców miasta.

Utworzono komitet odbudowy miasta pod przewodnictwem starosty. Pomimo ciekawych planów uwzględniających rozwój po odtworzeniu spalonej części miasta decyzją rządu Pińsk został pozbawiony statusu stolicy województwa poleskiego – przeniesiono ją do Brześcia nad Bugiem.

1923: katastrofa w kopalni

20 września 1923 r. doszło do podziemnego pożaru w kopalni Reden w Dąbrowie Górniczej. Podczas prac wydobywczych przebito się do starego wyrobiska, uwalniając gazy i wywołując wielki pożar. Kierownictwo kopalni zezwoliło jednak na kontynuowanie robót strzałowych, co doprowadziło do utworzenia kolejnej wyrwy w ścianie oddzielającej wypełnione gazem stare wyrobisko. Gazy zaczęły rozprzestrzeniać się na całą kopalnię i dotarły do chodnika, na którym gaszono właśnie wspomniany wyżej pożar. Ogień wybuchł z nową siłą i spowodował eksplozję, odcinając grupie górników drogę do szybu głównego. Zginęło 38 pracowników nocnej zmiany. Podczas akcji ratowniczej wydobyto ciała 27 ofiar. Do pozostałych 11 ciał udało się dotrzeć dopiero po kilku miesiącach, gdyż tyle czasu zajęło dogaszanie śmiertelnie gorącego ognia.

Skala dramatu wymagała oczywiście wyjaśnienia przyczyn zdarzenia. Okazało się m.in., że kopalnia miała mało wydajny system wentylacyjny, ale bezpośredniego powodu wybuchu nie udało się ustalić. Według jednej z wersji – głoszonej zresztą przez dyrekcję kopalni – wina leżała po stronie ratowników, którzy mieli gasić pożar wodą i tym sposobem doprowadzić do eksplozji sprężonych gazów.

1927: ogień atakuje zamek

Nad ranem 21 grudnia 1927 r. płomienie pojawiły się w zamku Tarnowskich w Dzikowie (obecnie dzielnica Tarnobrzega). Prawdopodobnie ogień został zaprószonej podczas podgrzewania zamrożonych rur wodociagowych i początkowo rozprzestrzeniał się na strychu. Później objął niższe pomieszczenia zamku, gdzie zgromadzono cenne zbiory historyczne i artystyczne.

Płomienie dostrzegła około godz. 3.00 nad ranem służąca i obudziła mieszkającego w zamku bibliotekarza oraz nauczyciela w położonym nieopodal gimnazjum Michała Marcza. Zdając sobie sprawę z zagrożenia dla bezcennych zbiorów kultury narodowej



W 1927 r. zamek w Dzikowie (obecnie dzielnica Tarnobrzega) stanął w płomieniach. Wiązała się z tym tragedia śmierci ośmiu osób, które próbowały ratować bezcenne zbiory zamkowej biblioteki
fot. NAC

zgrupowanych w zamkowej bibliotece, starał się ratować je z pomocą służby, a potem także zaalarmowanych mieszkańców Dzikowa oraz uczniów gimnazjum, w którym uczył. Przybyła na miejsce straż pożarna gasiła pożar śniegiem – hydranty bowiem zamarzły...

Zbiory znajdujące się w bibliotece starało się ocalić 18 osób, w większości uczniowie gimnazjum, a wraz z nimi Alfred Freyer, lekkoatleta, ośmiokrotny mistrz Polski i 14-krotny rekordzista kraju w biegach na długich dystansach. Płonący strop biblioteki zapadł się, zabijając osiem osób, wśród nich Freyera. Część bezcennych zbiorów udało się uratować.

1929: zagrożona fabryka

Wielkopolska Wytwórnia Samolotów „Samolot” była jednym z pierwszych takich zakładów w Polsce. Zajmowała się początkowo produkcją licencyjnych francuskich Hanriotów, z czasem w Poznaniu rozpoczęto także wytwarzanie maszyn szkolnych polskiego projektu.

12 września 1929 r. w wytwórni wybuchł pożar. Zniszczeniu uległy hale fabryczne, 10 gotowych samolotów oraz niedawno sprowadzone urządzenia do ich produkcji. Straty były tym poważniejsze, że część urządzeń nie była ubezpieczona. Pożar udało się ugasić dzięki wysiłkowi całej załogi, która wsparła strażaków w walce z żywiołem. Przyczyny tragedii nigdy nie udało się usta-



Nowo powstałe samoloty, hale i maszyny wytwórni „Samolot” spłonęły 12 września 1929 r.
fot. NAC

lić, choć prasa mocno lansowała tezę o sabotażu wysłanników z zachodniej granicy

Po trzech miesiącach wytwórnię udało się odbudować. Niestety narastający kryzys gospodarczy i spowodowane pożarem wydatki zmusiły właścicieli do zamknięcia zakładów. Ostatnim zaprojektowanym w Poznaniu samolotem był treningowy BM-6, który nie zdążył już wejść do produkcji seryjnej. Niecałe 2 lata po pożarze, w marcu 1931 r., wytwórnia oficjalnie zakończyła działalność.

1939: pożar na Dworcu Głównym

6 czerwca 1939 r. o godz. 6.35 zawiadomiono telefonicznie Warszawską Straż Ogniwą o pożarze na budowie Dworca Głównego. Zgłaszający przekazał, że płonie rusztowanie od strony Alej Jerozolimskich.

Akcją od samego początku dowodził komendant Stanisław Gieysztor, który przybył na miejsce zdarzenia z pierwszymi oddziałami. Walka z ogniem toczyła się na wysokości, istniała realna groźba zawalenia się poszczególnych segmentów. Część murów i ścian była w fazie budowy. Wokół palącego się budynku leżały materiały budowlane, co utrudniało strażakom dostęp do obiektu. Schody wewnętrzne nie były ukończone, co wykluczało możliwość przemieszczania się po nich. Płonąca termoizolacja, papa dachowa i smoła wydzielaly duże ilości czarnego dymu, utrudniając widoczność i porozumiewanie się. Groźba zawalenia się pięter skłoniła dowodzącego do rozlokowania wokół budynku dodatkowych posterunków. Podczas akcji wystąpiły problemy z wodą. Mimo maszynowego zwiększenia ciśnienia strumienie wody nie radziły sobie z ogniem. Nie było możliwości przystawienia drabin do ścian – nie pozwalały na to rusztowania i gęsty dym.

Niestety w czasie akcji poległ jeden ze strażaków, kilku było ciężko rannych. Bezpośrednie straty wyniosły, jak podawała prasa, od 2 do 3 mln zł.

Po zakończeniu akcji Stanisław Gieysztor podsumował postawę swoich podkomendnych słowami: „Znam dobrze francuskich i niemieckich strażaków i wiem, jak świetnym sprzętem dysponują. Sam wymieniałbym się z nimi na niejedno, ale przenigdy na moich ludzi”. Następnego dnia odbyła się uroczystość na placu Piłsudskiego. Premier Składkowski odznaczył Krzyżami Zasługi 62 strażaków. Trumnę zmarłego i odznaczonego pośmiertnie strażaka odprowadzono z honorami na cmentarz.



Spośród pożarów kościoła św. Elżbiety to ten, do którego doszło w 1976 r., zadał świątyni największy cios
fot. arch. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu



22 stoczniovców pracujących na statku m/s Konopnicka zginęło na skutek pożaru. Tragedia wydarzyła się 13 grudnia 1961 r.
fot. Topory, Wikipedia (CC BY-SA 3.0)

1960, 1975, 1976: trzy pożary kościoła

II wojnę światową kościół św. Elżbiety we Wrocławiu przeżywał bez większych uszkodzeń. XIII-wieczna świątynia służyła również jako sala koncertowa, a jej drewniane organy z XVIII w. wykorzystywano w czasie festiwalu Wratislavia Cantans. Bogate wyposażenie kościoła i dużą część oryginalnej substancji budowlanej strawiły jednak trzy pożary. Pierwszy miał miejsce 4 czerwca 1960 r. – po uderzeniu pioruna spłonął szczyt wieży i został uszkodzony dach. Zostały one wyremontowane, lecz 20 września 1975 r. wieża ponownie zajęła się ogniem, a wraz z nią otaczające ją jeszcze drewniane rusztowanie. Całkowicie zniszczony został renesansowy hełm, kamieniarka wieży oraz najmniejszy z trzech dzwonów

Ostatni, najpoważniejszy w skutkach pożar – z 9 czerwca 1976 r. spowodował prawie całkowite zniszczenie drewnianego wyposażenia kościoła. Spłonęły organy, wieżba dachowa, zawałyły się częściowo żebra sklepienia nawy głównej, a sklepienia popękały. Pękła również południowa ściana nawy głównej i odchyliła się od pionu. Odbudowy podjęto się dopiero w 1981 r., przez całe lata 80. postępowała bardzo powoli.

Do dawnego blasku bazylika wróciła dopiero w 1997 r., a 31 maja papież Jan Paweł II dokonał poświęcenia oddanej ponownie do użytku wiernym świątyni.

1961: tragedia w stoczni

Do pożaru na pokładzie statku m/s Maria Konopnicka w basenie portowym Stoczni Gdańskiej doszło 13 grudnia 1961 r. podczas prac przy rurociągu, który dostarczał paliwo do agregatu prądotwórczego. Rurociąg został odłączony, by można było uszczelnić kilka nieszczelnych spoin i agregat przestał działać. Pracujący w pobliżu stoczniovców, chcąc przywrócić dostawę energii elektrycznej z agregatu, odkręcił zawór doprowadzający ropę do spawanego rurociągu. W rezultacie ropa zapaliła się od płomienia palnika, oblała spawacza, który zginął na miejscu i płonąć, zaczęła wylewać się z nieszczelnego rurociągu.

Gdy płonąca ropa wywołała pożar, stoczniovcy zaczęli uciekać z wnętrza statku, zamykając za sobą włązy i drzwi, aby zahamować szerzenie się pożaru. 21 z nich nie zdążyło uciec, bo ognista

ciecz odcięła im drogę – schronili się w maszynowni. Kiedy strażacy dotarli na miejsce, okazało się, że nie mają wystarczającego wyposażenia, aby ugasić pożar i dotrzeć do stoczniovców. Uwięzieni ludzie młotami uderzali w poszycie statku – dzięki temu ratownicy wiedzieli, gdzie się znajdują.

Istniała możliwość uratowania stoczniovców przez wypalenie w poszyciu statku otworu ewakuacyjnego, jednak nikt z dyrekcji stoczni nie zaryzykował podjęcia samodzielnej decyzji, by to zrobić. Zamiast tego czekano na decyzję z Warszawy. Kiedy ta nadeszła, było już za późno, ponieważ stoczniovcy zginęli z braku tlenu – zużył go pożar szalejący w zamkniętym wnętrzu statku. Ogółem w katastrofie straciły życie 22 osoby.

Od tamtej pory we wszystkich nowo budowanych statkach na zewnętrznej stronie kadłuba oznacza się miejsce, w którym w razie wypadku można wyciąć otwór ewakuacyjny, nie uszkadzając konstrukcji i urządzeń.

1982: żywioł pokonany w Polleniu

Warszawska Pollena Aroma, produkująca syntetyki i kompozycje zapachowe dla przemysłu farmaceutycznego i kosmetycznego, była monopolistą w kraju. 1 maja 1982 r. doszło do pożaru, który stworzył zagrożenie nie mniejsze niż pamiętany wciąż żywo dramat z Czechowic-Dziedzic. Nagromadzenie materiałów niebezpiecznych w połączeniu z procesami technologicznymi fabryki stanowiło tykającą bombę, z którą jednak strażacy poradzi sobie wzorowo. Pomimo wybuchających beczek czy skażenia związkami chemicznymi, których skład był nieznan, a działania nie dało się przewidzieć, pożar opanowano w niecałe 3 godz. od przyjazdu pierwszej jednostki.

Dzięki sprzyjającym warunkom strażacy uczestniczący w działaniach mogli sprawnie realizować plany dowódców. Dzień świąteczny (łatwiejszy dojazd, brak pracowników w zakładzie), dobre warunki atmosferyczne (lekki wiatr nie powodował rozprzestrzeniania się ognia) oraz pora dnia (dobra widoczność i orientacja w terenie) były tego dnia sprzymierzeńcami w walce z żywiołem. W akcji zużyto około 50 ton środka pianotwórczego.

Po jej zakończeniu podjęto decyzję o skierowaniu na obserwację do placówek medycznych 181 strażaków i 159 podchorążych

uczestniczących w akcji ze względu na to, że mieli kontakt z potencjalnie toksycznymi substancjami. Warto dodać, że kiedy wszystkie zastępy warszawskiej straży pożarnej i SGSP brały udział w akcji gaśniczej, nad bezpieczeństwem pożarowym stolicy czuwała Obwodowa Kompania Pożarnicza, składająca się z siedmiu kompanii OSP – w każdej działało 12 zastępów.

1985: piąty pożar Narodowego

9 marca 1985 r. w Teatrze Narodowym podczas trwającej na dużej scenie próby sztuki „Życie jest snem” Pedra Calderona pojawił się ogień. Obite grubym płótnem deski nagle zaczęły się wyrzucać, a spod nich z sykem wydobywał się gęsty czarny dym i płomienie. Nastąpiło to tak szybko, że aktorzy, technicy i około stu osób znajdujących się na widowni ledwo zdążyli uciec.



Odbudowany po pożarze z 9 marca 1985 r. gmach Teatru Narodowego dumnie prezentuje się na placu Teatralnym w Warszawie
fot. Tomasz Banackowski

Dym bardzo szybko rozprzestrzenił się po kilku kondygnacjach. Osoby znajdujące się w pracowniach na czwartym piętrze nie zdołały się ewakuować i przy otwartych oknach czekały na ratunek. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy była niesprawną kłapa oddymiająca nad sceną, nie udało się jej otworzyć nawet strażakom.

Zastępy strażaków przybyłe na miejsce rozpoczęły akcję od ataku na scenę i podscenie, kierując tam liczne prądy wody i piany gaśniczej zarówno z zewnątrz, jak i od środka. Jednocześnie za pomocą drabin mechanicznych roztawionych wokół budynku teatru ratowano ludzi z wyższych pięter.

Szybko pojawiły się problemy z zaopatrzeniem wodnym. Ciśnienie sieci hydrantowej mimo odłączenia z niej wielu okolicznych obiektów było niewystarczające. Zbudowano linię zasilającą bezpośrednio z Wisły oraz wykorzystano autocysterny z warszawskiego MPO.

Znajdujący się blisko ognia strażacy nie mogli pracować dłużej niż 10 min z powodu bardzo wysokiej temperatury. Zadymienie okazało się tak duże, że nawet lampy górnicze nie były wystarczająco skuteczne. Przez wybijane przez strażaków w dachu nad sceną otwory cały czas oddymiano obiekt.

Tę skomplikowaną akcję w skrajnie trudnych warunkach strażacy prowadzili przez blisko 6 godz. Uczestniczyło w niej 46 sekcji. Kiedy pożar opanowano, jego dogaszanie trwało jesz-

cze wiele godzin. Śledztwo prowadzone po zdarzeniu ujawniło jako przyczynę tragedii zwarcie w instalacji elektrycznej.

Teatr Narodowy spalił się już po raz piąty w swej historii. Do poprzednich pożarów doszło 11 czerwca 1883 r., 2 listopada 1919 r., we wrześniu 1939 r. i w sierpniu 1944 r. Tym razem wobec głębokiego wyniszczenia gospodarczego kraju w czasie stanu wojennego odbudowa teatru trwała długie 11 lat. Przez część tego okresu Narodowy korzystał z tymczasowej siedziby w Teatrze na Woli.

19 listopada 1997 r. wznowił działalność w swojej siedzibie uroczystą premierą „Nocy listopadowej” Stanisława Wyspiańskiego.

1999: sylwestrowa pozoğa

31 grudnia 1999 r. na Śląsku strażacy mieli głowę zaprzętą czymś zupełnie innym niż mającą spowodować problemy z funkcjonowaniem systemów komputerowych kłątwa milenijną. W budynku Komendy Miejskiej Policji w Świętochłowicach wybuchł pożar. W chwili przybycia na miejsce zdarzenia pierwszej jednostki PSP ogniem objęte było trzy czwarte powierzchni dachu (ok. 250 m²).

Na palące się poddasze po klatce schodowej podano w natarciu dwa prądy gaśnicze wody. W górnej części klatki schodowej panowała wysoka temperatura i duże zadymienie, występowały tam też toksyczne gazy pożarowe, których ilość zwiększało silne rozgorzenie ognia.

Istniało zagrożenie dla zdrowia czterech funkcjonariuszy Policji, którzy nie wyrazili zgody na opuszczenie budynku do czasu przeprowadzenia ewakuacji magazynu amunicji i broni. Zagrożone były też psy policyjne, zamknięte w wiacie przylegającej do budynku.

Podczas działań pojawiły się komplikacje z zaopatrzeniem wodnym. Z uwagi na trudności z lokalizacją i wykorzystaniem hydrantów podziemnych (brak oznaczeń), a także z powodu niskiej temperatury otoczenia, pokrywy śnieżnej oraz pory nocnej zaopatrzenie wodne stanowiły uruchomione hydranty znacznie oddalone od miejsca zdarzenia.

W trwającej prawie 11 godz. akcji udział wzięło 21 zastępów Państwowej Straży Pożarnej. W policyjnym śledztwie ustalono, że przyczyną pożaru było najprawdopodobniej zaproszenie ognia na dachu budynku w wyniku odpalenia fajerwerków przez nieustalone osoby.

Z uwagi na powstałe szkody Policja nigdy nie powróciła do swojej siedziby. Obecnie w odremontowanym budynku znajduje się otwarte w 2014 r. Muzeum Powstań Śląskich.

2008: cysterna w ogniu

W piątkowy wieczór 26 września 2008 r. strażacy z Chrzanowa wyruszyli do niezwykle trudnej akcji. Pod wiaduktem kolejowym zapaliła się cysterna przewożąca mieszaninę propanu-butanu LPG. Ruch drogowy i kolejowy został natychmiastowo wstrzymany z uwagi na zagrożenie i potrzeby akcji ratowniczej. Lokalizacja zdarzenia w ścisłym centrum liczącego prawie 40 tys. mieszkańców miasta spowodowało dodatkowe zagrożenie ze względu na zainteresowanie pożarem wielu przechodniów.

Walka z ogniem trwała prawie 48 godz. W tym czasie z dwóch stron schładzano cysternę sześcioma prądami wody i piany



Podczas pożaru cysterny z mieszaniną propanu-butanu LPG, do którego doszło 26 września 2008 r. w Chrzanowie, schładzano ją z dwóch stron prądami wody i piany
fot. Wojciech Rapka / KW PSP w Katowicach

oraz monitorowano wypalanie się ulatniającego gazu. Trzeba podkreślić sprawną organizację zaopatrzenia wodnego. Zapewnienie stałego dostępu do wody na potrzeby akcji gaśniczej było kluczowe dla powodzenia prób opanowania żywiołu. Ogień udało się ugasić po wtłoczeniu azotu do wnętrza cysterny.

W działaniach brały udział 54 zastępy PSP, OSP i ZSP. Poza 171 strażakami z ogniem walczyły służby miejskie, pogotowie, policjanci, specjaliści z branży chemicznej i samochodowej. Usytuowanie miasta na granicy województw małopolskiego i śląskiego pozwoliło na sprawne dołączenie do akcji kompanii ciężkich samochodów gaśniczych z Katowic. W zdarzeniu nikt nie został poszkodowany.

2022: dym nad Starachowicami

W czwartek 10 lutego 2022 r. doszło do wielkiego pożaru na terenie zakładów produkcyjnych Cersanit w Starachowicach. Ogień pojawił się na odcinku produkcyjnym i objął halę o powierzchni około 4 tys. m². Potężne kłęby dymu unosiły się nad miastem – ten obraz jak z katastroficznego filmu nie zniknął przez wiele godzin. Główne działania gaśnicze prowadzono całą noc z czwart-

ku na piątek, jednak dogaszanie spalonej hali trwało do niedzieli.

W czasie wybuchu pożaru w zakładzie znajdowało się 100 pracowników. Wszyscy zdołali się w porę ewakuować na zewnątrz. Z hali udało się wynieść niebezpieczne środki chemiczne oraz butle z gazem. W trakcie pożaru na skutek wysokiej temperatury obiekt uległ zawaleniu.

Walkę z ogniem rozgrywającą się na czterech odcinkach bojowych podjęło 201 strażaków PSP i OSP z 39 zastępów.

Pożar strawił linię produkcyjną wanień i armatur. Straty były ogromne, szacowano je na 80 mln zł. Władze lokalne wraz z właścicielami zakładu w trosce o pracowników, którzy z dnia na dzień zostali bez pracy, zapowiedzieli możliwie najszybszą odbudowę i uruchomienie produkcji.

Literatura dostępna u autora

kpt. Tomasz Banackowski pełni służbę w Wydziale Prasowym Komendy Głównej PSP, wcześniej był redaktorem w „Przeglądzie Pożarniczym”

Ponad 100 strażaków walczyło z ogniem, który opanował halę produkcyjną zakładów Cersanit w Starachowicach
fot. Marcin Nyga / KW PSP w Kielcach



Historia pewnego ubrania



Gaszenie pożarów należy do najbardziej ryzykownych rodzajów działań, wymaga intensywnej pracy fizycznej w niebezpiecznym środowisku. Wszyscy strażacy są zobowiązani do noszenia zestawu „wyjazdowego” (tj. kurtki, spodni i butów specjalnych) oraz innych środków ochrony indywidualnej (ŚOI), takich jak hełm, rękawice, buty i certyfikowany aparat powietrzny.



Norbert Tuśnio

Te elementy systemu ochronnego strażaków zostały zaprojektowane w celu zapewnienia im ochrony przed wieloma zagrożeniami: oddziaływaniem termicznym (np. narażeniem na płomienie i promieniowanie ciepłe), wdychaniem toksycznych gazów i obrażeniami fizycznymi (np. urazami głowy i kończyn, skaleczeniami, przebiciami, poślizgnięciami, upadkami itp.). Do tej pory większość badań nad systemem ochrony strażaków koncentrowała się na ochronie termicznej, co w połączeniu z postępem w technologii materiałowej w ciągu ostatniej dekady znacznie zmniejszyło narażenie na oparzenia.

Początki w USA i UK

Aby zaprezentować historię rozwoju sprzętu pożarniczego, przepisów prawnych czy taktyki gaśniczej, odniosę się do standardów anglosaskich. Przesądza o tym ciągłość i zrównoważony rozwój w tych obszarach, którego nie przerwały (w przeciwieństwie do Polski) ani wojny światowe, ani zmiany systemu gospodarczo-politycznego.

Aż do 1600 r. strażacy musieli radzić sobie z ogniem, promieniowaniem ciepłym i dymem bez użycia nowoczesnej technologii. Konstrukcje obiektów często płonęły doszczętnie, ponieważ strażacy walczyli z pożarami z zewnątrz. Operacje wewnętrzne nie były możliwe, gdyż odzież koszarowa, którą nosili na co dzień, nie zapewniała wystarczającej ochrony przed czynnikami termicznymi.

Wraz z rozwojem metod gaszenia pożarów ewoluował też sprzęt strażacki. Jacobus Turck, zapewniający obsługę i serwis dwóch nowoczesnych wówczas pomp ręcznych Newsham w Nowym Jorku, jest uznawany za wynalazcę pierwszego hełmu strażackiego. Skonstruował go w 1730 r. Był skórzany, wysoki i z szerokim rondem. Wiele lat później, w 1836 r., Henry T.

Gratacap zaprojektował hełm podobny do tego, który używany jest dzisiaj i określany jako tradycyjny hełm strażacki. Był to wzmocniony hełm skórzany w kształcie kopuły z przednią osłoną i rondem przechodzącym w osłonę karku.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Gratacap produkował „hełm przyszłości”, ubrania strażackie również się zmieniały. Użyto wełny, ciężkiego materiału, który zapewniał pewną ochronę przed czynnikami termicznymi – były to spodnie i długi trenz ze sztywnym kołnierzem. Do kompletu strażacy zakładali bawełnianą lub wełnianą koszulę, zwykle koloru czerwonego, a ostatnim elementem umundurowania były solidne, skórzane buty.

Postęp technologiczny związany z wykorzystaniem soku z drzewa gumowego miał korzystny wpływ na rozwój odzieży strażackiej. Gumowe peleryny noszone na wełnianych płaszczach dodały kolejną warstwę ochrony przed ciepłem i zapewniały zabezpieczenie użytkownika przed wodą, podobnie jak gumowe buty.

Początkowo również ochrona dróg oddechowych strażaków była minimalna.

Legenda miejska głosi, że strażacy zapuszczali brody, moczyli je w wodzie i zagryzali, aby oddychać przez nie w zadymionych



Grafika Kapitan Shaw – Król ognia Edwarda Linleya Sambourne'a w brytyjskim tygodniku satyrycznym „Punch, or The London Charivari”, 1881

fot. Wikipedia / domena publiczna

Tabela 1. Dawne i współczesne brytyjskie mundury na osi czasu

Wetniana tunika (1866-1936)	W 1866 r. główny oficer straży pożarnej kapitan Sir Eyre Massey Shaw wprowadził nowy mundur, składający się z niebieskiej dwurzędowej tuniki serge i spodni. Każdy strażak miał przy sobie toporek i klucz do węża. Strażak nosił również numer na tunice. Liczba ta reprezentowała rangę danej osoby i zmniejszała się wraz ze stażem.
Gumowe legginsy (1914-1974)	W 1914 r. wprowadzono gumowe legginsy. Wetniane spodnie łatwo namakały i w rezultacie stawały się bardzo ciężkie. Nowe gumowe legginsy utrzymywały nogi suche i były znacznie lżejsze niż mokra wełna.
Żółte legginsy (1974-1989)	W 1974 r. wetniana tunika pozostała, ale czarne gumowe legginsy wycofano i zastąpiono kultowymi żółtymi legginsami. Jasnożółte były lepiej widoczne w zadymionych pomieszczeniach.
Ubranie specjalne typu Nomex (1989-1999)	Pierwszy Nomex został wprowadzony w 1989 r. Tkanina zapewniała znacznie lepszą ochronę przed ciepłem i płomieniami, była też wodoodporna. To pierwsze ubrania, które utrzymywały taką samą ochronę w obu częściach.
Ubranie specjalne Inferno (1999-2010)	W 1999 r. Inferno zostało wprowadzone do podziałów bojowych. Ten bordowy kombinezon był bardziej giętki i odporny na ciepło niż poprzedni. Pozwalał strażakom na łatwiejsze poruszanie się i dawał możliwość dłuższego przebywania w środowisku pożaru. Kombinezon miał trzy warstwy: ognioodporną, wodoodporną i termiczną.
Ubranie specjalne Ergotech Action (2010-2018)	Wprowadzone w 2010 r., zostało wykonane z najlżejszych i najbardziej efektywnych materiałów dostępnych w tamtym czasie. Konstrukcja Ergotech Action miała wiele funkcji zwiększających komfort strażaków.
Współczesny standard	Jasny kolor tkaniny Titan 1260 z włóknami PBI w kolorze złotym pokazuje wszelkie zabrudzenia bardziej niż poprzednie granatowe ubrania, a tym samym ułatwia ocenę przydatności do dalszego użycia. Seria X-Flex jest lżejsza niż poprzednie SOI, zwiększa swobodę ruchu, a wytrzymała powłoka zewnętrzna zapewnia dobrą cyrkulację powietrza, zwiększoną oddychalność i komfort. Zewnętrzna powłoka odzieży zapewnia maksymalną dostępną ochronę termiczną, jednocześnie minimalizując ryzyko stresu cieplnego. Hełm Rosenbauer jest wyposażony w zintegrowaną latarkę, aby oświetlić obszar roboczy strażaków. Rękawice wykonane z kombinacji tkanin typu Nomex i Elk można prać w pralce i usuwać z nich wszelkie zanieczyszczenia. Obecnie rękawice mogą być prane w jednostce, ale nie będą tak czyste, jak nowe (w kolorze złotym). SOI mogą być używane w każdej interwencji, w której uczestniczy brytyjska straż pożarna, a strażacy otrzymali dodatkową parę specjalnych rękawic ochronnych. Są one lżejsze i mogą być używane we wszystkich interwencjach, które nie wiążą się bezpośrednio ze zwalczaniem pożaru. Nie ograniczają ruchów, pozwalają na precyzyjną obsługę sprzętu oraz zwiększają komfort pracy i bezpieczeństwo użytkowników.

miejscach. Broda mogła działać jak filtr, ale nadal nie powstrzymała toksycznych produktów spalania.

Dopiero w 1825 r. włoski naukowiec Giovanni Aldini próbował zaprojektować maskę, która zapewniłaby ochronę ciepłą i dozowanie świeżego powietrza. Koncepcja ta stanowiła inspirację do wielu kolejnych prób stworzenia bardziej skutecznego urządzenia. Górnik John Roberts wynalazł maskę filtracyjną, która była szeroko stosowana w Europie i Stanach Zjednoczonych. W tym samym okresie podjęto kilka prób wynalezienia kasku z wężem przymocowanym do pompy, która dostarczała świeże powietrze.

Dalszy rozwój

Wojny światowe przyniosły spowolnienie postępu w rozwoju wyposażenia i sprzętu ochrony indywidualnej. Powszechnie widywano długie gumowe trencze, długie gumowe buty i tradycyjny hełm strażacki. Długie gumowe buty były często określane jako buty trzy czwarte i chroniły nogi strażaka powyżej kolana.

Dopiero po drugiej wojnie światowej opracowano normy dotyczące strażackiego wyposażenia ochrony osobistej. Kilka organizacji rozpoczęło testy wydajności i tworzenie standardów dla sprzętu. Liderem w tym przedsięwzięciu było Krajowe Stowarzyszenie Ochrony Przeciwożarowej (NFPA), które do dziś opracowuje standardy dotyczące odzieży ochronnej (NFPA 1971, *Standard on Protective Ensembles for Structural Fire Fighting and Proximity Fire Fighting*).

Dopiero w 1982 r. NFPA opracowała standard dla urządzeń systemu bezpieczeństwa osobistego ostrzegania (PASS). Urządzenia te wysyłają alarm dźwiękowy, gdy strażak pozostaje nieruchomy lub kończy mu się powietrze. W 1980 r. do wykonania zewnętrznej powłoki płaszczy i spodni użyto zaawansowanych materiałów ognioodpornych, takich jak Nomex i Kevlar.

Teraźniejszość i przyszłość

Używany obecnie sprzęt przeciwpożarowy pochodzi z połączenia testów i technologii z wcześniejszych lat. Komfort użytkowania, odporność na uszkodzenia mechaniczne i wysoką temperaturę wzrastały wraz z nowymi elementami, takimi jak taśmy wszyte w górną część odzieży specjalnej, wiele kieszeni na różne narzędzia i zdejmowane nakolanniki. Współczesny hełm strażacki nadal przypomina projekt Henry'ego Gratacapa, ale ma lepsze wewnętrzne zawieszenie, pasek na podbródek i ognioodporną osłonę karku, która zakrywa uszy i szyję. Skórzane buty, rękawice i kominiarka uzupełniają zestaw sprzętu „wyjazdowego”.

Ochrony indywidualne polskiego strażaka

Przedwojenne wyposażenie strażackie nie odbiegało szczególnie od tego, które stosowali strażacy w krajach europejskich. Przykładem niech będą stroje czy hełmy z polskimi oznaczeniami, takie same jak sprzęt stosowany w sąsiadujących krajach. Bardzo silne były wpływy austrowęgierskie i pruskie.



St. kpt. Bartosz Pawnik z KG PSP
w strażackim moro
fot. Agnieszka Kubilus / Quadrat Studio



Mundur strażaka z lat 60. XX w.
prezentuje st. bryg. Marcin Przybyłowski
z KG PSP
fot. Agnieszka Kubilus / Quadrat Studio



Arkadiusz Ogródowski z KM PSP w Warszawie
zadaje szyku w strażackim mundurze używanym przed I wojną światową
fot. Agnieszka Kubilus / Quadrat Studio



Umundurowanie strażaków w 1940 r.
fot. NAC



Strażacy z Siedlec, 1978 r.
fot. NAC

Na przestrzeni lat zmieniło się praktycznie wszystko, jeżeli chodzi o hełmy, ubrania specjalne czy obuwie. Jedyne, co pozostało w niemalże niezmienionej formie, to pas strażacki i kominiarka. Skok technologiczny w wyposażeniu strażaków spowodowała konieczność dostosowania ich wyposażenia do standardów Unii Europejskiej.

Rozdzźwięk między technologią stosowaną w Wielkiej Brytanii czy krajach zachodnich oraz w Polsce nastąpił, kiedy w naszym kraju zaczęto korzystać z rozwiązań, które nie były przeznaczone wyłącznie dla straży, ale również wojska i Milicji Obywatelskiej.

Przed 1992 r. polskie normy określały wymagania tylko dla hełmu, pasa strażackiego, aparatów oddechowych i masek. Dla takich ochron, jak ubrania specjalne, buty specjalne i rękawice nie było wymagań w zakresie odporności na zapalenie czy też na duże promieniowanie cieplne. Z tego względu podstawowe ubranie ochronne dla strażaka stanowiło tzw. moro – stosowane do połowy lat 90. ubiegłego stulecia. Słowo moro jest skrótem od określenia „materiał odzieżowy roboczo-ochronny”. Moro było wykonane w 100% z tkaniny bawełnianej, bez impregnatu wpływającego na odporność na zapalenie i dodatkowych warstw chroniących strażaka przed promieniowaniem cieplnym oraz przemoczeniem. Letni typ ubrania ochronnego składał się jedynie z cienkiej jednowarstwowej kurtki i spodni, a na okres zimowy przewidziano do kurtki i spodni dodatkową podpinkę ocieplającą, również wykonaną z bawełny.

Do kompletu z moro strażak dostawał buty typu skuter, z całą konstrukcją powyżej podeszwy wykonaną z tworzywa skóropodobnego. Rzadkością były wierzchy ze skóry. Nikt nie słyszał o takich zabezpieczeniach, jak stalowa czy wykonana z włókien syntetycznych wkładka osłaniająca stopę przed przebicciem ostrym przedmiotem, stalowy podnosek chroniący palce przed zgnieceniem, wkładka z membrany wodoszczelnej paroprzepuszczalnej czy warstwa chroniąca przed przecięciem piłą mechaniczną.

Jeszcze wcześniejszym ubraniem była odzież specjalna wykonana z brezentu lub zbliżonych materiałów. U prądownika pierwszej rotacji warstwę ogniochronną kurtki „wyjazdowej” (będącą standardem w przypadku strażaków amerykańskich czy brytyjskich w tym samym okresie) zastępowano polewaniem go wodą, co miało zwiększyć jego komfort termiczny przy podejściu do płomienia. Hełmy były wykonane z dobrze przewodzącego ciepło metalu lub nieodpornego na udużenie bakelitu.

Po 1990 r. zaczęto wprowadzać wymagania określone na początku głównie w normach niemieckich (DIN), a następnie normach europejskich (EN).

W 3 lata później CNBOP wydawało już świadectwa do-

puszczenia na ubrania wykonane w 100% z materiałów trudnopalnych. Były wielowarstwowe, składały się z warstwy zewnętrznej, wodoszczelnej paroprzepuszczalnej membrany, warstwy termoizolacyjnej i podpink. Pierwsze ubrania powstawały z tkaniny aramidowej typu Nomex i stąd potoczna nazwa tego nowego typu i kroju ubrań. Tkanina ta charakteryzowała się o wiele wyższą wytrzymałością na zrywanie, była również trudnopalna, odporna na lekkie kwasy i zasady, a co najważniejsze – nie traciła tych cech z upływem czasu użytkowania, tak jak w przypadku impregnowanych tkanin bawełnianych.

Ubrania z tkaniny typu Nomex były wówczas bardzo drogie (w porównaniu z ubraniem typu moro nawet siedem do dziesięciu razy droższe), z tego powodu około 1995 r., pierwotnie na krótki okres przejściowy, zostały zastąpione w wielu jednostkach tzw. ubraniem popularnym specjalnym, w skrócie UPS. Miało ono warstwę zewnętrzną wykonaną z impregnowanej bawełny, zaś w warstwie termoizolacyjnej i podszewce zastosowano łatwopalny poliestr. Zaimpregnowana bawełna zachowywała odporność na zapalenie zwykle do pierwszego prania. Ponieważ jednak tego typu ubrania były trzy-, czterokrotnie tańsze niż ubrania wykonane w 100% z włókien aramidowych, na długo zdomowywały się w jednostkach ochrony przeciwpożarowej. Okres przejściowy trwał do 2004 r. Kiedy Polska stała się członkiem Unii Europejskiej, zaczęła w niej obowiązywać dyrektywa nr 89/686/EWG dotycząca wymagań dla środków ochrony indywidualnej, wprowadzona rozporządzeniem ministra gospodarki z 21 grudnia 2005 r. w sprawie zasadniczych wymagań dla środków ochrony indywidualnej. Od tej chwili ubrania specjalne popularne musiały zostać zastąpione ubraniami specjalnymi spełniającymi wymagania normy PN-EN 469.

Aby uzmysłowić, jak duże zagrożenie dla użytkowników stwarzały ubrania bawełniane moro i ubrania typu UPS w porównaniu do ubrań z nowoczesnych

tkanin, można zestawić ich tzw. indeksy tlenowe (indeks tlenowy to najmniejsza zawartość tlenu w atmosferze, wyrażona w procentach objętościowych, przy której zachodzi jeszcze proces palenia). Dla tkanin bawełnianych indeks tlenowy wynosi ok. 17%, tkanina wełniana ma indeks 23,8%, tkaniny aramidowe (Nomex) 28-31%, a coraz częściej stosowana na całym świecie tkanina z włókien polibenzimidazolu, w skrócie PBI (czyli brytyjski „złoty standard”), osiąga nawet 42%. Tkanina typu PBI ma kilkakrotnie wyższą wytrzymałość na płomień oraz odporność na przenikanie promieniowania cieplnego w stosunku do tkanin aramidowych.

Sama konstrukcja ubrań się nie zmieniła, zaczęto jednak wprowadzać nowoczesne technologie materiałowe, np. tkaniny typu Nomex, Kevlar i PBI, co nie tylko zwiększyło poziom



Warstwą ochronną kurtki była woda, którą polewano strażaka wchodzącego w płomień
fot. Paweł Wolny

ochrony, ale także komfort pracy – ze względu na znaczące obniżenie masy ubrania.

Warto wspomnieć, że przed 1990 r. można było jeszcze spotkać w wyposażeniu jednostek straży pożarnej ubrania wykonane z włókien azbestowych pokrytych warstwą sproszkowanego aluminium. Ustawą z 19 czerwca 1997 r. o zakazie stosowania wyrobów zawierających azbest (DzU nr 101, poz. 628)

wprowadzono zakaz stosowania azbestu we wszystkich dziedzinach przemysłu. CNBOP od 1990 r. nie dopuszczało ubrań wykonanych z włókien azbestowych. ☒

bryg. dr inż. Norbert Tuśnio jest adiunktem w Katedrze Działań Ratowniczych na Wydziale Inżynierii Bezpieczeństwa i Ochrony Ludności SGSP



Strażak podczas gaszenia pożaru w Państwowej Fabryce Papy i Izolacji Korsaka w Warszawie, zdjęcie z okresu 1946-1949
fot. NAC



Strażak w magazynie sprzętu pożarniczego, 1948 r.
fot. NAC



Strażacy wypompowują wodę deszczową z bieżni Stadionu Wojska Polskiego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie, 1937 r.
fot. NAC



Strażak podczas gaszenia pożaru w Państwowej Fabryce Papy i Izolacji Korsaka w Warszawie, zdjęcie z okresu 1946-1949
fot. NAC

Dzieje motoryzacji



Milowym krokiem w rozwoju motoryzacji było wynalezienie pod koniec XIX w. szybkobieżnego silnika spalinowego. Odmienił on życie strażaków i oblicze straży pożarnych. Sikawki zaczynają odchodzić do lamusa, pojawiają się zupełnie nowe możliwości.



Lata 30. Zmotoryzowane oddziały wileńskiej straży pożarnej
fot. NAC

Paweł Karol Gąsiorczyk

Wynalazek znalazł zastosowanie w pompach strażackich i stał się jednostką napędową strażackich pojazdów.

Prace nad stworzeniem pomp z silnikami spalinowymi były prowadzone etapowo. W 1888 r., na 13. Zjeździe Niemieckich Straży Pożarnych w Hanowerze, Gottlieb Daimler i Heinrich Kurtz przedstawili pierwszą znaną pompę z silnikiem benzynowym firmy Daimler. Warto zauważyć, że była to pompa tłokowa zamontowana na cztero-kołowym wozie. W 1910 r. firma Konrada Rosenbauera z Austrii zbu-

Historia naszego kraju na przestrzeni ostatnich 110 lat była burzliwa i dramatyczna. Zmianie ulegały systemy polityczne i granice naszego terytorium. Po II wojnie światowej państwo polskie bezpowrotnie utraciło tereny, na których kwitła polska kultura, a otrzymało czasem zniszczone podczas wojny obszary, które dotychczas leżały w niemieckim kręgu kulturowym. Skomplikowane dzieje utrudniają badaczowi jasne określenie ram geograficznych polskiego pożarnictwa. W niniejszym artykule dzieje motoryzacji polskiego pożarnictwa ujmują tereny, które przed II wojną światową znajdowały się w granicach państwa polskiego bądź miejsca, gdzie żyli niegdyś Polacy.

dowała pierwszą motopompę przeznaczoną zakupioną przez kolejową straż pożarną w Linzu. Początkowo do napędzania pomp używano silników czterosuwowych, okazały się



Sikawka poruszana motorem naftowym firmy Magirus z 1893 r.
źródło: zbiory CMP w Mysłowicach

jednak dość awaryjne. W dodatku były ciężkie, co powodowało małą mobilność połączonych z nimi pomp. W 1922 r. powstał prototyp przenośnej motopompy z silnikiem dwusuwowym, ale dopiero około 1923 r. Rosenbauer wyprodukował pierwszą seryjną motopompę z silnikiem tego typu.

SIKAWKI MOTOROWE, CZYLI MOTOPOMPY

W tym samym roku uruchomiono produkcję motopomp w Polsce. Jedną z pierwszych, jeszcze tłokowych (suwakowych), była motopompa LiS o wydajności około 380 l/min z Fabryki Sikawek Motorowych Autoremont. Nazwa sprzętu odnosiła się do konstruktorów, a jednocześnie właścicieli fabryki – Henryka Liefeldta i Stefana Schiffnera. Urządzenie miało jednocylin-drowy silnik czterosuwowy o mocy 5 KM oraz dwukołowy resorowany wózek ręczny ułatwiający transport. W późniejszym czasie firma wytwarzała również autopompy o wydajności około 1000 l/min.

Kolejną polską seryjną motopompą, choć wciąż tłokową, była Florianka o wydajności około 300 l/min, produkowana przez Składnicę Straży Pożarnych SA od końca lat 20. XX w. Firma ta powstała w 1919 r. jako spółdzielnia stworzona na potrzeby Związku Floriańskiego, jednej z głównych organizacji strażackich. W kolejnych latach opracowano nowy model pompy – Floriankę 2, o wydajności 380 l/min. Motopompy miały nieduże, jednocylin-drowe silniki, co redukowało ich wagę i zwiększało ekonomikę użytkowania.

We lwowskiej Fabryce Motopomp i Samochodów Pożarniczych Unia Strażacka, istniejącej od 1913 r., wytwarzano od 1927 r. dwa modele motopomp: przenośną Niagarę o wydajności 600 l/min, napędzaną silnikiem benzynowym o mocy 12 KM, oraz przewoźną Nil, o wydajności około 500 l/min. Od lat 30. XX w. w fabryce były produkowane bardzo popularna Leopolia, a także autopompa US o wydajności 1500 l/min. Przed II wojną światową jednym z projektantów tej firmy był inż. Fryderyk Bluemke (1903-1912), którego nazwisko trwałe wpisało się w historię polskiej motoryzacji.

Kolejną firmą produkującą motopompy była Fabryka Narzędzi Pożarniczych Strażak L. Piętki, A. Płoskiego i G. Szołowskiego (powstała w 1898 r.). W 1927 r. rozpoczęła swoją przygodę od sprzętu pod nazwą Zuch, a następnie przy

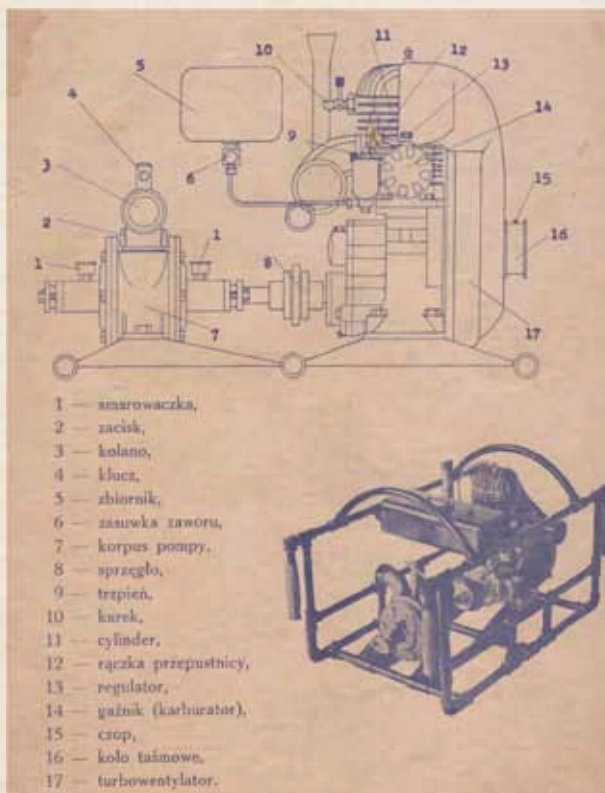
współpracy z austriackim Rosenbauerem tworzyła motopompę Strażak. Była to konstrukcja nowoczesna, napędzana silnikiem typu boxer. Po paru latach doświadczeń, w połowie lat 30. XX w. Fabryka uruchomiła produkcję własnej rodziny motopomp, o nazwie Polonia. W sumie powstały trzy modele: Polonia I C-2, Polonia I DW2/36 i Polonia II-38. Pierwszy miał czterosuwowy, dwucylindrowy silnik Mehne M-105 o mocy 18,5 KM, a kolejne modele napędzały polskie silniki SS-15 i SS-25, o których mowa poniżej. Wydajność Polonii wynosiła 600 l/min (Polonia I) oraz 610 l/min (Polonia II).

W latach 30. XX w. wytwarzaniem pomp strażackich zajęło się kilka kolejnych zakładów. Najbardziej znanymi były wspomniana już Unia Strażacka ze Lwowa, firma Karol Ochsner i syn z Bielska wytwarzająca Silesię oraz Lilpop, Rau i Loewenstein z Warszawy, który produkował Syrenę.

Do wybuchu II wojny światowej wyprodukowano kilka modeli motopomp Silesia (np. Silesia II, Silesia IP, Silesia IS, Silesia O). Używano w nich silników takich marek, jak DKW, Mehne czy Breuer. Do zalet sprzętu zaliczano czas zasysania około 10 s, niską wagę, wyposażenie zbiornika na paliwo w mieszkadło, system przeciwko zamarzaniu oraz wydajny system chłodzenia.

Firma Polmopomp z Bielska, od 1933 r. produkująca motopompy Druh-

na 0, Druhna I i Druhna I-37, była mniej znana, ale także miała swych odbiorców. W zakładzie wytwarzano również własne silniki PMP 45 i PMP 80, odpowiednio o mocy 10 KM i 18 KM.



Folder reklamowy motopompy Florianka 1 z 1929 r.
źródło: zbiory CMP w Mysłowicach

Rodzime silniki

Warto wspomnieć, że początkowo większość silników pochodziła z importu. Dopiero od lat 30. XX w. używano m.in. silników warszawskiej firmy Artura Steinhagena i Henryka Stransky'ego. Na potrzeby pomp strażackich powstały trzy rodzaje silników. Podstawowym był opracowany w 1933 r. silnik SS-15, gaźnikowy, dwusuwowy, dwucylindrowy, chłodzony wodą o mocy 15 KM przy 3000 obr./min. W 5 lat później stworzono mocniejszą jednostkę – silnik SS-25 (gaźnikowy, dwusuwowy, trzycylindrowy, chłodzony wodą o mocy 23 KM przy 3000 obr./min) oraz słabszy silnik SS-7 (gaźnikowy, dwusuwowy, jednocylin-drowy, chłodzony powietrzem o mocy 6 KM przy



Reklama motopompy Leopolja firmy Unia Strażacka ze Lwowa
źródło: zbiory CMP w Mysłowicach



Motopompa Strażak z 1932 r.
fot. archiwum Wielkopolskiego Muzeum Pożarnictwa w Rakoniewicach – oddział CMP w Mysłowicach

3000 obr./min). Jednostki te stosowane były również w motopompach marki Leopolja produkowanych przez Unię Strażacką ze Lwowa.

W tym czasie firma Lilpop, Rau i Loewenstein opracowała własne jednostki napędowe dwóch typów, konstrukcji inż. Stanisława Czernielewskiego: używany w Syrenie I (M-600) silnik LRL-276 – gaźnikowy dwusuwowy, dwucylindrowy, chłodzony wodą o mocy 18 KM przy 3000 obr./min oraz używany w Syrenie II (M-800) silnik LRL-285 – gaźnikowy dwusuwowy, dwucylindrowy, chłodzony wodą o mocy 25 KM przy 3000 obr./min. Wytwarzane w Warszawie motopompy były niewielkich rozmiarów, wręcz kompaktowych – ważyły do 148 kg, miały nowoczesny system chłodzenia, możliwość czyszczenia filtra paliwa w trakcie pracy silnika oraz prądnice służącą do zasilania reflektora i oświetlenia przyrządów pomiarowych podczas pracy nocnej. Nowością było również zastosowanie smoczka na sprężoną mieszaninę jako urządzenia zassającego.

Rozwój techniki pożarniczej postępował na tyle dynamicznie, że na początku lat 30. XX w. Związek Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej (powstały w 1921 r.) powołał swój Wydział Techniczny, który zajmował się badaniem sprzętu strażackiego oraz stworzeniem polskich norm sprzętowych. Początkowo w Polsce urządzenia nie podlegały bowiem weryfikacji czy też kategoryzacji pod względem technicznym, nierzadko wspomagano się normami niemieckimi. W przypadku motopomp szczególnie sprawdzano silniki, pompy, pompki zasilające, ramy oraz zbiorniki. Przeprowadzano próby przebiegu na sucho, ssania, ssania z rzeczywistej głębokości, próby wydajności przy różnych obrotach oraz próby oporów stawianych przy ssaniu przez kosz

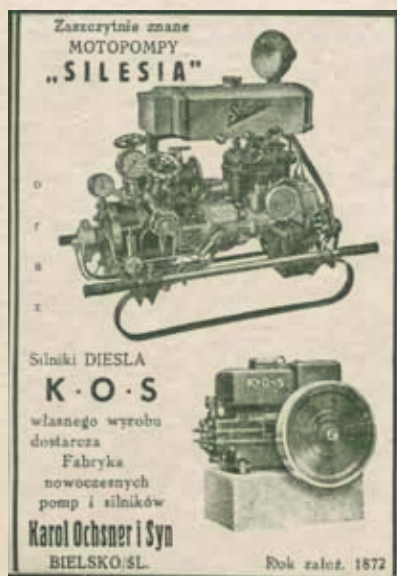
ssawny. Wyniki tych badań były publikowane w „Przeglądzie Pożarniczym”.

Efekt działań Wydziału Technicznego stanowiło między innymi ustanowienie w 1931 r. trzech kategorii motopomp:

- » 0 – motopompy o wydajności 300 l/min przy ciśnieniu 6 atm,
- » I – motopompy o wydajności 600 l/min przy ciśnieniu 6 atm,
- » II – motopompy o wydajności 800 l/min przy ciśnieniu 6 atm.

W 1935 r. powstały nowe normy, uznające mniejsze wydajności motopomp (200, 400, 600 l/min) i jednocześnie zwiększające wymagania dotyczące ciśnienia (z 6 atm do 8 i 10 atm). Zmiany te były spowodowane słabym przeciwpożarowym zaopatrzeniem wodnym i koniecznością zapewnienia skuteczniejszego gaszenia, czyli możliwości uzyskania strumienia wody o wydajności 200 l/min przy 4 atm.

Dodatkowo ustalono standard nasad ssawnych i tłocznych, zasad odwodnienia pompy oraz wyposażenia w węże i niezbędny sprzęt oraz narzędzia. Normy określały też, do jakich celów mają służyć poszczególne motopompy: 0 przewidziane były dla obszarów wiejskich i małych miasteczek, I – większych osiedli, a II miały być przeznaczone dla zawodowych straży



Reklama motopompy Silesia firmy Karol Ochsner i Syn z Bielska
źródło: zbiory CMP w Mysłowicach

pożarnych, gdzie znajdowały się tzw. pogotowia okręgowe.

W czasie II wojny światowej firma Lilpop, Rau, Loewenstein produkowała Syreny do 1940 r., zanim władze niemieckie nie przejęły fabryki. Na początku lat 40. XX w. uruchomiono jedynie produkcję motopompy Leopolja – podjęła się jej pozostająca pod niemieckim zarządem firma A. Steinhagen i H. Stransky w Warszawie. Jej konstruktorem był inż. F. Bluemke. Składała się z pompy wirowej – odśrodkowej, dwustopniowej o wydajności nominalnej 600 l/m przy 10 atm., a napędzana była znanym już silnikiem SS-25.

W czasie wojny polscy strażacy używali motopomp wcześniej pozyskanych, gdyż władze okupacyjne rzadko przekazywały sprzęt. Pod koniec wojny, wraz z wycofywaniem się wojsk niemieckich, ogołocono nasze strażę z dużej części nowoczesnego sprzętu pożarniczego.

Czas odrodzenia

Po wojnie przystąpiono do odbudowy straży pożarnych. Jedynym istniejącym zakładem produkującym wcześniej pompy była fabryka Karol Ochsner i Syn w Bielsku. W niedługim czasie została znacjonalizowana i jako Zakład Silników Spalinowych, a następnie Wytwórnia Sprzętu Pożarniczego nr 1 w Bielsku rozpoczęła produkcję motopomp. Miano zaprojektować i produkować motopompy: o wydajności 800 l/min przy 8 atm podstawowy sprzęt gaśniczy w strażach pożarnych oraz o wydajności 200 l/min przy ciśnieniu 6 atm, aby zastąpić używane wcześniej sikawki.

W 2 lata po zakończeniu wojny F. Bluemke wraz z inż. Władysławem Robińskim skonstruowali nową motopompę Leopolię – PO-1. Składała się z dwustopniowej pompy odśrodkowej oraz dwusuwowego, dwucylindrowego, chłodzonego wodą silnika spalinowego o mocy 28 KM przy 3000 obr./min, znanego pod nazwą S80. W 1949 r. opracowano Leopolię PO-2, napędzaną dwusuwowym, jednocylinowym silnikiem spalinowym S82 chłodzonym powietrzem o mocy 8 KM przy 3000 obr./min. Motopompy te miały odpowiednio wydajność 800 l/min i 200 l/min.

Powstające w Bielsku, a później Bielsku-Białej Leopole były już trzecim modelem o tej samej nazwie, przy których pracował F. Bluemke. W połowie lat 50. XX w. silniki S80 zostały zastąpione przez silniki S-15M projektu inż. Jana Kubicy, nad którym czuwał inż. F. Bluemke. Fakt ten wywołuje ciągle zamieszanie wśród miłośników historii motoryzacji, gdyż do dziś krąży fałszywe przekonanie, że napędzał on również polski samochód osobowy, czyli popularną Syrenę. W rzeczywistości było na odwrót – to właśnie zmodyfikowany silnik z Syreny został użyty w PO-3. Wspomniane PO-1 masowo trafiały do jednostek straży pożarnych, produkowano je do 1958 r. Stanowiły także seryjne wyposażenie pro-

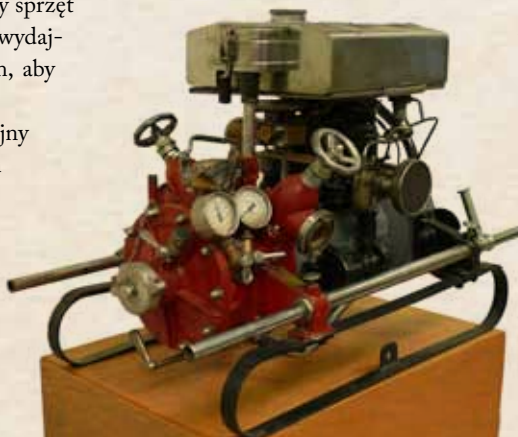
dukowanych w latach 50. XX w. samochodów gaśniczych na podwoziu Stara 20 GM-8 czy też Stara 21 SBM 2000/8.

Mniejszy model Leopoli – PO-2 czy też P20 – również zasiliał strażę pożarną, szczególnie te mniejsze, które nie zawsze było stać na większy, a zatem droższy sprzęt. Zastępowała ona w zupełności sikawkę, a jej plusem była waga zaledwie 104 kg. Ze względu na stosunkowo słabą wydajność w 1963 r. zastąpiono ją motopompą PO-4, która występowała w dwóch wersjach P25 i P26. Należało ją zalać przez użyciem, w tym celu używano ręcznej pompki tłokowej (P25) bądź pompki samozasysającej (P26). Jej wydajność wynosiła 400 l/min przy 4,5 atm. Często stanowiła wyposażenie lekkich samochodów gaśniczych. Produkcję wersji P25 dość szybko zarzucono ze względu na stosowane urządzenie zasysające.

Ostatnim modelem produkowanym w Bielsku-Białej od 1958 r. była PO-3, występująca również w wariantach z układem i rozruchem elektrycznym – PO-3E, czyli Polonia. Model ten stał się bardzo popularny w drugiej połowie XX w, a czasami można je spotkać w użyciu i obecnie.

W tym miejscu należy wspomnieć o autopompach, które po II wojnie światowej były produkowane w WSM w Bielsku. Model A 1600 P30 o wydajności 1600 l/min montowano na Starach 20. Świdnicka Fabryka Urządzeń Pożarniczych w Świdnicy wytwarzała zaś autopompy A16/8 i A32/8 – umieszczano je na Jelczach, a A2/12 w Żukach. Ich wydajność wynosiła odpowiednio 1600 l/min, 3200 l/min oraz 200 l/min. Zasięg prądu wody największych autopomp osiągał 80 m.

W 1973 r. zakończono produkcję motopomp w Bielsku-Białej. Było to spowodowane włączeniem WSM nr 1 do Fabryki Samochodów Małolitrażowych Polski Fiat 126p. Produkcję motopomp przeniesiono do Gliwickich Zakładów Urządzeń Technicznych. Od 1978 r. wytwarzano tam m.in. motopompy M8/8 PO-5, a w latach 90. XX w. M8/8 PO-7 oraz pracowano nad motopompą PO-8. Projekt motopompy PO-5 opracowano jeszcze w Bielsku-Białej w 1971. Składała się ona z pompy wirowej odśrodkowej, dwustopniowej oraz silnika 04.145-04.164 FSM dwusuwowe-



Motopompa Syrena firmy Lilpop, Rau i Loewenstein, lata 30. XX w.
fot. archiwum CMP w Mysłowicach



Motopompa Leopolia firmy A. Steinhagen i H. Stransky, około 1942 r.
fot. archiwum CMP w Mysłowicach

go, dwucylindrowego o mocy 26 KM produkowanego przez WSM Polmo w Bielsku-Białej. Nowością stanowiło wprowadzenie pedału służącego do odpalania silnika zamiast dotychczasowej dźwigni ręcznej, niezależnie od rozruchu elektrycznego. Była to jedna z najpopularniejszych motopomp.

Wynalazki do szuflady i wolny rynek

Na marginesie można wspomnieć, że po zakończeniu wojny stan motopomp został również częściowo uzupełniony przez pomoc z UNRRA (Administracja Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy i Odbudowy). W jej ramach trafiły do Polski amerykańskie i angielskie motopompy przewożne takich firm, jak Harland, Kerr Drysdale, Standard Gwynne, Worthigton-Simpson, a także Scammell. Po wojnie polskie biura konstrukcyjne rozpoczęły intensywne prace nad różnymi rodzajami urządzeń gaśniczych. Ciekawym efektem ich działalności była turbopompa pożarnicza TP-3000. Projekt opracowali naukowcy z Politechniki Łódzkiej, a wykonała ją w 1968 r. w Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w Rzeszowie. Ważyła ona 250 kg, napędzał ją silnik turbospalinowy o mocy 120 KM przy 33000 obr./min. Miała wydajność 3000 l/min. Wypuszczono jednak zaledwie serię informacyjną, nie kontynuując produkcji.

Inną nieukończoną konstrukcją była motopompa z lat 70. XX w. o wydajności 200 l/min przy 12 atm. Jej napęd miał stanowić czterosuwowy, dwucylindrowy silnik Fiat 126p o mocy 24 KM. Niestety badania przeprowadzone w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Ochrony Przeciwpow-

żarowej w Józefowie wykazały, że urządzenie nie spełniało wymagań użytkowych i warunków normy PN 75/N-44090. Prace zarzucono.

Po 1989 r. firmy produkujące sprzęt strażacki musiały przyzwyczaić się do działań w zupełnie odmiennej rzeczywistości. Pompy produkował GZUT, który opracował kolejną strażacką motopompę o nazwie PO-7. Składała się ona z dwustopniowej pompy wirowej o wydajności 800 l/min przy 8 atm oraz napędzającego ją dwusuwowego, trzycylindrowego silnika o mocy 29,5 KM przy 4000 obr./min. Podobnie jak w PO-5 rozruch był zarówno elektryczny, jak i nożny. Pojawiła się też motopompa typu M8/8 GZUT PO-8, będąca zespołem jednostopniowej, odśrodkowej pompy wirowej, półautomatycznej łopatkowej pompy próżniowej i silnika firmy Tohatsu, przeznaczona do przetłaczania wody podczas akcji gaśniczych i powodziowych.

W kolejnych latach inne firmy, jak na przykład Spec-Poż i Ogniochron, wypuściły na rynek kolejne motopompy, w tym popularne motopompy pływające Leda i Niagara. W ostatnim 30-leciu z jednej strony można zauważyć załamanie rynku, na czym ucierpeli krajowi producenci, a z drugiej strony dostęp do sprzętu czołowych zagranicznych producentów, jak niemiecki Ziegler, austriacki Rosenbauer czy japoński Tohatsu. Zmiana nastąpiła również w taktyce pożarniczej – w większym stopniu zaczęto używać pomp pływających i motopomp przewożnych (agregatów pompowych), a przy prowadzeniu działań gaśniczych – agregatów gaśniczych i autopomp. W ten sposób ograniczone zostało użycie motopomp w polskim pożarnictwie.



Motopompa PO-3, Wytwórnia Sprzętu Mechanicznego Bielsko-Biała, 1968 r.
fot. archiwum CMP w Mysłowicach



Motopompa TP-3000
fot. archiwum CMP w Mysłowicach



Pierwszy pojazd benzynowy poznańskiej straży pożarnej
Za „Feuer und Wasser” nr 23/1911, s. 182
źródło: zbiory CMP w Mysłowicach



Pierwsze samochody poznańskiej straży pożarnej w latach 20. XX w.
źródło: zbiory CMP w Mysłowicach

SIKAWKI AUTOMOBILOWE – SAMOCHODY GAŚNICZE

Najprawdopodobniej pierwszy pojazd napędzany silnikiem spalinowym powstał w 1875 r. w Wiedniu, a jego konstruktorem był Sigfried Marcus. Była to konstrukcja drewniana wyposażona jednak we wszystkie podstawowe zespoły konstrukcyjne samochodu. Samochód ten miał jednocyldrowy silnik o mocy 0,75 KM przy 500 obr./min i rozwijał zawrotną prędkość 4 km/h. Jednak to nie S. Marcus, którego nazwisko władze nazistowskich Niemiec kazały usunąć z podręczników i encyklopedii, a prace dwóch konstruktorów niemieckich kojarzą się obecnie z początkami samochodów spalinowych. Pierwszy z nich to Gottlieb Daimler. W 1883 r. stworzył szybkobieżny silnik spalinowy, a 3 lata później zastosował go we własnej konstrukcji samochodowej. Niezależnie od niego w tym samym roku Karl Benz skonstruował pojazd o podobnym silniku.

Na przełomie XIX i XX w. strażacy zaczęli zastanawiać się nad szerszym zastosowaniem pojazdów samobieżnych w pożarnictwie. Próbowano sięgać zarówno po konstrukcje o napędzie parowym, elektrycznym (takie otrzymała np. straż Hanoweru w 1902 r.), jak i spalinowym (pierwsze pozyskała straż paryska w 1900 r.) Z czasem pozostał tylko samochód spalinowy.

Nowoczesny Poznań

Pierwszy pojazd napędzany silnikiem benzynowym pojawił się w poznańskiej straży na przełomie lat 1908 i 1909. Był to trzykołowy dwuosobowy „motocykl”, który zastąpił wcześniej używane rowery.

Na pierwsze pojazdy pożarnicze – samochody zbudowane na podwoziach firmy Daimler Mercedes – przyszło poczekać jeszcze 11 lat. Ich pozyskanie to zasługa komendanta poznańskiej straży, dr. Bernharda Reddemanna. Zaczątek nowego taboru stanowiły cztery pojazdy. Pierwszy miał zamontowaną sikawkę gazową firmy Kieslich, czyli duży wodny agregat gaśniczy, drugi – wysokociśnieniową pompę odśrodkową firmy Ehrhardt & Sehmer, a trzeci drabinę mechaniczną Magirusa napędzaną ręcznie, jak i przez użycie gazu z kwasu węglowego. Ostatni to samochód osobowy, zwany ćwiczebnym. Władze

miejskie były niechętnie zakupowi, przekonał je argument że będą się na nim uczyć przyszli kierowcy poznańskiej straży.

W ciągu kolejnych 16 lat poznańska straż została w pełni zmotoryzowana. Miejski tabor konny był jednak wciąż używany w razie dużych pożarów czy klęsk, gdy zachodziła konieczność zastosowania pogotowia zapasowego.

Na początku XX w. próby pozyskania samochodu strażackiego poczyniła też zawodowa straż pożarna w Krakowie. Już w październiku 1907 r. staraniem komendanta Feliksa Nowotnego udało się otrzymać, choć jedynie w celach testowych, samochód wraz z kierowcą. Wedle zapisów prasowych był to wygodny pojazd z silnikiem 16 KM mogący pomieścić dziewięciu strażaków i „maszynistę”.

Próba ta niestety zakończyła się nieszczęśliwie. Jednemu ze strażaków w trakcie jazdy spadł z głowy kapelusz, niefrasobliwie postanowił po niego wyskoczyć. Zrobił to tak pechowo, że doznał złamania podstawy czaszki i w kilka dni później zmarł. Władze miejskie Krakowa stwierdziły, że pojazd taki jest zbyt niebezpieczny i odmówiły zakupu. Dopiero po wybuchu I wojny światowej, w październiku 1914 r., udało się zamówić auta na podwoziach Austro-Daimlera skarosowane przez austriackiego Rosenbauera. W tym czasie z powodu rosyjskiej ofensywy wojskowej większość ziem polskich zaboru austriackiego znalazła się pod okupacją rosyjską, a Kraków został poddany zarządowi wojskowemu. Wiele brawurowych akcji gaśniczych przeprowadzonych przez krakowskich strażaków pod kierownictwem komendanta Nowotnego pozwoliło skutecznie ubiegać się o pozyskanie samochodów – od razu czterech. Do 1928 r. nastąpiła całkowita motoryzacja miejscowej straży.

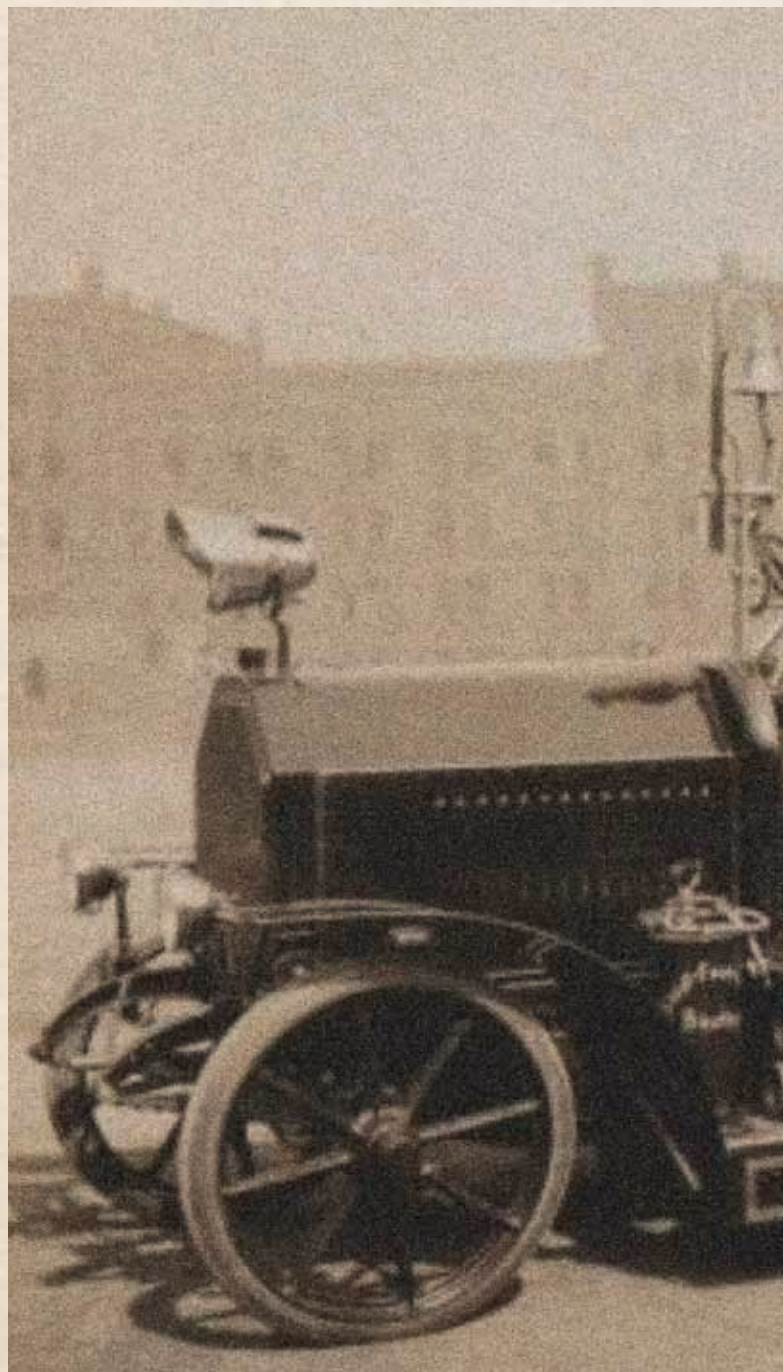
W Warszawie pierwszy samochód pojawił się również w 1914 r. – pojazd firmy Büssing niestety został tylko wypożyczony na próby. W 2 lata później Warszawska Straż Ogniowa otrzymała całkowicie nowy samochód na podwoziu firmy Hansa-Lloyd z Bremy. Miał on już czterocyldrowy silnik o mocy 60 KM, autopompę o wydajności 1800 l/min, trzyprzęsłową drabinę i miejsce dla jedenastu strażaków. W wyposażeniu warszawskiej straży pojawił się też samochód osobowy marki Durkopp & Co. z Bielefeld, model 8/18 PS, z trzycylindrowym silnikiem o mocy 18 KM. Niestety był on mocno zdekomple-



Pierwszy samochód krakowskiej straży pożarnej, zdjęcie z lat 1914-1916
źródło: zbiory CMP w Mysłowicach



Samochód pożarniczy na podwoziu marki Hansa-Lloyd zakupiony dla Warszawskiej Straży Ogniowej w 1916 r.
źródło: zbiory CMP w Mysłowicach



Pożarniczy Daimler zakupiony przez bytomską straż pożarną w 1913 r.
źródło: zbiory CMP w Mysłowicach

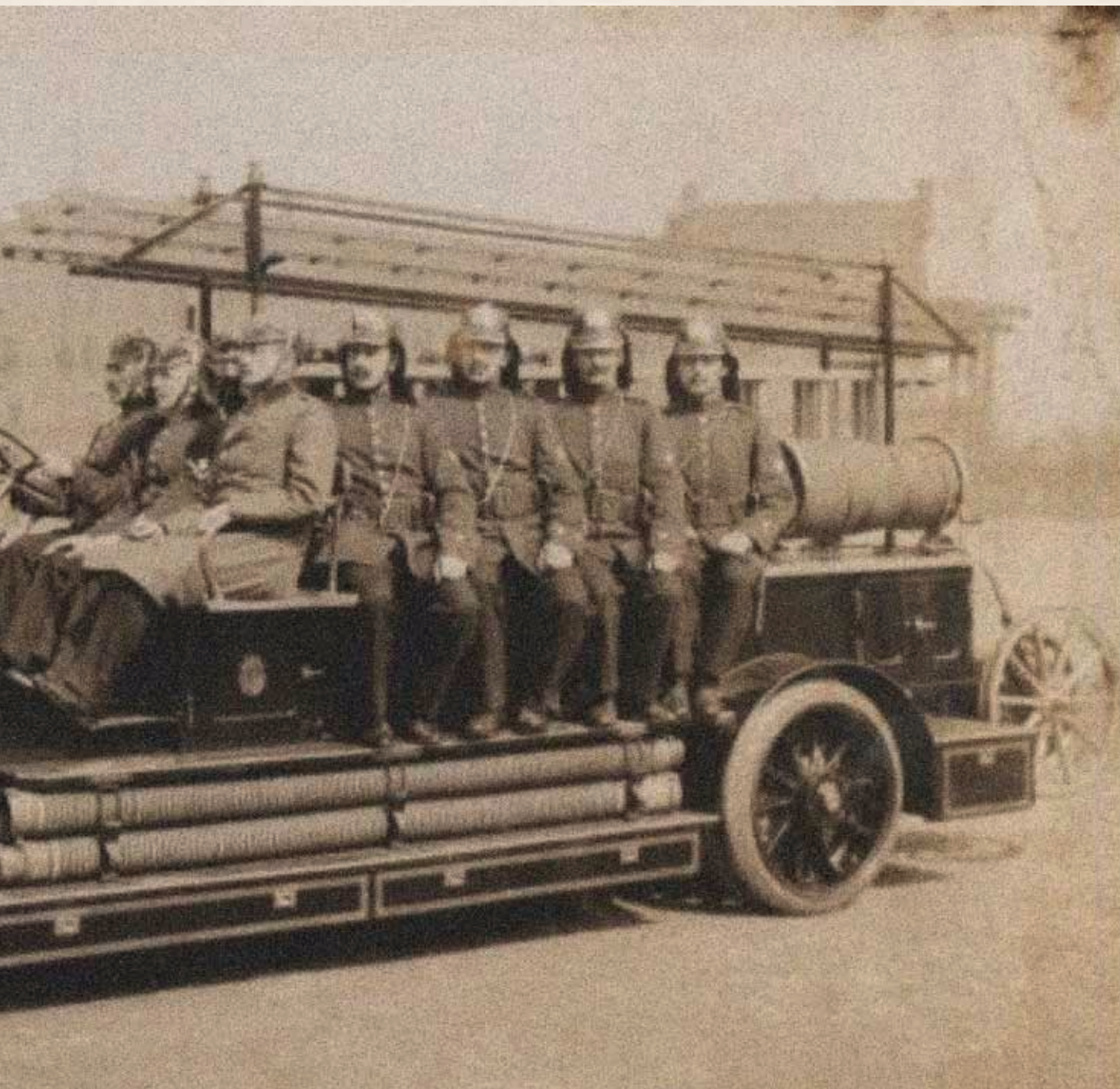
towny, ale po naprawach używano go do celów pożarniczych. Inny pozyskany wówczas pojazd to samochód francuskiej marki Rochet-Schneider z Lyonu.

W 1919 r. władze Torunia zakupiły dla miejscowej straży pożarnej samochód na podwoziu Hansa-Lloyda z silnikiem o mocy 55 KM, skarosowany w Fabryce Braci Kieslich w Paczkowie. Był on wyposażony w autopompę o wydajności 1500 l/min.

W 1913 r. samochody gaśnicze otrzymały także dwa górnośląskie miasta. Do Królewskiej Huty, czyli dzisiejszego Chorzowa, przekazano samochód marki Benz-Gaggenau. Napędzał go czterocylindrowy silnik benzynowy o mocy

58 KM. W tylnej części pojazdu była zabudowana autopompa o wydajności 1500 l/min. Samochód zachował się do dnia dzisiejszego i jest prezentowany w Centralnym Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.

Bytom otrzymał zaś pojazd Daimler No. 3, wyprodukowany w berlińskiej fabryce w Marienfelde. Znajduje się on również w zbiorach CMP. Ma silnik typu 1264 o mocy 56 KM. Zamontowano na nim wysokociśnieniową pompę odśrodkową firmy Sulzer o wydajności 1300 l/min przy 8 atm. Takie same pojazdy miały zakupić już straże we Wrocławiu w 1909 r. i Szczecinie 1910 r., a w 1911 r. miały się one zna-



leżać w wyposażeniu zakładowej straży pożarnej kopalni Giesche w Szopienicach (właśc. Janów-Nikiszowiec), a od 1912 r. w należącej do tej samej firmy huty w Roźdzeniu (obecnie dzielnica Katowic).

Okres międzywojenny

Po zakończeniu I wojny światowej następowała powolna, lecz stała motoryzacja polskich straży pożarnych. Największe miasta zaopatrywały swoje straże w nowe zdobycze techniki pożarniczej. Na początku lat 20. XX w. Łódzka Straż Ogniowa nabyła z demobilu ciężarówkę, przebudowując ją na cysternę,

a w 1923 r. zakupiono w Wiedniu, w znanej fabryce Wilhelma Knausta, sikawkę samochodową (samochód gaśniczy) na podwoziu Austro-Fiata.

W połowie lat 20. XX w. lwowska straż pożarna podjęła wysiłek motoryzacji swojego taboru. W 1925 r. udało jej się nabyć dwa samochody na podwoziu marki Dennis z zamontowanymi autopompami – jedną o wydajności 2000 l/min, a drugą o wydajności 1500 l/min. Dalsza motoryzacja następowała do 1934 r., gdy sprzedano ostatnie konie. W tym czasie straż lwowska zamówiła samochód kołowo-gąsienicowy na podwoziu Fiata 621.



Samochód kołowo-gąsienicowy lwowskiej straży pożarnej, lata 30. XX w.
źródło: zbiory CMP w Mysłowicach

Szczególne warunki wymagały specjalnych działań. W 1925 r. straż wileńska niemalże własnym sumptem we własnych warsztatach rzemieślniczych skarosowała swój pierwszy samochód marki Ford, montując na nim sikawkę gazową. Samochód ten następnie uzyskał dumne imię Rakiet. W kolejnych latach zakupiono podwozia różnych marek, które następnie również własnym sumptem karosowano.

Kolejnym przykładem była bydgoska straż pożarna, która w ramach jednego zamówienia zakupiła pięć samochodów strażackich w latach 1926–1927. Jednocześnie zlikwidowano tabor konny. Wyliczono bowiem, że roczny koszt utrzymania koni w straży wynosił 10 263 zł, a obsługa samochodów 6760 zł. Dzięki tej inwestycji w bydgoskiej straży pożarnej znalazła się m.in. drabina mechaniczna firmy Metz na podwoziu Dion Bouton.

Jak można zauważyć, w drugiej połowie lat 20. XX w. zaczęły pojawiać się w podziale bojowym pierwsze samochody z drabinami mechanicznymi, czyli tzw. autodrabiny. Wraz z liczbą samochodów rosła mobilność straży. Pozyskiwanie nowych samochodów wiązało się jednak z dużymi kosztami, dlatego też często kupowano pojazdy używane, nierzadko mocne wyeksploatowane, które poddawano gruntownym remontom i karosacji we własnym zakresie, jak na przykład w Wilnie. Czasami jakość przeróbek pozostawiała wiele do

życzenia, stwarzając zagrożenie dla zdrowia i życia strażaków. Brak polskich producentów powodował, że na terenie naszego kraju w strażach służyły samochody najróżniejszych marek – m.in. Benz Gaggenau, Daimler, Dion Bouton, Dennis, Magirus, Laurin-Klement, Praga, Berliet, Saurer, Hansa-Lloyd, Citroen, Skoda, Tatra. Warto przy tym zwrócić uwagę na dwa dość charakterystyczne wówczas elementy wozów strażackich: do 1923 r. stosowano w nich tzw. masywy, czyli ogumienie z pełnej gumy, a także umieszczano siedzenie załogi prostopadle do kierunku jazdy. Ta ostatnia cecha pozostała niezmienna prawie do końca lat 30. XX w.

W tym czasie rozpoczęto w Polsce montowanie Chevroletów, którym zajmowała się firma Elibor Ł.J. Borkowski, będąca przedstawicielem General Motors w Polsce. Do końca swej działalności w latach 1927–1931 wyprodukowała blisko 8000 samochodów osobowych i 500 ciężarówek. Część z nich posłużyła do budowy samochodów strażackich. Cieszyły się one dużą popularnością wśród strażaków. W zależności od modelu miały cztero- bądź sześciocylindrowy silnik o mocy 46–50 KM. Firma sprzedawała je w formie podwozi gotowych do karosacji. Należy podkreślić, że w owym czasie w Polsce mniejsze montownie posiadał też Ford, Citroen czy też Praga, produkując samochody o nazwie Praga-Oświęcim.



Samochód pożarniczy na podwoziu marki Chevrolet z 1929 r.
fot. archiwum Wielkopolskiego Muzeum Pożarnictwa w Rakoniewicach – oddział zamiejscowy
CMP w Mysłowicach

Dopiero w 1929 r. Zakłady Mechaniczne Ursus SA rozpoczęły produkcję pierwszej polskiej ciężarówki o nazwie Ursus. Wytwarzano ją w dwóch typach: A o ładowności do 2 t, z czterocylindrowym silnikiem o mocy 35-40 KM oraz AW o ładowności zwiększonej do 2,5 t, również z czterocylindrowym silnikiem o mocy 35-45 KM. Podstawowe założenia konstrukcyjne opierały się na licencji włoskiej firmy SPA. Znacznie wzmocnieniu uległo jednakże podwozie, które dostosowano do polskich ciężkich warunków drogowych. Samochody te były pojazdami charakterystycznymi dla epoki, m.in. typ A miał hamulce tylko na tylnej osi i kierownicę po prawej stronie, czym różnił się od typu AW, w którym hamulce były zamontowane również z przodu.

Producenci Ursusa mieli nadzieję na duże zainteresowanie straży pożarnych. Ciężarówka była produkowana w kilku wariantach, z autopompą i motopompą. Jednakże po roku i wyprodukowaniu kilkuset sztuk firma zbankrutowała, a następnie została przejęta przez Państwowe Zakłady Inżynieryjne w Warszawie, które w 1930 r. zakończyły produkcję Ursusa.

Na początku lat 30. XX w. polski rząd podpisał z włoskim Fiatem umowę licencyjną na produkcję samochodu ciężarowego. Zdecydowano się w tym wypadku na model 621, przy czym także wzmocniono w nim podwozie, aby dostosować je do polskich dróg. Wytwarzano je w dwóch wersjach: krótszej 621L

i dłuższej 621R, używanej przy budowie np. autobusów. W pożarnictwie znalazły zastosowanie głównie modele 621L. Seryjna produkcja ruszyła w 1935 r. Samochody miały sześciocylindrowe silniki o mocy 46 KM, co pozwalało na osiągnięcie prędkości około 50 km/h. Masa pojazdu wynosiła około 2400 kg. Firmy zajmujące się karosacją podwozi samochodowych oferowały dość szeroką gamę Polskich Fiatów 621, m.in. autopogotowia, czyli samochody gaśnicze z autopompą, jak i ze skrytką na motopompę przewoźną, a także ze zbiornikiem na wodę o pojemności od 600 do 2500 l, autopolewaczki, autocysterny, a nawet drabiny, które montowała niemiecka firma Metz oraz pojazdy kołowo-gąsienicowe, które nabyła lwowska straż pożarna. Polski Fiat 621 był ostatnim znaczącym produktem polskiej branży motoryzacyjnej przed wybuchem II wojny światowej.

W latach 1936-1938 produkowano również w Polsce Chevroleta 157, był montowany w Warszawie przez firmę Lilpop, Rau i Loewenstein.

Lata 20-lecia międzywojennego były owocne dla motoryzacji naszych straży i choć nie udało się w pełni wyposażać jednostek w samochody, to wytyczono cele i sposoby, w jakie powinno być realizowane to przedsięwzięcie. W tym celu chciano cały kraj pokryć siecią straży pożarnych wyposażonych w motopompy i samochody gaśnicze. Ważną rolę w tym procesie odegrał Wydział Techniczny Związku Straży Pożarnych RP,



Autopogotowie Polski Fiat 621L z 1938 r.
fot. archiwum CMP w Mysłowicach

który od początku lat 30. XX w. prowadził prace nad stworzeniem dla samochodów strażackich polskiej normy pożarniczej oraz zalecał, aby korzystać z jego opinii przy nabywaniu nowych pojazdów. Działania te zakończyły się sukcesem w 1937 r., gdy opracowano normy dla poszczególnych typów samochodów pożarniczych. W ten sposób ujęto w pewne ramy dość swobodny wcześniej proces karosacji wozów strażackich. W 1938 r. opublikowane zostały normy definiujące trzy podstawowe rodzaje samochodów pożarniczych. Przyjęto jednolite zasady odbioru samochodów i ich kryteria przydatności do działalności pożarniczej. Ustalono też katalog firm, które miały akceptację Wydziału Technicznego, a skorzystanie z ich usług dawało gwarancję pozyskania dotacji. Znajdowały się one w Warszawie, Lwowie, Katowicach i Poznaniu. Były to takie firmy, jak Lilpop, Rau i Loewenstein, Liefeldt i Schiffner, Strażackie Zakłady Przemysłowe, Składnica Straży Pożarnych, Strażak, Unia Strażacka, firma Czesław Miarczyński i Spółka czy firma inż. W. Hempowicza z Poznania. Działania Wydziału Technicznego pozostawiły dość wymierny ślad w używanym po dziś dzień nazewnictwie, gdyż to z tamtych czasów pochodzą takie określenia, jak autopogotowie (słowo dziś już rzadko używane), autodrabina, autocysterna czy autopolewaczka.

II wojna światowa

Wybuch wojny przerwał działanie polskich firm pożarniczych. Podczas okupacji w użyciu wciąż były samochody będące wcześniej na stanie straży pożarnych. Samodzielnie dokonywa-

no wszelkich napraw, których wymagały – szczególnie po zakończeniu kampanii wrześniowej, podczas której strażacy ofiarne walczyli z pożarami wywołanymi przez bombardowania. Niemcy po przyłączeniu części naszego kraju do Trzeciej Rzeszy oraz utworzeniu Generalnego Gubernatorstwa na miejsce rozwiązanego Związku Straży Pożarnych RP stworzyli Urząd Komisarycznego Kierownika Technicznego Polskich Straży Ogniwych, któremu podlegały polskie straże pożarne, podporządkowane niemieckiej policji porządkowej. Następnie doposażyli część straży pożarnych w samochody strażackie: LF-8 – lekkie autopogotowie z motopompą o wydajności 800 l/min czy LF-15 – autopogotowie z autopompą o wydajności 1500 l/min. Większość tych samochodów, jak i dużą część polskich wcześniej nabytych wozów strażackich zarekwirovano w momencie przesuwania się frontu pod koniec wojny i w dużej mierze nie zostały odzyskane. Tylko dzięki akcjom sabotażowym i ofiarności strażaków pewną część pojazdów udało się ocalić, aby po zakończeniu działań wojennych móc przywrócić je do użytkowania. Warto zwrócić uwagę, że wspomniane samochody często służyły także do wypełniania konspiracyjnych zadań Strażackiego Ruchu Oporu „Skala”.

Powojenne lata

Po wojnie doświadczał brak sprzętu, w tym samochodów. Niemal od razu podjęto starania, aby we własnym zakresie wyremontować posiadane, nierzadko mocno uszkodzone samochody. Powołany na nowo Wydział Techniczny ZSP RP rozpo-



Lekki samochód gaśniczy LF-8 na podwoziu Mercedes-Benz z lat 40. XX w.
fot. archiwum CMP w Mysłowicach



Samochód gaśniczy GM 8/8 na podwoziu Bedford OLBZ, lata 40. XX w.
fot. archiwum CMP w Mysłowicach



Samochód gaśniczy GM-8 na podwoziu Stara 20 z 1953 r.
fot. archiwum CMP w Mysłowicach

czął także starania o nowe samochody. Na początku w ramach pomocy UNRRA do Polski trafiły samochody amerykańskie: Dodge, GMC, Fordson, Ford czy Studebaker. Była to jednak kropla w morzu potrzeb, dlatego też już w 1948 r. sprowadzono 100 podwozi Ford V-8 przewidzianych do skarosowania. Tego zadania podjęła się Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu oraz Zakłady Samochodowe w Kaliszu. W ten sposób amerykański Ford stał się pierwszym w Polsce Ludowej

seryjnie skarosowanym samochodem gaśniczym. Rok później zakupione zostały następne podwozia, tym razem angielskiej firmy Bedford, z czterocylindrowym silnikiem o mocy 72 KM. Ich karosacji dokonano w Sanockiej Fabryce Wagonów Sanowag w Sanoku, czyli późniejszej Sanockiej Fabryce Autobusów Autosan. Samochody te produkowano pod symbolem fabrycznym N70 w dwóch typach: GM-8 z motopompą oraz GAM-16/8 dodatkowo z autopompą.



Produkcja samochodów strażackich na dużą skalę nie mogła się obyć bez większej liczby podwozi. Już w 1948 r. rozpoczęto produkcję pierwszej polskiej powojennej ciężarówki – Stara 20, którą w niedługim czasie dostosowano do celów pożarniczych, wyposażając w sprzęt strażacki w Sanowagu. W następnych latach wyprodukowano tam kilka odmian tego samochodu: GM-8 (symbol N 71) z motopompą, GA-16 (symbol N 72) z autopompą, opracowano m.in. prototypowy sa-

mochód specjalny z drabiną SDA 18/16, wyposażony w autopompę o wydajności 1600 l/min oraz prototypowy GAM-16/8 z autopompą i motopompą (N 721), GBM-2/8 ze zbiornikiem na wodę i motopompą oraz GBA-2/16 ze zbiornikiem i autopompą, GBM-2/8 – średni samochód gaśniczy ze zbiornikiem 2000 l, motopompą o wydajności 800 l/m, GBA-2/16 średni samochód gaśniczy ze zbiornikiem pojemności 2000 l oraz autopompą o wydajności 1600 l/m. Wszystkie te modele miały silniki typ S42 o mocy 85 KM. Produkcja samochodów pożarniczych w Sanoku zakończyła się w 1958 r., gdy zdecydowano o przeniesieniu jej do Jelczańskich Zakładów Przemysłowych w Jelczu.

Na przestrzeni kilkudziesięciu lat produkowano tam kilka modeli samochodów strażackich na podwoziach Stara i Jelcza. Jeszcze w 1958 r. podjęto montaż samochodu Jelcz 001 (N761) GBA-2/16 na podwoziu Stara 21 ze zbiornikiem i autopompą oraz Jelcz 002 (N751) GBM-2/8 z motopompą. W 2 lata później ruszyła produkcja zmodernizowanego Jelcza 001 na podwoziu Stara 25 z silnikiem S47 o mocy 105 KM, a także zmodernizowanej wersji Jelcza 002 na podwoziu Stara 25 ze zbiornikiem i motopompą. W latach 1964-66 strażackie Jelcze/Stary otrzymały nową kabinę N752. Następną modernizacją był Jelcz 028 GBAM 2/8+8 na podwoziu Stara 26 P ze zbiornikiem, motopompą i autopompą produkowany w latach 1966-1969, a kolejną odsłoną – Jelcz 003 na podwoziu Stara A 26 GMB-3/8 ze zbiornikiem i motopompą.

W tym samym czasie rozpoczęto doposażanie straży w lekkie samochody gaśnicze na podwoziach Żuka A 15, produkowanych w Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie. Wytwarzano tam dwa podstawowe typy: Żuk A 15 (z silnikiem o mocy 70 KM) GM-8 z motopompą i dwukołowym wózkiem na wężę oraz Żuk 151 GLBM-0,4-4/4 z różnymi modyfikacjami (GLBM-0,4-4/4 – lekki samochód gaśniczy ze zbiornikiem 400 l oraz motopompą PO4 o wydajności 400 l/m przy ciśnieniu 4 atm oraz wydajności 200 l/min przy ciśnieniu 6 atm). Oba modele napędzał silnik benzynowy S21 o mocy 70 KM.

Prace prowadzone w Jelczu i Lublinie były niewystarczające, dlatego podjęto współpracę z innymi zakładami w kraju, m.in. z Państwowym Ośrodkiem Maszynowym w Zamościu, który karosował ciężarówki marki Lublin pochodzące z demobilu, a później Stary 660. Produkcja krajowa dalej jednak nie pokrywała zapotrzebowania na wyposażenie w samochody ciężkie gaśnicze i autodrabiny. Dominował więc import. Sprowadzano głównie autodrabiny niemieckich marek Metz, Magirus czy IFA. Można było także spotkać autodrabiny na podwoziach Scanii czy Ziła.

W 1974 r., po tragicznym pożarze w rafinerii w Czechowicach-Dziedzicach, rozpoczęto montaż pierwszego polskiego ciężkiego samochodu gaśniczego Jelcz 004 na podwoziu Jelcza 315 M, GCBA-6/32, który wyposażono w zbiornik i autopompę. Jego sześciocylindrowy silnik po turbodoładowaniu osiągał moc 243 KM. Rok później powstał pierwszy polski samochód gaśniczy proszkowy Star A 29 GPr 1500. Jednocześnie uruchomiono produkcję pierwszych samochodów gaśniczych Jelcz 005 na podwoziu Stara 244L o oznaczeniu GBA-2,5/16. Był to samochód uterenowiony, wyposażony w zbiornik i au-



Prototyp samochodu gaśniczego GAM-16/8 z autopompą i motopompą (N 721) z 1957 r.
fot. archiwum CMP w Mysłowicach

topompę lub motopompę. Ostatnim seryjnie produkowany modelem samochodu pożarniczego był Jelcz 008 GBM-2,5/8, stanowiący tak naprawdę prostszą wersję Jelcza 005M.

W 1953 r. ustalono nową normę dla pojazdów strażackich: PN-53/S-48050, którą znowelizowano w 1979 r. Wraz z polskim akcesem do Unii Europejskiej wprowadzono normę PN-EN 1841, obowiązującą do dziś. Niemniej jednak w użyciu wciąż są określenia, które wprowadziła norma z lat 50. XX w.

Motoryzacja polskich straży pożarnych była procesem ciągłym. W tym czasie strażacy starali się w pełni korzystać ze zdobyczy techniki, aby usprawnić swoje działania na rzecz społeczeństwa. Za czasów PRL próbowano wyposażać strażę w sprzęt produkowany w Polsce. Niestety polski przemysł motoryzacyjny nie był w stanie pokryć tego zapotrzebowania. Dopiero zmiany po 1989 r. uwolniły rynek. W ostatnich 30 latach powstało wiele firm, które zajmują się zabudową pożarniczą podwozi ciężarowych, zdobywając uznanie w kraju i za granicą, jednocześnie dając strażakom niezbędne narzędzia do nowoczesnych działań. ☞

Literatura dostępna u autora

dr Paweł Karol Gąsiorczyk jest naczelnikiem Wydziału Dokumentacji Zbiorów Centralnego Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach



Samochód gaśniczy Jelcz 005M GBA 2,5/16 na podwoziu Stara 244 z 1987 r.
fot. archiwum CMP w Mysłowicach

Żywoty równoległe



**Bolesław Chomicz i Józef Tuliszkowski – wymieniani jednym tchem twórcy polskiej ochrony przeciwpożarowej i zarazem założyciele jej organu prasowego – „Przeglądu Pożarniczego”.
Gdzie bylibyśmy dziś, gdyby nie oni? Prześledźmy jeszcze raz drogi ich rozwoju zawodowego i dokonania.**



Paweł Rochala

BOLESŁAW CHOMICZ

Pierwszy redaktor „Przeglądu Pożarniczego” urodził się 27 maja 1878 r. w folwarku Jaroszewo na Białorusi. Uczył się w gimnazjum w Grodnie, a następnie studiował w Kijowie. W 1901 r. uzyskał tytuł magistra prawa.

Początki pracy zawodowej

Chomicza zatrudnił Zarząd Ubezpieczeń Wzajemnych Budowli od Ognia (ZUWBO, dziś – PZU). Został likwidatorem szkód ogniowych na obszarze Opatowa w Świętokrzyskiem, gdzie mocno zaangażował się w walkę z klęską pożarów. Tam też poślubił Zofię z Rysowskich, z którą doczekali się pięciorga dzieci.

W 1905 r. Chomicz awansował na stanowisko kierownika biura powiatowego ZUWBO w Janowie Podlaskim. W tym samym roku doszło do fali strajków m.in. w obronie języka polskiego. W swoim miejscu pracy zastrajkował także Bolesław Chomicz. Nie uległ presji, więc zwolniono go z pracy, z karą dwumiesięcznego więzienia i zakazem wykonywania zawodów prawniczych.

Zrujnowany Chomicz dostał pomoc w Łodzi, gdzie podjął pracę nauczyciela w prywatnej szkole handlowej. Spraw „klęski ogniowej” nie porzucił, publikując na ten temat artykuły oraz książki. Dzięki temu w 1909 r. rozpoczął pracę w Warszawskim Towarzystwie Ubezpieczeń SA (WTU) oraz współpracę z Centralnym Towarzystwem Rolniczym (CTR). Pracodawca wysłał go na semestralne studia na wydziale ubezpieczeniowym politechniki w Akwizgranie, a potem na półroczną praktykę w towarzystwie ubezpieczeniowym L'Union w Paryżu. Po powrocie Chomicz reorganizował WTU oraz włączył się do prac nad reformą zawodowej Warszawskiej Straży Ogniowej. Jako strażacki delegat wygłaszał odczyty w Lipsku i Petersburgu.

„Przegląd Pożarniczy”, a nawet więcej

W 1912 r. odbył się regionalny zjazd strażacki (pod przykrywką zjazdu rolniczego) we Włocławku, gdzie zapadły decyzje

o powstaniu pisma, które miało pomóc w rozwoju profesjonalizmu straży ogniowych i ochrony przeciwpożarowej. Pieniądze wyłożyli najbardziej zainteresowani: ubezpieczyciele i CTR. Redaktorem naczelnym został Bolesław Chomicz, a redaktorem działu technicznego Józef Tuliszkowski.

Profesjonalna gazeta dla strażaków nie była celem samym w sobie. „Przegląd Pożarniczy” już od pierwszego numeru określał nowoczesną ochronę przeciwpożarową jako spójny system złożony z trzech dziedzin: budownictwa ogniotrwałego, straży ogniowych i ubezpieczeń od ognia. Żaden z tych elementów nie

działał w warunkach zaboru rosyjskiego jak należy, a budowlany praktycznie nie istniał. Nowe czasopismo podawało czytelne i spójne wzory organizacyjne oraz przykłady dobrych praktyk, uczyło samodzielnego myślenia i odpowiedzialności. Jednocześnie realizowało rozbudowany program kulturalny, zachęcając do lektury publikowanych opowiadań, wierszy i piosenek o tematyce strażackiej.

W 1914 r. Chomicz i współpracownicy podstępem uzyskali zgodę rosyjskich władz na zjednoczenie strażackiego ruchu – pod szyldem religijnego Towarzystwa Świętego Floriana. Pozwoliło to na niezależność od strażackiego towarzystwa rosyjskiego.

„Jednością silni” i coraz silniejsi

Wkrótce wybuchła wojna, w wyniku której w II połowie 1915 r. Niemcy i Austriacy opanowali cały teren zaboru rosyjskiego. W zamęcie wojennym Polacy zdążyli stworzyć zastępczą władzę, która decydowała o obsadzie wielu instytucji. W ten sposób Chomicz został prezesem ZUWBO – firmy, z której usunięto go karnie w 1905 r. Niemcy dla utrzymania porządku nie zmieniali zastanego kierownictwa w instytucjach zarządzających.

W 1916 r. cesarze niemiecki i austriacki wydali odezwe do Polaków, w której obiecali odtworzenie państwa polskiego (car rosyjski postąpił podobnie). Chomicz i Tuliszkowski wykorzystali tę sytuację do urzędzenia zjazdu strażackiego. We wrześniu 1916 r. tysiąc umundurowanych strażaków przemaszerowało ulicami Warszawy. Katolickie z nazwy towarzystwo przekształciło się w neutralny religijnie, a więc dostępny dla mniejszości Związek Floriański.



Bolesław Chomicz – wybitny, wszechstronny umysł, o nowoczesnym, całościowym spojrzeniu na ochronę przeciwpożarową, co zyskało odzwierciedlenie w jego tekstach dla PP
fot. NAC

ski. Na prezesa obrano Chomicza, na wiceprezesa Tuliszkowskiego. Podsumowanie działań zjazdu znalazło się we wznowionym „Przeglądzie Pożarniczym” w styczniu 1917 r. Tam Chomicz pisał bez ogródek o odrodzeniu Ojczyzny oraz pożytecznej społecznie samorządności strażackiej.

W 1921 r. odbył się w Warszawie strażacki zjazd jednoczeniowy. Inicjatorem i siłą przewodnią był najprężniej działający Związek Floriański. Powołano wówczas Główny Związek Straży Pożarnych RP (GZSP), złożony z poszczególnych związków regionalnych. Delegaci jednogłośnie wybrali Bolesława Chomicza na prezesa. Tym samym stał się ludzkim zwornikiem trzech elementów systemu ochrony przeciwpożarowej, bo ponadto był prezesem ZUWBO, czyli najsilniejszej instytucji ubezpieczeniowej, oraz Patronatu Spółdzielni Budowlanych – przedsięwzięcia mającego na celu uczenie pogorzalców budownictwa ogniotrwałego (szkolono ich za pieniądze z ubezpieczeń i namawiano do zakładania firm budowlanych – powstało kilkaset). Niestety zwornik personalny to za mało i gdy go brakło, poszczególne elementy systemu przestały współpracować, a nawet działać.

W 1923 r. Chomicz pod naporem sił polityczno-biznesowych zrezygnował ze stanowiska prezesa ZUWBO. W 1924 r. odbył się II ogólnopolski zjazd strażacki, na którym co prawda uchwalono, co zaproponował prezes, ale jego dalsze plany uznano za zbyt ambitne. W grudniu 1925 r. w Radzie Naczelnej GZSP przegłosowano wotum nieufności wobec niego bez podawania przyczyn. W lutym 1926 r. odszedł ze stanowiska prezesa GZSP, a wkrótce i ze straży. Dzieła Patronatu Spółdzielni Budowlanych nikt po nim nie kontynuował, więc przedsięwzięcie upadło ze względu na brak instytucjonalnego wsparcia. Wbrew pogłoskom wydarzenia te nie miały nic wspólnego z zamachem majowym Józefa Piłsudskiego.

Strażacki prezes po 20 latach

Chomicz po odejściu ze straży pożarnej zajął się praktyką adwokacką. W 1928 r. zorganizował Komunalną Kasę Oszczędności Powiatu Warszawskiego (KKO), którą rozwinął do rozmiarów dużego banku. Instytucja ta, jako uczciwie zarządzana, przetrwała kryzys lat 30. oraz okupację niemiecką.

W mrocznym czasie okupacji Chomicz był konspiracyjnym prezesem zdelegalizowanego przez Niemców Związku Straży Pożarnych, a ponadto jednym z założycieli Strażackiego Ruchu Oporu „Skała”.

Na przełomie lat 1945 i 1946 władza ludowa zaproponowała Chomiczowi stanowisko prezesa zarządu przymusowo reaktywowanego Związku Straży Pożarnych. Przyjął tę propozycję i pomógł w odbudowie z gruzów polskiej ochrony przeciwpożarowej. Jednak

po półtora roku urzędowania podał się do dymisji, dzięki czemu uniknął aresztowania. Półprofesjonalny Związek trwał pod przymusowym zarządem do 1949 r., gdy go rozwiązano, wprowadzając w to miejsce profesjonalną strukturę komend straży pożarnych.

KKO z końcem 1949 r. została znacjonalizowana i zlikwidowana. Bolesław Chomicz ze stanowiska prezesa KKO przeszedł na emeryturę w wysokości dosłownie 1 zł, zwaloryzowaną wkrótce do ok. 160 zł (1/5 pensji sekretarki). Przez ostatnich 10 lat życia utrzymywał się z ogrodnictwa.

W 1957 r. nie zaproszono go do prac nad utworzeniem Związku Ochotniczych Straży Pożarnych (ZOSP) ani nie wspomniano o nim w czasie wielkiego zjazdu w Warszawie, gdzie ukonstytuowano zarząd przymusowy tej organizacji jako zwykły. Zmarł 15 maja 1959 r., co odnotowano tylko w piśmie „Strażak” bardzo krótką informacją prasową.



Józef Tuliszkowski – prawdziwy ekspert w sprawach technicznych, wykraczał swoimi koncepcjami poza ramy epoki. Był także zwolennikiem profesjonalizacji straży pożarnych, o czym pisał w PP
fot. zbiory CMP

JÓZEF TULISZKOWSKI

Współtwórca polskiej ochrony przeciwpożarowej urodził się 4 lutego 1867 r. w majątku Radziwiłłów na Wołyniu k. Krzemieńca. Lata szkolne spędził w Rydze – najpierw w gimnazjum, gdzie założył z kolegami organizację niepodległościową, a potem na studiach technicznych w tamtejszej politechnice. W 1897 r. uzyskał tytuł inżyniera trzech kierunków jednocześnie: mechanicznego, budowlanego i pożarniczego. W czasie studiów wbrew zakazom władz uczelnianych i administracyjnych należał do ochotniczej straży ogniowej – ratując ludzkie życie, został poważnie ranny.

Pierwsze lata w zawodzie

Po podjęciu kolejnej pracy dorywczej Tuliszkowski zgłosił dwa projekty konkursowe na odbudowę carskiej cukrowni Mironówka na Ukrainie – zajęły dwa pierwsze

miejsca. W 1903 r. zaczął pracować w warszawskich firmach pożarniczych. Jako rzeczoznawcy powierzano mu zabezpieczanie fabryk, majątków ziemskich i całych miejscowości. Działał kompleksowo, z jednej strony projektując zabezpieczenia przeciwpożarowe i budynki ogniotrwałe, a z drugiej zakładając ochotnicze straże ogniowe. W 1906 r. został dyrektorem Fabryki Wyróbów Drzewnych Ordynacji Zamojskich w Zwierzyńcu – założona przez niego OSP oprócz pożarów skutecznie walczyła z lokalnym bandytyzmem.

W 1908 r. Tuliszkowski wszedł w zatarg z administracją rosyjską, gdyż współorganizował strażacki zjazd w Lublinie. Przed uwięzieniem uratowały go zapowiedzi zamieszek oraz jednomyślna interwencja miejscowych magnatów.

W 1910 r. stanął na czele nowo utworzonej Komisji do Spraw Budownictwa Ogniotrwałego i Pożarnictwa w Centralnym Towarzystwie Rolniczym (CTR) w Warszawie. Miał za zadanie poprawić stan ochrony przeciwpożarowej obszarów wiejskich. Do Wielkiej Wojny m.in. zorganizował i wyposażył 71 straże

ogniowe (w tym cztery w szkołach rolniczych), zlustrował ich 200 oraz, co bardzo istotne, powołał do życia 57 wiejskich spółek budowlanych ukierunkowanych na budownictwo ogniotrwałe.

Pracując w CTR, poznał Bolesława Chomicza z Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń SA (WTU) i Władysława Grabskiego (późniejszego premiera) z Towarzystwa Ubezpieczeń Ruchomości Rolnych „Sноп”.

W tym czasie ożenił się z Jadwigą Łuczyńską, z którą miał dwoje dzieci: Zofię (ur. w 1911 r.) i Andrzeja (ur. 1919 r.).

„Przegląd Pożarniczy”

W sierpniu 1912 r. na strażackim zjeździe we Włocławku Tuliszkowski postulował utworzenie niezależnego, profesjonalnego, krytycznego pisma o ochronie przeciwpożarowej. Powołano do życia komisję mającą opracować koncepcję tego pisma, złożoną z Bolesława Chomicza (WTU), Jakuba Kona (prezesa częstochowskiej straży ogniowej) oraz Józefa Tuliszkowskiego. Redaktorem naczelnym został Chomicz, a Tuliszkowski redagował dział techniczny.

Pierwszy numer ukazał się 15 grudnia 1912 r. Pismo okazało się mównicą dla najświatlejszych polskich umysłów, wspomaganą specjalistami zagranicznymi. Propagowano budownictwo ogniotrwałe z – co było inicjatywą Tuliszkowskiego – zachowaniem regionalnych różnic architektury wiejskiej, a także systemy alarmowania, stałe urządzenia gaśnicze. Wiele uwagi poświęcano ubezpieczeniom od ognia oraz kwestiom bytowym, sprzętowym i organizacyjnym straży pożarnych.

Kres pierwszej wersji PP położyła w sierpniu 1914 r. wojna światowa.

Droga do niepodległości

Niemcy opanowali cały zabór rosyjski w II połowie 1915 r. W kwestii strażackiej pozwalali Polakom na wiele więcej niż Rosjanie. Tuliszkowski został naczelnikiem Warszawskiej Straży Ogniowej (WSO), organizował w niej wszystko od nowa – od sprzętu gaśniczego przez mundury po kursy dla analfabetów i orkiestrę dętą, przy czym zawsze starał się być na pierwszej linii ognia przy gaszeniu pożarów.

Korzystając ze sprzyjającej koniunktury politycznej, Chomicz i Tuliszkowski przygotowali z końcem 1916 r. w Warszawie zjazd strażacki. Towarzystwo św. Floriana przekształcili w Związek Floriański – organizację zrzeszającą straże ogniowe z Kongresówki. Prezesem został Chomicz, wiceprezesem Tuliszkowski. Wznowiono wydawanie PP.

W styczniu 1918 r. WSO zastrajkowała czynnie ze względu na tragiczną sytuację płacową i żywnościową – Tuliszkowski na łamach prasy apelował o przerwanie tej akcji jako niegodnej etyki strażaków. Gdy jednak nastał czas niepodległości, w listopadzie 1918 r. WSO wniosła niebagatelną wkład w rozbrojenie Niemców. Rok później Tuliszkowski podał się do dymisji ze stanowiska szefa WSO, co kojarzono ze styczniowym strajkiem z 1918 r.

Konflikt o przyszłość polskiej ochrony przeciwpożarowej

W latach 1920–1926 Tuliszkowski pełnił funkcję kierownika Wydziału Przeciwożarowego w Ministerstwie Spraw Wojsko-

wych. Zorganizował wówczas ochronę przeciwpożarową lotnisk, składnic i magazynów wojskowych (260 straży pożarnych) oraz spójny system nadzoru profilaktycznego.

W 1921 r. w czasie Ogólnopolskiego Zjazdu Straży Pożarnych powstał Główny Związek Straży Pożarnych (GZSP). Z inicjatywy Tuliszkowskiego przyjęto wówczas uchwałę o powołaniu do życia szkoły pożarniczej, jednak jej nie utworzono. Powstał spór, w którą stronę zmierzać – ku profesjonalizacji ruchu strażackiego przy jego mniejszym zasięgu (szkoła pożarnicza), czy jego umasowieniu jako ruchu ochotniczego. Zwolennikiem tej drugiej opcji był prezes Bolesław Chomicz, który nie negował idei budowy szkoły, ale na zjeździe w 1924 r. opowiedział się za utworzeniem wydziału pożarniczego w jednej z istniejących szkół technicznych. Tuliszkowski opublikował wówczas broszurę o nazwie „Szkoła pożarnicza-budowlana”. Zakładał, że będzie to dwuletnia szkoła, której program obejmie 1920 godz. teorii i 1920 godz. praktyki.

W 1925 r. projekt Tuliszkowskiego poddano krytyce na łamach PP. Dokonał jej strażak-inżynier, ale zasadniczo profesjonalizacja straży nie odpowiadała większości władz GZSP, tworzonych przez amatorów (polityków i urzędników), a przy tym technicznych dyktantów. Rola Tuliszkowskiego w tych władzach była ograniczona do szefowania komisji technicznej oraz czasowego pełnienia funkcji prezesa wołyńskiego ZSP – i już nigdy nie miała zyskać na znaczeniu. Wkrótce Chomicz odszedł ze stanowiska prezesa GZSP, bo również on za wiele wymagał od strażackiej braci.

Od czasu konfliktu o uzawodowienie ochrony przeciwpożarowej Tuliszkowski pisał do PP o tematach błałych, w formie popularnej. Poglębiając wiedzę przekazywał w utworzonym przez siebie piśmie „Strażactwo zawodowe”.

Koleje, wynalazki i podręczniki

W 1926 r. doszło do zbrojnego zamachu majowego Józefa Piłsudskiego. Tuliszkowski, jako zdecydowany narodowiec, stracił pracę w wojsku. Znalazł zatrudnienie na kolei, gdzie organizował bierną i czynną ochronę przeciwpożarową. Jego ostatnie przedsięwzięcie życiowe stanowiło zabezpieczenie polskiego przemysłu cukrowniczego.

Tuliszkowski był też wynalazcą. W latach 20. zaprojektował m.in. hełm strażacki, którego kształt wyprzedzał epokę o blisko 80 lat. Do powszechnego użytku trafiła podpinka węzowa jego pomysłu. Swoją dorobek intelektualny utrwalił w dwóch podręcznikach: „Obrona przed pożarami” (1928) i „Taktyka pożarna” (1929). Mimo wybitnych walorów merytorycznych, wzmocnionych przez jakość języka oraz ilustracji, książki te w czasach komunistycznych zatarto w strażackiej pamięci, choć pod wieloma względami pozostają aktualne do dziś.

Józef Tuliszkowski zmarł 26 stycznia 1939 r. Nie doczekał więc zakończenia pierwszego kursu oficerskiego w Centralnym Ośrodku Szkolenia Pożarniczego na Żoliborzu – szkoły budowanej od 1937 r. bez konsultacji z nim, ale w kształcie lądującym podobnym do jego projektu sprzed 15 lat. ☞

st. bryg. Paweł Rochala jest doradcą komendanta głównego PSP, a ponadto autorem książek historycznych i popularnonaukowych – w jego dorobku znalazła się również pozycja „Bolesław Chomicz i jego czasy: biografia strażacka”

WGLĄD W PRZEGLĄD

Jakiem być winno pismo fachowe strażackie?

Aby odpowiedzieć na to, musimy rzucić krytycznym okiem na stan naszych organizacji strażackich, na ich wyposażenie, na skład taboru, na sprawność i wyćwiczenie oddziałów, na wyrobienie fachowe kierowników i na środki materialne instytucji.

Credo Józefa Tuliszkowskiego: nowe czasopismo ma poruszać problemy straży, służyć wiedzy i pomocą

Można powiedzieć, że „Przegląd Pożarniczy” narodził się z niezadowolenia. Stały za nim ambicje dwóch wielkich postaci polskiego pożarnictwa – Bolesława Chomicza i Józefa Tuliszkowskiego.

Anna Łańdych

Nie da się pojąć początków nowego pisma bez zrozumienia intencji tych dwóch panów. Chcieli stworzyć nowoczesną formację, ale przede wszystkim taki system ochrony przeciwpożarowej, który położy akcent na zapobieganie pożarom, a nie tylko ich gaszenie. „Przegląd Pożarniczy” stał się miejscem, w którym głosili swoje poglądy na pożarnictwo oraz forum wymiany wiedzy i doświadczenia. Jako pismo skierowane do strażaków wszystkich zaborów miał dbać o ich edukację i zawodowy światopogląd.

Od myśli do czynu

Same początki PP brzmią zaś niczym anegdota. W połowie 1912 r. na Zjeździe Delegatów Straży Ogniowej we Włocławku uczestnicy dyskutowali m.in. o „Strażaku”. Opinie były różne, ale jedną, szczególnie krytyczną, wyraził Józef Tuliszkowski. Choć sam publikował w periodyku, uznał, że czasopismo nie odpowiada potrzebom straży ogniowych, pojawiają się w nim mało przydatne i nieoryginalne treści. Leopold Szyller – wydawca i redaktor „Strażaka” – stwier-

dził, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby powołać do życia nowy tytuł. Zaledwie kilka miesięcy później ta idea się zmaterializowała – 15 grudnia ukazał się pierwszy numer „Przeglądu Pożarniczego”. Bolesław Chomicz widnieje w nim jako redaktor naczelny, a Józef Tuliszkowski jako kierownik działu technicznego.

Do zmiany zabrano się z iście pozytywistyczną energią. W wydawniczym credo Józefa Tuliszkowskiego, zamieszczonym w pierwszym numerze, czytamy, że fachowe pismo poświęcone strażom pożarnym powinno podnosić kwestie wyposażenia straży, ich umiejętności, fachowości kierowników, mierzyć się z trudnościami i niedostatkami służby, pomagać strażom i je integrować. Temu wyzwaniu redaktorzy byli wierni przez lata. Opisywali nowinki techniczne, środki gaśnicze, radzili, jaki sprzęt kupować, a jakiego unikać, zamieszczali gotowe projekty strażnic, dyskutowali o szkolnictwie. Wiele miejsca Bolesław Chomicz poświęcił ubezpieczeniom od ognia i budownictwu ogniotrwałemu, czyli swojej zawodowej działalności. Miało to niebagatelne znaczenie w obliczu walki



Reklamy pomagały utrzymać się czasopiśmu, dziś są też źródłem wiedzy o technice pożarniczej



110 lat czasopisma to też ciekawa historia typografii i poligrafii

z plagą pożarów budownictwa drewnianego. Tę strażacką pracę u podstaw przerwała I wojna światowa. Sierpniowy numer z 1914 r. to ostatnie wydanie przedwojenne.

W 3 lata później, w styczniu 1917 r., PP wraca jako dwutygodnik pod przewodnictwem Leona Ostaszewskiego (w 1931 r. znów jest miesięcznikiem). Pismo może się spokojnie rozwijać, mając finansowanie z Instytucji Ubezpieczeń Wzajemnych i Związku Floriańskiego. I z tego korzysta. Lata 20. to czas prosperity, mimo trudności wynikłych z kształtowania się polskiej państwowości, scalania straży pożarnych. PP wprawdzie angażuje się w sprawy polityczne, wspiera np. walkę o odzyskanie Śląska czy dostępu do morza, ale pozostaje wierny idei, dla której powstał: dostarczaniu fachowej, bieżącej wiedzy strażakom. Toteż łamy puchną od dyskusji o sprzęcie, działaniach, organizacji straży, sposobach szkolenia (włącznie z powołaniem uczelni strażackiej). Tematów dostarcza otoczenie, wszak to czas galopującej inflacji, ciągłych zmian rządów, siłą rzeczy odbijających się na kondycji straży pożarnych. Przez PP przetacza się cykl artykułów o potrzebie uzawodowienia straży pożarnej, ubrania jej w normy prawne. W końcu powstaje w 1934 r. ustawa o ochronie przed pożarami i innymi klęskami. PP rzecz jasna poświęca jej dogłębne analizy i komentarze. Robi to, co do dobrego pisma należy. Międzywojnie jest korzystnym czasem dla czasopisma, mimo mizeroty finansowej, której doświadczał kraj. Znakiem firmowym są cykle artykułów ciągniętych nawet latami: o budownictwie, zaopatrzeniu wodnym, środkach ochrony indywidualnej..., czyli tym, co w warsztacie strażaka potrzebne. I są to materiały pokazujące

temat z różnych stron, rzetelnie i dobrą polszczyzną. Wizualna strona czasopisma nie była mniej istotna – widzimy estetyczne łamy, zadziwiająco dobre zdjęcia, smak i gust w składzie. Pojawiają się także korespondencje zagraniczne, podpatrujące rozwiązania straży na świecie. Widać to, co w kulturze międzywojnia – eksplozję twórczości. Niestety schyłek nadszedł zbyt szybko – w 1939 r. numer sierpniowy był wydaniem ostatnim. PP zostaje wskrzeszony w 1947 r. W zupełnie innym świecie.

Nowy obywatel czytelnik

„Przegląd Pożarniczy” wraca pod egidą reaktywowanego Związku Straży Pożarnych RP. Sam Bolesław Chomicz też – tekstem „Wiedza to potęgą”. Początki powojenne PP to próba powrotu do credo założycieli – wspierania słowem straży pożarnych w ich codzienności. Problemów było aż nadto: bieda, grabież sprzętu, zakładanie jednostek na ziemiach odzyskanych. Szybko pojawiły się też inne naciski – na upolitycznienie straży pożarnych. Na to już nie mógł przystać Bolesław Chomicz. Pod koniec 1947 r. złożył rezygnację z funkcji prezesa Zarządu Przymusowego Związku Straży Pożarnych RP. Dawne czasy zdawały się odchodzić w niepamięć.

Redakcja wydawała na początku 1948 r. dwa czasopisma: „Przegląd Pożarniczy” i „Gazetę Strażacką” – dwutygodnik ukazujący się już przed wojną od 1931 r. O ile pierwszy tytuł skutecznie bronił się przez jakiś czas przed zapędami ideologii sowieckiej, o tyle drugi szybko stał się narzędziem indoktrynacji strażaków. Zresztą na skręcanie PP w stronę ideologiczną nie przyszło długo czekać. 1950 r. przyniósł duże zmiany w pożarnictwie. Rozwiązano Związek Straży pożarnych RP, powołano Komendę Główną Straży Pożarnych, a w terenie komendy wojewódzkie i powiatowe. Odtąd Komenda Główna SP przejęła wydawanie obu czasopism. W PP materiały stricte zawodowe, apolityczne zaczynają się przeplatać z ideologicznymi, wychowującymi strażaków w duchu marksizmu i leninizmu. Pojawiają się artykuły nudne i siermiężne, napchane referatami i partyjnym mentorstwem. Wiele mówią już same tytuły, w stylu: „Wypełniając wskazania wielkiego Stalina”. To nie tylko politycznie trudne czasy. Wszechobecne niedostatki zostawiają ślad w czasopiśmie – słaby papier, kiepski druk stają się niemal normą do czasów transformacji. Z małą przerwą na świetną szatę graficzną autorstwa Tadeusza Pietrzyka (współpracował z czasopiśmem od lat 70.).

Mały oddech PP łapie po odwilży z 1956 r. Potępienie stalinizmu znajduje swój odzew także na łamach PP. Jednak nie ma się co oszukiwać – czasopismo będzie piewczą socjalizmu, a język nie uchroni się przed komunistyczną nowomową. Jednak trochę na zasadzie: oddajmy cesarzowi, co cesarskie. Bo przeważająca treść dotyczy jednak meritum – problematyki

straży. Łamy PP w dalszym ciągu zapełniają fachowe teksty: o budownictwie wysokościowym, zagrożeniach na lotniskach, sprzęcie ochrony indywidualnej. Nie brakuje dogłębnych analiz akcji ratowniczo-gaśniczych, wskazówek do przeprowadzania ćwiczeń i jakże krytycznych osądów kadry strażackiej. I pewnie na narzekaniach by poprzestano, gdyby nie czarna seria zdarzeń w latach 70. Pożar rafinerii w Czechowicach-Dziedzicach, katastrofa kolejowa pod Bydgoszczą, lotnicza na Okęciu, eksplozja Rotundy stały się nie tylko tematem krytycznych publikacji, ale i poważnych przełomów w wyposażeniu i wyszkoleniu straży.

A później nastąpiły czasy ekonomicznego koszmaru. Lata 80. Półki świeciły pustkami, brakowało niemal wszystkiego, nadziei na lepsze też. Szarżę tych czasów widać i w PP. Poligrafia na granicy czytelności, wydania liczyły po niespełna 30 str. Na przekór wszystkiemu pojawiły się jednak kolorowe okładki, które musiały robić wrażenie w tych nieciekawych czasach. Na próżno szukać odniesień do

stanu wojennego, finansowej mizeroty i kryzysu trudnego do wytrzymania także w szeregach straży. Może dlatego powstał wtedy dodatek do PP – „Pożarniczy Przegląd Historyczny”. Zawieszano Klub Miłośników Historii, których ambicją było oca-



W czasach PRL nie opart się zakusom ideologicznym, ale nadal przede wszystkim służył wiedzą o pożarnictwie

REDAKTORZY NACZELNI „PRZEGŁĄDU POŻARNICZEGO”

- Bolesław Chomicz (grudzień 1912 r. – sierpień 1914 r.)
- Leon Ostaszewski (styczeń 1917 r. – grudzień 1921 r.)
 - ppłk poż. Stanisław Pągowski (grudzień 1921 r. – sierpień 1939 r.; kwiecień – lipiec 1947 r.)
- mjr poż. Józef Boguszewski (sierpień 1947 r. – wrzesień 1948 r.)
- płk. poż. Zdzisław Radwański (październik 1948 r. – luty 1964 r.)
 - płk. poż. Edward Burzyński (luty 1964 r. – maj 1969 r.)
 - Teresa Bielawska (styczeń 1975 r. – marzec 1982 r.)
 - Marian Szczęśniak (maj 1982 r. – grudzień 1984 r.)
- mgr Teresa Filipowicz (styczeń 1985 r. – wrzesień 1992 r.)
- st. bryg. Stanisław Mazur (październik 1992 r. – kwiecień 2000 r.)
 - st. bryg. mgr inż. Bogdan Przysupski (kwiecień 2000 r. – luty 2006 r.)
- st. bryg. Witold Maziarz (sierpień 2006 r. – lipiec 2007 r.)
- nadbryg. Zbigniew Szablewski (lipiec – listopad 2007 r.)
- bryg. Bogdan Romanowski (listopad 2007 r. – październik 2016 r.)
 - st. bryg. Paweł Rochala (w zastępstwie marzec – październik 2020 r.)
- bryg. Anna Łańduch (październik 2016 r. – obecnie)

lenie od zapomnienia dorobku minionych pokoleń. Pojawiły się historyczne publikacje i apele o udostępnianie dokumentów potrzebnych do porządkowania spuścizny historycznej. Efekty tej mrówczej pracy publikowano w PP. Obrona przed nieciekawymi czasami zaowocowała więc wartościowym projektem, którego efekty pozostały na lata. Choć sprawiedliwie trzeba oddać, że obok drukowania powieści pojawiały się analizy wielkich akcji (Kaskada, szpital psychiatryczny w Górnej Grupie) czy popularne stałe kolumny edukacyjne, jak „Lekarz radzi”, „Nie tylko dla rzeczoznawców”. Taki był schyłek PRL.

Nowy świat

Radość z upadku komunizmu studiował szalejący kryzys ekonomiczny. Polacy zostali rzućni na głęboką wodę kapitalizmu, nie umiając za dobrze w niej pływać. Na fali transformacji pojawił się także pomysł zreformowania ochrony przeciwpożarowej. Pisaliśmy o tym kilka razy, można poczytać. Dość powiedzieć, że w kraju dotkniętym kryzysem ekonomicznym, wychodzącym z socjalistycznej zapaści powołanie nowej formacji było sporym sukcesem. PP oczywiście bacznie się temu przyglądał. Przybliżał kierunek zmian, tłumaczył przepisy, dawał wiedzę i narzędzie pracy. Kiedy spytamy strażaków z tego pokolenia, dowiemy się, że na nowy numer czekali z niecierpliwością, bo pomagał odnaleźć się w gąszczu zmian. Zresztą naprzeciw głodowi wiedzy wyszedł z czasem nowy pomysł redakcji. Tak powstała „Biblioteczka PP” – książeczkowy dodatek do czasopisma, swoiste kompendium z danego tematu (pomysł przetrwał do pierwszej dekady XXI w., kiedy urosło znaczenie Internetu). Z czasem widać zmiany w warstwie wizualnej. Dobry papier, kolorowy druk, reklamy i spora objętość cza-

sopisma. W środku wiele o prewencji, rzecz jasna przełomowych akcjach, jak Kuźnia Raciborska, pożar hali widowiskowej w Stoczni Gdańskiej czy powódź tysiąclecia, wiele listów od czytelników, których redakcja chętnie aktywuje, ogłaszając konkursy z nagrodami.

Od początku transformacji straży pożarnych w państwową służbę zawodową PP śledzi przemiany formacji. Dość przejrzeć jego łamy, by zobaczyć, jak intensywny to był rozwój. Wyjazdy na międzynarodowe akcje ratownicze, nowe wyzwania w postaci terroryzmu, chorób zakaźnych, zagrożeń radiacyjnych i biologicznych, nowe obiekty budowlane niosące ambitne wyzwania dla pionu prewencji. Jesteśmy świadkami tego, co w służbie ważne i przełomowe. Rok 2012 był dla nas wielkim świętem – obchodziliśmy 100-lecie czasopisma. Była okazja do wzruszeń i podsumowań. Powstało wydawnictwo okolicznościowe pokazujące wybrane publikacje stulecia.

Kolejny rozdział

Tak więc historia „Przeglądu Pożarniczego” ściśle wiąże się z dziejami straży pożarnej. Najpierw tej pod zaborami, później peerelowskiej, teraz Państwowej Straży Pożarnej. Przy tym trzeba mieć świadomość, że pismo ma też własną historię, swoje wewnętrzne przełomy, blaski i cienie. Nie ma co być skromnym – bilans wypada pozytywnie, jeśli mierzyć go choćby uznaniem środowiska i czytelników.

110 lat to rzecz jasna jubileusz mniejszej rangi, ale jak każda rocznica skłania do podsumowań i pytań, co dalej. W nowe „lęcia” wkraczamy z nową szatą graficzną i stroną internetową – www.ppoz.pl jest cyfrowym uzupełnieniem naszych łamów. Od lat sukcesywnie tworzymy tam bazę wiedzy z ratownictwa. Są też archiwalne numery. Naszą misją jest niezmiennie docieranie z edukacją i wiedzą do strażaków – zawodowych i ochotników. Tym pierwszym towarzyszymy od lat, do tych drugich docieramy w znacznie szerszym zakresie – od 4 lat każda OSP w KSRG otrzymuje PP.

Jesteśmy silni siłą kilku pokoleń wydawców, redaktorów naczelnych, redaktorów, dziennikarzy, fotoreporterów, współpracowników. Redakcja zawsze była kameralna, czasopismo jest tworzone niejako hybrydowo – część tekstów wychodzi spod redaktorskiego warsztatu, ale większość spod pióra niezawodowych publicystów. Rocznie przez nasze łamy przewija się blisko setka autorów, wliczając twórców zdjęć.

Dziś zespół redakcyjny liczy pięć osób. To niewiele, porównując ze składem osobowym czasopism innych służb („Gazetę Policyjną” tworzy kilkanaście osób). Mimo skromnych zasobów kadrowych udaje się stworzyć dodatkowe projekty – ostatnio skoroszytowy dodatek na 30-lecie PSP, nową stronę internetową czy wspólnie z fantastycznym zespołem Centralnego Muzeum Pożarnictwa stałą wystawę prezentującą nasze czasopismo. Z tym numerem zmieniamy też format czasopisma – na niepełne A4. Pracy, wyzwań i pomysłów nam nie brakuje. Wierzymy, że podobnie będą odczuwały przyszłe pokolenia.

bryg. Anna Łańduch jest redaktorem naczelnym „Przeglądu Pożarniczego” od 2016 r., w redakcji pracuje od 2004 r.



Obecny zespół „Przeglądu Pożarniczego”. Od lewej: Marta Giziewicz, kpt. Emilia Klim, Katarzyna Gruszczyńska, bryg. Anna Łańduch, Anna Sobótka
fot. archiwum redakcji PP



fot. archiwum prywatne Macieja Sawoniego

STRAŻAK Z PRZYPADKU, FILATELISTA Z WYBORU

„Straż na znaczkach” to najstarsza rubryka w „Przeglądzie Pożarniczym”, od prawie 40 lat prowadzona przez tego samego autora – st. bryg. inż. w st. sp. Macieja Sawoniego. Czas odstąpić nieco kulisy tego oryginalnego kącika.

rozmawiała Katarzyna Gruszczyńska

Skąd taki wybór zawodu? Czy podobnie jak większość małych chłopców chciał pan zostać strażakiem?

Marzyłem, aby dostać się do Państwowej Szkoły Morskiej i pływać po morzach, ale po maturze w 1963 r. zostałem przyjęty na równie atrakcyjny i oblegany Wydział Budowy Okrętów Politechniki Gdańskiej. W młodym i ciekawym świecie człowieku nie zawsze roztropność jest na pierwszym planie, czasem zbytnia wiara w swoje możliwości prowadzi na manowce. Przez zaniedbanie nauki szybko pożegnałem się ze studiami i morską karierą. Chcąc uniknąć wojska, wstąpiłem do Szkoły Oficerów Pożarnictwa (SOP). Potem ukończyłem studia w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej (WOSP).

Zawodowo zostałem rzucony na głęboką wodę, pracowałem w tzw. resortowej ochronie przeciwpożarowej. Moim pierwszym miejscem pracy był stołeczny Teatr Wielki Opery i Baletu, następnie zaliczyłem kilka lat służby liniowej w WOSP, skąd przeszedłem do Zarządu Zamku Królewskiego w Warszawie. Później zostałem mianowany głównym inspektorem ochrony przeciwpożarowej w Narodowym Banku Polskim, gdzie pracowałem 20 lat.

Z perspektywy czasu nie żałuję, że przez grzechy młodości związałem się z pożarnictwem. Ten zawód daje dużo satysfakcji, możliwości poznania wspaniałych ludzi, ciągle się rozwija i unowocześnia.

Pana przygoda ze zbieraniem znaczków trwa już bardzo długo. Skąd zainteresowanie filatelistyką?

Byłem wychowankiem, a potem współpracownikiem płk. poż. Józefa Nazarki, legendarnego dziś wychowawcy kadr oficerskich. On to właściwie podsunął mi pomysł, abym kolekcjonował różne drobne pamiątki pożarnicze, które z czasem mogą się stać cennymi artefaktami. I tak zbierałem wszystko, co wpadło mi

w ręce: miniatutki samochodów strażackich, hełmy, proporczyki, plakaty, medale, odznaki itd. W 1977 r. dostałem w prezencie od zaprzyjaźnionego płk. poż. Tadeusza Popielawskiego z Polskich Linii Oceanicznych w Gdyni mały klaser, w którym było około 30 znaczków o tematyce pożarniczej, przywożonych z antypodów przez życzliwych kapitanów. Ziarno zostało zasiane. Od tego momentu postanowiłem poświęcić się głównie tej tematyce. Wyjątek zrobiłem dla filokartystyki, kolekcjonując blisko 3 tys. widokówek pożarniczych z całego świata.

Pierwszy zbiór, a potem eksponat wystawowy, mozolnie budowałem ponad 10 lat. Nawiązałem kontakty z ponad 50 podobnymi zbieraczami z różnych stron świata, w większości z czynnymi zawodowo strażakami. Niektórych poznałem osobiście, zaprzyjaźniłem się z nimi. Dziś znakomita większość tego grona gasi pożary gwiazdnych materii, a ja utrzymuję kontakt z kilkoma sędziwymi już filatelistami, wśród nich z 88-letnim Japończykiem.

Znaczki były odskocznią od pracy zawodowej – to nowatorskie zajęcie, bo pożarnictwo jako temat filatelistyczny zaczęło nieśmiało przebijać się w zagranicznej prasie fachowej w latach 80. XX w. Gdy na znaczku pojawiał się wąsaty strażak, pożar lub uprzywilejowany czerwony samochód, to był powód do radości. Zauważyłem, że czasem na znaczkach o innej treści znajduje się mniej lub bardziej ukryty element strażacki. Udało mi się opisać kilkanaście takich przypadków i wprowadzić je po raz pierwszy do annałów światowej wiedzy filatelistycznej. Bardzo pomogły mi w tym „kąciki” w „Przeglądzie Pożarniczym”, gdyż liczy się pierwsza oficjalna prezentacja waloru.

Od 50 lat gromadzę książki, katalogi, pisma fachowe związane z pożarnictwem i dziedzinami pokrewnymi. Internet jest bardzo pomocny, ale i tam pojawiają się błędne treści i przekłamania, które

trzeba weryfikować, a własna archiwalna dokumentacja jest bezcenna. W oparciu o nią noszę się z zamiarem napisania książki pod roboczym tytułem „Pożar i straż pożarna w filatelistyce”.

Pana znaczkowa współpraca z PP trwa już prawie 40 lat, jak to wszystko się zaczęło?

Pierwszy artykuł opublikowałem w PP ponad 50 lat temu, pisząc o zabezpieczeniu przeciwpożarowym Teatru Wielkiego w Warszawie, w owym czasie największej sceny operowej na świecie. W 1982 r. pokazałem fragment zbioru filatelistycznego Marianowi Szcześniakowi, ówczesnemu redaktorowi naczelnemu. Doszedł do wniosku, że jest to dziewiczy temat i poprosił mnie o stosowną publikację oraz redagowanie tzw. kącików filatelistycznych. Wkrótce w numerze majowym ukazał się obszerny artykuł pt. „Motywy pożarnicze w filatelistyce” oraz pierwszy kącik.

I tak niemal 40 lat temu rubryka o znaczkach i stemplach pocztowych o tematyce pożarniczej zagościła na stałe na łamach PP. Traktuję ją jako mój mały listek laurowy do wieńca chwały strażackiej formacji na całym świecie. Podobne publikacje zamieszczałem również w katalogach krajowych i międzynarodowych wystaw filatelistycznych, w bratnim „Strażaku”, w „Morzu”, „Filateliście”, w niektórych miesięcznikach branżowych i drukach okazjonalnych. Uzbierało się tego kilkaset opracowań. Zostało to dostrzeżone przez Polski Związek Filatelistów, który w 2009 r. wyróżnił mnie prestiżowym medalem „Za Zasługi dla Rozwoju Publikacji Filatelistycznych”.

Skoro mowa o pana kolekcji, nasuwa mi się seria pytań. Od jakiego znaczka się zaczęło? Ile eksponatów obecnie liczy kolekcja i jakie są pana ulubione okazy? Czy są znaczki, o których pan marzy?

W światowym obiegu pocztowym ukazało się blisko 2,7 tys. znaczków i stempli pocztowych o tematyce pożarniczej. Mam 98 proc. znaczków wydanych do tej pory. Fragment tego zbioru jako tematyczny eksponat wystawowy uzyskiwał najwyższe wyróżnienia na krajowych i międzynarodowych wystawach filatelistycznych. Najcenniejszym rarytasem jest karta pocztowa z obiegu z unikalnym stemplem wernikowym o treści: „Tydzień Obrony Przeciwpożarowej 5-12 IX 1939 r.”. Stempel dokumentuje, że przesyłkę nadano 6 września 1939 r. o 10.00 w Urzędzie Pocztowym Warszawa 2 w dawnym Dworcu Głównym. Stolica była nękana przez lotnictwo z czarnymi krzyżami na skrzydłach, a Poczta Polska działała jak w zegarku! To pierwszy polski stempel o tematyce pożarniczej z blisko 300 stempli okolicznościowych stosowanych do końca 2022 r. w kraju.

Moim marzeniem jest pozyskać datownik propagandowy Poczty Polowej AK przy ul. Szpitalnej w Warszawie, stosowany przez 2 tygodnie od 5 sierpnia 1944 r., mający w otoku napis „Warszawa w ogniu” – najwcześniej używany stempel powstańczy w stolicy. To prywatne wańkowiczowskie chciejstwa, ale mam też marzenia bardziej uniwersalne. Boli mnie, że od lat nie możemy zdobyć się jako państwo na wydanie serii znaczków pocztowych, które byłyby ukłonem społeczeństwa w stronę strażaków. Nie pamiętam, aby na znaczku pokazano np. obiekt będący przykładem

polskiej architektury pożarniczej. Służę nieprzypadkowo dobranym przykładem. We Włocławku zachowała się w centrum miastaabytkowa już strażnica z dostrzegalną zbudowana w 1909 r. W tejsze strażnicy na zjeździe przedstawicieli straży ogniowych Królestwa Polskiego w 1912 r. na wniosek Józefa Tuliszkowskiego podjęto uchwałę o założeniu strażackiego periodyku fachowego – „Przeglądu Pożarniczego”. Na filatelistyczne odkurzenie zasługuje również prawdziwe oblicze, a właściwie maska, Polskiego Fiata 621 z 1935 r. (PP 3/2021 – przyp. red.). Wśród licznych polskich znaczków o tematyce religijnej nie znajdziemy też ani jednego z sylwetką św. Floriana, patrona strażaków.

Osobiście szczególnie cenię francuski znaczek z 1945 r. upamiętniający spalenie miasteczka Oradour-sur-Glane w 1944 r. przez oddziały SS. Francuzi nie bawili się w poprawność polityczną lub rozmydlające alegorie, pokazali światu bardzo realistyczny obraz płonącego kościoła, w którym Niemiec oprawcy zamknęli i spalili żywem pięć nauczycielek i 242 uczniów miejscowej szkoły.

Mój tata, chcąc zainteresować nastoletniego syna znaczkami, wykupił w 1957 r. pierwszy abonament filatelistyczny, w którym przykuwały uwagę trzy znaczki wydane z okazji warszawskiego Kongresu CTIF. Choć dziś są wizualnie nieco archaiczne, to zachwycają ekspresją. Mam do nich szczególny sentyment.

Za wieloma znaczkami kryją się ciekawe historie. Czy mógłby pan podzielić się z nami jakąś nieznaną jeszcze naszym czytelnikom?

Opowiem pani niepublikowaną historię dotyczącą wydania w 1998 r. serii dwóch znaczków (fot.) poświęconych jubileuszowi 50-lecia japońskiej straży pożarnej. Pokazano na nich obrazy słynnego XIX-wiecznego artysty malarza Kunichika Toyohary, na których przedstawił aktorów

teatru Kabuki odgrywających role ówczesnych strażaków. Japońscy aktorzy, jak i strażacy eksponowali swoje odrębne statusy oraz łączące ich silne więzi zawodowej solidarności za pośrednictwem barwnych tatuaży. Były one często agresywne i frywolne, szokujące obyczajowo, z biegiem lat stały się symbolem przestępczości mafijnej. Współczesna Japonia prawnie zakazała propagowania tatuaży, stąd też poczta japońska zdecydowała o... ocenzurowaniu przygotowanych do wydania znaczków i usunęła tatuaż z obu rąk jednego ze wspomnianych aktorów. Nie naruszał już estetycznej wrażliwości japońskiego społeczeństwa.

Mam też historię z rodzimego obszaru osobliwości. 4 maja 1991 r. w Częstochowie miała miejsce okolicznościowa wystawa filatelistyczna z okazji Dnia Strażaka, na której stosowany był stempel z sylwetką św. Floriana gaszącego pożar. Zamiast wymaganych przez pocztę standardowych parametrów miał wymiary 6 x 7 cm i zajmował blisko połowę ostemplowanej powierzchni karty lub koperty. Stało się to przez błędne ustawienie przełożenia skali pantografu reprodukcyjnego i przyniosło nam światowy rekord w postaci największego powierzchniowo stempla o tematyce pożarniczej. ☞



Dwa znaczki, o których wspomina nasz rozmówca
fot. archiwum prywatne Macieja Sawoniego



fot. archiwum prywatne Danuty Janakiewicz-Oleksy

PRZEZ OCEAN HISTORII

Wszystkich nas na co dzień zajmuje teraźniejszość, bieżące sprawy, także zawodowe – strażackie, pożarnicze. Wszyscy jednak bierzemy się z przeszłości i to ona nas kształtowała, a dziś może być inspiracją, by tworzyć przyszłość. O pasji odkrywania dawnego pożarniczego świata i opisywania go w rozmowie z Danutą Janakiewicz-Oleksy z Wydziału Dokumentacji Zbiorów Centralnego Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach

rozmawiała Anna Sobótka

Będąc w ostatnich miesiącach w sprawach służbowych w mysłowickim muzeum, miałam okazję widzieć panią podczas oprowadzania wycieczki kilkulatków. Opowiadała pani dzieciom o eksponatach, w tym przypadku samochodach pożarniczych, z pasją i znanstwem. Skąd wzięło się u pani zainteresowanie historią pożarnictwa?

Tak naprawdę zaciękały mnie te zagadnienia, kiedy zaczęłam pracować w muzeum. Okazało się, że to zajęcie daje mi wielką satysfakcję. Wcześniej nie sądziłam, że stanie się moją pasją, a czasem wręcz obsesją. Zależy mi na tym, by swoje zadania wykonywać dobrze. Dlatego też m.in. podjęłam studia podyplomowe z historii sztuki o specjalizacji muzealnictwo. Wcześniej ukończyłam administrację i politologię, ale stwierdziłam, że skoro pracuję w muzeum, to warto wiedzieć o tej dziedzinie więcej.

Ktoś mógłby powiedzieć, że historia ochrony przeciwpożarowej, techniki pożarniczej to temat, który może zainteresować niewiele kobiet. W pani przypadku tak się nie stało. Co panią szczególnie ujęło w tym zagadnieniu?

Najbardziej zainteresowała mnie kwestia identyfikacji sprzętu z przełomu XIX i XX w., tworzenie kart naukowych. Wymaga to ustalenia producenta i czasu powstania, co jest nieraz bardzo trudne, zwłaszcza jeśli nie mamy żadnych znaków, sygnatur, tabliczek znamionowych. Bardzo często dostajemy w muzeum maile z załączonym zdjęciem i pytaniem, co to za przedmiot, kto go wyprodukował i kiedy.

Często identyfikuję sprzęt na zasadzie porównania – szukam takiego obiektu, który byłby prawie identyczny z tym analizowanym, sprawdzam, czy ma te same części, elementy składowe lub detale. To trudne, bo nie dysponuję specjalnym programem pozwalającym zestawiać te elementy. Jednak osiągnięcie celu daje mi dużą satysfakcję.

Wymaga to także umiejętności logicznego myślenia. Nie sądziłam, że odkryję w sobie takie kompetencje w szerszym wymiarze, bo jestem raczej humanistką. Jednak aby zidentyfikować np. sikawkę, trzeba ją rozłożyć na części pierwsze i przeanalizować poszczególne elementy. Kiedyś nie uwierzyłabym, że się tego nauczę, że będę wiedziała, czym jest powietrznik lub cylinder.

Można powiedzieć, że to praca łączy detektywistyczną.

Tak, to prawda. Przyznam, że interesuję się kryminalistyką, czytam książki i oglądam filmy na ten temat. Czasem kiedy siedzę przed telewizorem, a na ekranie główni bohaterowie wyjaśniają okoliczności zbrodni, mój mąż się śmieje, że poszukuję instruktażu, jak się pozbyć małżonka. Jednak już nieraz się zdarzyło, że wiedza z książek i filmów o tematyce kryminalnej pomogła mi w poszukiwaniach. Moim zdaniem historia to dziedzina, która pokazuje, gdzie szukać, a inne dyscypliny wyjaśniają, jak szukać. Nieraz zbieram w pamięci różne elementy, które pozornie nie mają ze sobą nic wspólnego, ale potem wszystko zaczyna się ze sobą łączyć – to jest fascynujące.

Oglądałam kiedyś film dokumentalny o morderstwie i pamiętam, jak detektywi i pracownicy sądowi w sprytny sposób

stwierdzili, że samochód brał udział w przestępstwie – chodziło o lakier. Oglądając tę scenę, wpadłam na pomysł, jak zbadać lakier w samochodach pożarniczych. Akurat przeprowadzałam kwerendę dotyczącą koloru auta. Tym sposobem inne moje zainteresowania pomogły mi w pracy muzealniczej.

Realizuje pani swoje zainteresowania nie tylko w aktywnościach zawodowych, ale i pisząc dla „Przeglądu Pożarniczego” artykuły o tematyce historycznej. Jak pani wspomina początki współpracy z PP, od czego się zaczęła?

W 2017 r. ówczesny komendant główny PSP przesłał do wszystkich jednostek organizacyjnych pismo zachęcające do tworzenia tekstów na różne tematy. Zapytałam mojego ówczesnego przełożonego, czy mogę wziąć udział w tym projekcie, uzyskałam jego zgodę. Zgłosiłam się do redakcji z kilkoma propozycjami zagadnień historycznych do przedstawienia i tak zaczęła się moja przygoda z „Przeglądem Pożarniczym”.

Czy tworząc teksty dla naszego czasopisma, napotkała pani jakieś trudności i wyzwania? Co daje pani satysfakcję w tej pracy?

Dużym osiągnięciem jest dla mnie to, że współpracuję z redakcją już 5 lat, moje teksty nadal ukazują się na łamach „Przeglądu”. Cały czas pracuję nad tym, by artykuły były różnorodne, nie powielają treści. Zależy mi też, żeby miały coś swoistego, co odróżni je od tekstów innych autorów, nie sprawiały wrażenia jedynie przekształconych i zestawionych treści z internetu i innych publikacji.

To prawdziwe wyzwanie, by nie obniżyć lotów, tworzyć teksty na wysokim poziomie. Zdaję sobie sprawę, że redakcja ma do wyboru materiały wielu autorów – to daje komfort, bo wtedy można przebierać w artykułach i publikować te najlepsze. Doceniam tę konkurencję, lubię zdrową rywalizację – motywuje mnie do dalszej pracy. Jeśli czytam artykuł innego autora z mojej dziedziny, zastanawiam się, jak mogę się zainspirować jego pracą, a jednocześnie pójść swoją drogą, opisać zagadnienie inaczej.

Na łamach PP podejmuje pani różne tematy – od wydarzeń, osób związanych ze strażą pożarną aż po historie ciekawych przedmiotów. W dziejach pożarnictwa można odkryć prawdziwe perełki, nieznane wątki i opowieści, warto je wydobywać. Skąd czerpie pani inspiracje, jak znajduje pani zagadnienia wartę opisania?

Przede wszystkim przeglądam i czytam stare gazety – poznaję świat, którego już nie ma. Korzystam z bibliotek cyfrowych, które uwielbiam, bo dają mi wiele możliwości. Ułatwiają zdobywanie materiałów, nie muszę już tak często odwiedzać archiwów, mogę szperać w różnych czasopismach w zaciszu domowym. Oglądam grafiki, zdjęcia, czytam artykuły, czasem w ogóle niezwiązane z tematem pożarnictwa, które jednak potem okazują się ciekawą inspiracją.

Po drugie podróżuję po kraju. Dzięki temu wiem, kim jestem, skąd pochodzę, a jednocześnie nabieram obiektywizmu. Uczę się, jak wygląda dana kultura, bo nawet ta wytworzona przez społeczność mieszkającą kilkadziesiąt kilometrów dalej jest już nieco inna.

We wstępie do jednego z artykułów opublikowanych na łamach „Przeglądu Pożarniczego” wspomniała pani także o innym źródle inspiracji – kontakcie z osobami odwiedzającymi muzeum, a konkretnie dziećmi. To pytanie jednego z nich o na-

pis „Bartek” na autopogotowiu strażackim skłoniło panią do zgłębienia kwestii nazw własnych sprzętów występujących niegdyś w wyposażeniu straży pożarnych.

To prawda, tak było. Takie sytuacje też bywają inspiracją. Dzieci zadają wiele pytań i to całkiem trafnych, np. czym się różni siekierka od toporka – aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba mieć naprawdę dużą wiedzę archeologiczną, wiedzieć, w jaki sposób używano ich w dawnych wiekach. Z kolei dorośli w grupie często krępują się zadawać pytania. Jeśli już padają, to dotyczą np. rozróżnienia: straż ogniowa i straż pożarna. W końcu napisałam tekst wyjaśniający to zagadnienie, który opublikowałam na blogu, bo też odpowiedź jest skomplikowana. Lubię grupy zadające pytania, bo wtedy jest między nami dynamika, akcja i reakcja. Mam szansę wejść w dialog z grupą, dowiedzieć się, czego oczekuje.

W naszej rozmowie przewija się kwestia pani bloga. Dotyczy on również historii pożarnictwa. Jaki był zamysł jego stworzenia, pani cel twórczy?

Powodów stworzenia bloga było kilka. Zawsze bardzo dużo pisałam, już w szkole średniej miałam potrzebę przelewania na papier (lub ekran komputera) swoich przemyśleń. Na moim pierwszym blogu publikowałam swoje wiersze i eseje. Natomiast historypoz.pl powstał, bo zauważyłam, że brakuje w internecie źródła ciekawych treści o historii pożarnictwa – stwierdziłam więc, że zapełnię tę lukę.

Blog to mój świat, mogę go kreować według własnego uznania. Ważna jest dla mnie różnorodność – piszę teksty i popularnonaukowe, i humorystyczne. Mogę też komponować własną szatę graficzną. Jednocześnie blog mnie zobowiązuje, odpowiadam przed czytelnikami, podobnie jak w przypadku artykułów pisanych do PP. Jednak jeśli chodzi o moją twórczość w sieci, kontakt z odbiorcami jest bardziej bezpośredni. Udostępniam teksty w grupach historycznych w mediach społecznościowych i dyskutuję z czytelnikami w komentarzach.

Zarówno artykuły, jak i blog pozwalają też na edukację, popularyzację wiedzy o historii pożarnictwa. Wszyscy wiemy, że istnieje straż pożarna, ale niewiele osób uświadamia sobie, że ma ona ciekawą i bogatą historię społeczno-kulturową.

Zadanie popularyzacji historii ochrony przeciwpożarowej – czy to w sieci, czy w czasopiśmie – jest niezwykle ważne. Jakie ma pani dalsze plany w tym zakresie? Czy na horyzoncie pojawiają się nowe ciekawe tematy i zagadnienia?

Chciałabym pokazać w swoich kolejnych tekstach, jak z historią ochrony przeciwpożarowej łączą się inne dziedziny naukowe, np. archeologia, kryminalistyka itp. Zależy mi też, by poruszyć temat muzealnictwa i opieki nad zabytkami techniki pożarniczej. Dawny sprzęt niekoniecznie powinien znajdować się w muzeum. Jeśli jest sprawny technicznie, można wykorzystać go w pierwotnym środowisku, w społecznościach, do których od zawsze należał, np. podczas pokazów, uroczystości.

Wiele pozostało jeszcze tematów, które chciałabym opisać. Najlepiej jest, kiedy siadam przy komputerze, otwieram edytor tekstu i słowa zaczynają płynąć. Najtrudniejsze są pierwsze dwa zdania, myślę, a potem tekst do mnie przychodzi, wiem, co chcę napisać. Mam nadzieję, że czeka mnie jeszcze wiele chwil twórczego spełnienia i będzie mi dane dzielić się tekstami z czytelnikami. ☞

HUMANISTA W CIELE INŻYNIERA

Nie wiązał swoich planów ze strażą. Jako dziecko marzył, by zostać kowbojem, czarodziejem i karateką. Życie zweryfikowało jego plany i dzisiaj może pochwalić się bogatym pożarniczym dorobkiem zawodowym. Człowiek orkiestra – strażak, wykładowca, autor artykułów. O pisaniu i nie tylko opowie bryg. mgr inż. Szymon Kokot.



fot. archiwum prywatne Szymona Kokota

rozmawiała Emilia Klim

Zacznijmy od początku, czyli od rozpoczęcia przygody ze strażą.

Zaważył na tym przypadek. Byłem w klasie maturalnej. Mój kolega, który miał w rodzinie tradycję strażackie, postanowił pójść w te ślady i mnie też zaproponował taką opcję. Zastanawiałem się nad tym praktycznie tylko przez chwilę. Pomyśl mi się spodobał. Stabilny zawód, duże zaufanie społeczne, ważna misja. Bardzo to do mnie przemówiło. I kolega po jakimś czasie zrezygnował z tego zamiaru, a ja przy nim pozostałem. W 1999 r. jako świeżo upieczony maturzysta przystąpiłem w SGSP do egzaminów i dostałem się.

Po ukończeniu studiów inżynierskich zostałem skierowany do JRG 1 w Olsztynie – największej i najbardziej obciążonej wyjazdami jednostki w województwie. Tam przez 2 lata pełniłem podstawowe funkcje, np. strażaka-ratownika, a także pracowałem jako funkcjonariusz zastępujący dowódcę sekcji. W tym czasie brałem udział w projekcie międzynarodowym EUROBALTIC, realizowanym przez KW PSP w Olsztynie. Biegle posługiwałem się angielskim, zajmowałem się więc m.in. tłumaczeniami.

W 2005 r. trafiłem do Wydziału Organizacji Nadzoru KW PSP w Olsztynie i tam przepracowałem 3 lata. W tym czasie zainteresowałem się tematyką ratowania strażaków, asekuracji działań wewnętrznych, samoratownictwa. W 2008 r. przeszedłem do Ośrodka Szkolenia PSP w Olsztynie. Tam zająłem się taktyką działań gaśniczych. Ukończyłem w tym czasie studia z zakresu BHP i pedagogiczne. Moja edukacja podążała w kierunku nauczania innych osób.

W latach 2016–2017 pełniłem funkcję oficera ds. szkolenia w CERN w Genewie. Po powrocie do Polski, po kilku miesiącach pracy na dawnym stanowisku starszego wykładowcy, ówczesny

komendant wojewódzki mianował mnie na stanowisko zastępcy naczelnika Ośrodka Szkolenia. Następnie powołano mnie na stanowisko zastępcy komendanta powiatowego PSP w Nidzicy.

Zdążyłem już rozpocząć studia doktoranckie w SGSP. Będę się zajmował wpływem promieniowania ciepłego na bezpieczeństwo strażaków. Moja strażacka przygoda jest bardzo bogata, owocna, zapewnia mi duży rozwój. Osobista relacja z mundurem, który noszę, jest bardzo ważna w moim życiu.

Do którego miejsca swojej pracy czuje pan największy sentyment?

Ciężko powiedzieć, bo każde z nich było wyjątkowe na swój sposób i dawało wiele możliwości rozwoju. Najwięcej czasu spędziłem jednak w Ośrodku Szkolenia i z pewnością był to okres, kiedy mogłem decydować o tym, co chcę robić. Miałem możliwość wprowadzania zmian na skalę krajową i wpływania na ratownictwo, którego częścią jest gaszenie pożarów wewnętrznych. Były to najbardziej owocne lata mojego rozwoju osobistego. Napisałem wtedy podręcznik do gaszenia pożarów wewnętrznych i kilka drobniejszych skryptów, a także kilkadziesiąt artykułów na ten temat, które były publikowane na łamach „Przeglądu Pożarniczego”.

Jest pan autorem wielu inicjatyw. Czy przybliżyłby nam pan te projekty?

Oprócz bycia strażakiem najważniejszą rzeczą dla mnie jest fundacja cfbt.pl. Byłem jej założycielem. Zajmujemy się w niej m.in. edukacją z zakresu profilaktyki nowotworowej strażaków. To bardzo ważna kwestia i jestem naprawdę zbudowany tym, że obecne kierownictwo PSP kładzie na ten obszar niespotykany dotąd nacisk. Zajmujemy się również wdrażaniem wszelkiego rodzaju zdobyczy naukowych, ustaleń z różnych badań. Interesujemy się nowym sprzętem, organizujemy przedsięwzięcia integrujące śro-

dowisko strażackie. Wyciągamy też bardzo mocno rękę do ochotniczych straży pożarnych. PSP ma swój własny system kształcenia, a ochotnicy nie. Próbuje trochę tę sytuację poprawić. Częścią działania fundacji jest Projekt LIDER, czyli różnego rodzaju podcasty, konferencje, które mają na celu stymulowanie rozwoju osobistego strażaków, np. w postaci rozmów z ciekawymi ludźmi dzielącymi się swoimi doświadczeniami. Ogólnie rzecz biorąc – to projekt motywacyjny.

Naszym czytelnikiem jest pan znany nie tylko ze swoich zawodowych osiągnięć, ale również jako autor artykułów. Jak narodził się pomysł na pisanie?

Przypuszczam, że wzięło się to z pewnych cech mojego charakteru i tego, jak mnie ukształtowało życie. Od zawsze interesowałem się rozwojem, nowymi rzeczami, nie lubiłem nigdy zamykać się w ustalonych ramach. Wiem, że strefa rozwoju leży poza strefą komfortu i ucząc się, należy przyznać się do tego, że czegoś się nie wie. Ludziom przychodzi to zazwyczaj z trudnością, ja nie miałem nigdy z tym problemu.

Znajdując wszelkiego rodzaju nowe informacje, czytając badania, które mnie zawsze interesowały, odkrywałem potrzebę dzielenia się tą wiedzą ze strażakami z całej Polski. Zaslugujemy, tak jak strażacy na całym świecie, aby nasza wiedza była na jak najwyższym poziomie i żebyśmy byli jak najlepiej przygotowani do działań. Nasza misja to w końcu ratowanie życia. Twierdząc, że jestem humanistą w ciele inżyniera – zawsze umiałem posługiwać się słowem pisanym i mówionym na tyle swobodnie, by tworzyć przekaz do innych.

Tematyka pańskich artykułów jest różnorodna. Która z dziedzin jest panu najbliższa?

Piszę przede wszystkim o szeroko postrzeganej problematyce pożarów. Pożary wewnętrzne to szerokie spektrum. Można mówić tu o zjawiskach pożarowych, sprzęcie, technikach gaszenia, środkach ochrony indywidualnej, organizacji, taktyce działania, przepisach, problematyce nowotworowej. To jest zdecydowanie tematyka, w której czuję się najlepiej. Chociaż ostatnio miałem możliwość opisywać projekt dotyczący CBRN, ze wskazaniem na zagrożenia nuklearne. Z tą problematyką miałem styczność, pracując w CERN. Recenzenci ocenili moje opracowanie jako bardzo dobre. Nie zamykam się więc tylko na jedną dziedzinę.

Jaki jest odzew ze strony czytelników?

Spotykam się głównie z pozytywnym odbiorem moich prac i sprawia mi to dużą satysfakcję. Bardzo starannie podchodzę do pisania. Wiem, że spoczywa na mnie odpowiedzialność, jako na osobie, która chce przekazać nowe spojrzenie, pokazać nowe aspekty danej sprawy. Czasami zdarzają się również głosy krytyki – jeśli nie jest konstruktywna, nie ma sensu się jej przyglądać. Chętnie poznaję za to merytoryczne uwagi do moich prac, zdania odmienne od mojego – dają gwarancję, że to, co proponuję w ramach artykułów, nie jest oderwane od rzeczywistości. Dzięki tej postawie mogę z dużą satysfakcją stwierdzić, że odbiór jest przeważająco pozytywny.

Współpracuje pan z naszą redakcją od wielu lat. Jak ocenia pan tę współpracę?

Jeśli dobrze pamiętam, to pierwszy artykuł napisałem w 2005 r. Myślę, że przez ten czas uzbierało się ich około 30. Zarówno z poprzednim redaktorem naczelnym, jak i obecną panią redaktorką współpracuję mi się bardzo dobrze. Nie tylko piszę, ale również pomagam recenzować niektóre teksty z mojej dziedziny.

Czy jest pan stałym czytelnikiem naszego miesięcznika? A może ma pan jakiegoś ulubionego autora?

Staram się zapoznać z każdym numerem. Czytam głównie to, co bezpośrednio mnie interesuje. Chcę też przejrzeć każdy numer od deski do deski, żeby orientować się, co jest publikowane, kto publikuje, a też przeczytać coś, co nie jest typowo z mojej dziedziny, żeby moje horyzonty się nie zawężały. Zawsze bardzo lubiłem czytać zamieszczany na ostatniej stronie krótki felieton autora ukrywającego się pod pseudonimem „Oficer”. Nie chciałbym wyróżniać kogoś poza anonimowym autorem – uważam, że do „Przeglądu Pożarniczego” piszą osoby kompetentne. Jeśli miałbym jednak wskazać jedną osobę, to podoba mi się styl pisania Marka Wyrozębskiego.

„Przegląd Pożarniczy” to potrzebne czasopismo, podsuwa dużo ścieżek rozwoju strażakom, którzy je czytają. Jest to na stałe zdomowiony element naszego środowiska strażackiego i chciałbym, żeby zawsze towarzyszył PSP.

Jako troszeczkę tradycjonalista apeluję, by forma papierowa nigdy nie zniknęła na rzecz formy elektronicznej.

Czy planuje pan dalszą współpracę z redakcją?

Nie przewiduję jej zakończenia. Myślę, że gdy odejdę już na emeryturę, współpraca z „Przeglądem Pożarniczym” się nie zakończy. Obecnie zajmujemy się w fundacji problemami nowych technologii, fotowoltaiką, magazynami energii, wodorem jako paliwem. O tym właśnie chciałbym pisać. Tematyka, na której obecnie się skupiam, na pewno pozostanie.

Można śmiało stwierdzić, że jest pan człowiekiem orkiestrą: strażak, instruktor, wykładowca, autor, muzyk. Czym może nas pan jeszcze zaskoczyć?

Bardzo interesuję się psychologią. Dużo czytam na ten temat. Moim guru w tej dziedzinie jest Jordan Peterson, w którego wykładzie miałem szansę uczestniczyć osobiście. W związku z tym jedną z takich rzeczy, którą będę się zajmował i która dotyczy nie tylko strażaków, ale wszystkich ludzi, to relacje, przede wszystkim partnerskie, małżeńskie. Chcemy razem z żoną, z którą mam głęboką i piękną relację, oferować również innym parom nasze przemyślenia i spojrzenie na pewne sprawy.

Plany na przyszłość?

Dopóki będę czuł się potrzebny w PSP, dopóty chcę nosić mundur i służyć naszemu krajowi i jego obywatelom. Kiedy przyjdzie mi odejść na emeryturę, z pewnością pozostanę aktywny w środowisku strażackim, działając w OSP oraz fundacji. ☞

Znajdując wszelkiego rodzaju nowe informacje, czytając badania, które mnie zawsze interesowały, odkrywałem potrzebę dzielenia się tą wiedzą ze strażakami z całej Polski. Zaslugujemy, tak jak strażacy na całym świecie, aby nasza wiedza była na jak najwyższym poziomie i żebyśmy byli jak najlepiej przygotowani do działań. Nasza misja to w końcu ratowanie życia.

W ŚWIECIE ARTYZMU



fot. archiwum prywatne Aleksandry Radlak

Początki zazwyczaj bywają trudne. Trzeba się zmierzyć ze sprawami codziennymi i otoczeniem, które lubi działać na przekór. Ale Aleksandra Radlak ma to już za sobą i najwyraźniej problematyczne okoliczności wzmocniły ją i pomogły ukształtować zdolną, twórczą duszę. Jest tłumaczką, pisarką, poetką... A naszym czytelnikom dała się poznać jako profesjonalistka, która nie boi się niczego, a już na pewno nie pożarnictwa.

rozmawiała Marta Giziewicz

W PP umieszczamy pod artykułami krótkie notki o autorach. Przeważnie są to osoby związane ze strażą, inżynierowie, studenci szkół pożarniczych lub ratownicy. A tu mamy profesjonalną pisarkę. Wiele czytelników zastanawia się, kim jest ta tajemnicza postać, która z finezją i dbałością o szczegóły opisuje przypadki głośnych pożarów. Kim zatem jest Aleksandra Radlak? Czym dokładnie zajmuje się zawodowo, jakie ma hobby?

Jestem tłumaczką, pisarką i pełnoetatową matką trojki dzieci. Zawodowo zajmuję się tłumaczeniem literatury, tekstów specjalistycznych, branżowych, naukowych i technicznych. Głównie z języka angielskiego oraz na język angielski, a czasem i z języka rosyjskiego. Wykonuję też redakcję i korektę tekstów anglojęzycznych. Pisanie to moja pasja – obok szeroko pojętej filozofii, kultury ludowej oraz przebywania wśród zwierząt i przyrody. A piszę wszystko: od powieści i opowiadań z pogranicza fantastyki i science fiction aż do poezji. Tę ostatnią lubię tworzyć najbardziej.

Jak się więc stało, że zaczęła Pani pisać do czasopisma o tematyce pożarowej? I jak się pani w tym odnajduje?

Tym, co zawsze przynosiło mi największą radość w pisaniu, było czerpanie z różnorodnych dziedzin i źródeł, a także

łączenie gatunków literackich. Pisząc swoją powieść „Cynobrowe pola”, nie raz musiałam sięgać do specjalistycznej literatury z różnych dyscyplin, aby uczynić elementy opowieści bardziej realistycznymi. To działa w obie strony – informacje z dziedzin inżynierskich, technicznych mogą służyć jako podpora fabuły, a jednocześnie sprawiają, że chcę dowiedzieć się więcej na dany temat. Współpracę z PP zaproponował mi st. bryg. Paweł Rochala, gdy pełnił funkcję redaktora naczelnego. Zbierał wtedy zespół autorów i potrzebny był ktoś, kto pisałby z polotem, a jednocześnie sprawnie analizował obcojęzyczne materiały. Wtedy odkryłam, że pisanie tekstów o tematyce pożarowej to dla mnie ciekawe wyzwanie. Uczy skrupulatności i pokory. Bo przecież tam, gdzie w grę wchodzi fizyczne bezpieczeństwo w obliczu niszczycielskiego żywiołu, nie ma miejsca na literackie fantazje, pomyłki czy widzimisię. I jeszcze coś: w spolaryzowanym społeczeństwie, wśród wszechobecnych sporów o politykę czy kwestie społeczne, ogień pozostaje czymś, czego wszyscy obawiają się – a przynajmniej powinni się obawiać – dokładnie tak samo. I tak samo muszą się przed nim bronić. Pisanie o tych uniwersalnych zagrożeniach paradoksalnie daje chwilę wytchnienia od tych mniej uniwersalnych, a bardziej działających na emocje tematów.

Jak pani wspomina swoje początki z PP? Jak wypada PP na tle innych czasopism, z którymi pani współpracuje? Czym różni się ta współpraca, a co te redakcje łączy?

Pierwsze artykuły, które pisałam do PP, traktowały o pożarach samolotów, a konkretnie – paliw w samolotach. Pamiętam, że zostały dość dobrze odebrane, a niektórzy czytelnicy, na co dzień zajmujący się tematyką pożarów, uznali mnie za swoją koleżankę po fachu [śmiej]. Choć artykuły pisało mi się przyjemnie, z całą pewnością traktowałam to jak zobowiązujące wyzwanie. I wciąż tak je traktuję. Cieszę się, że wyszła nam z tego stała współpraca, bo taką zawsze cenię najbardziej – daje możliwości pisarskiego rozwoju. Podobnie sympatyczna współpraca łączyła mnie kiedyś z czasopismem „Koziańskie Wiadomości”, do którego pisałam felietony na różnorakie tematy: od bieżących problemów lokalnej społeczności przez ekologię po kulturę ludową. Wciąż za tym tęsknię! Cieszyło mnie też publikowanie opowiadań w „Nowej Fantastyce”, co w większym stopniu wiąże się z czysto artystyczną formą mojej działalności. Choć formy współpracy i tematyka są inne, to możliwość publikacji w czasopismach zawsze jest ekscytująca. Niesie energię i wartość, zwłaszcza jeśli chodzi o miesięczniki, bo trzeba przecież uporać się z materiałem na czas, żeby nie opóźnić wydania całego numeru!

Doświadczenie pisarskie jest tu kluczowe, a na pewno bardzo pomocne. Czy ma pani sprawdzone sposoby na węgę, z których mogliby skorzystać inni nasi autorzy – obecni i przyszli, gdy dopada ich niemoc twórcza?

Ja uważam, że w pisaniu wena jest najmniej ważna. Liczy się dobre rzemiosło, rzetelność, a nade wszystko systematyczność i dyscyplina. Jeśli dopada mnie niemoc twórcza, po prostu zmuszam się do pisania. Choćbym miała napisać tylko dwa zdania, jest to lepsze niż nic i popycha pracę naprzód.

Pani powieści i opowiadania są bardzo dobrze oceniane przez czytelników – czemu wcale się nie dziwię. W swojej twórczości buduje pani fantastyczne opisy, które... po prostu płyną – ludzie tego fachu wiedzą, że świadczą one o skrupulatności, ale i ciężkiej pracy. Autorów często pyta się o to, jak wygląda ich praca nad tekstem, ile czasu zajmuje na przykład napisanie powieści. Czytelnicy PP z chęcią też się tego dowiedzą. Jak zatem organizuje sobie pani pracę nad tekstem i ile potrzeba czasu, by stworzyć tak misterną i kunsztowną narrację?

To zależy. Podczas gdy artykuły czy felietony pisze się na zadany temat, w zadanej objętości i w określonym terminie, książka czy opowiadanie to już zupełnie co innego. Często powstaje „w ciemno”, bez gwarancji na publikację, a czas na rozwój pomysłu jest nieograniczony – dopóki oczywiście tekst nie zostanie zaakceptowany przed wydawcą, bo później trzeba już gościć z pracami redakcyjnymi. Systematyczność w pisaniu i tutaj się liczy, bo w przeciwnym razie można stracić spójność fabuły i płynność tekstu, albo całkowicie porzucić pomysł. Ale łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Napisanie „Cynobrowych pól” zajęło mi 8 lat. Nic więc dziwnego, że wyszła taka cegła [śmiej]. A że pisanie przypadło na moją młodość – czas burzliwych życiowych zmian i rozwijania zainteresowań, to fabuła zmieniała się razem ze mną. Wpłynęło to chyba na charakterystykę postaci, które uzyskały pewną głębię: nowe motywacje, ukryte plany, zawiedzione

marzenia, kompleksy. W mojej wyobraźni postaci prawdziwie ożyły, a dzięki temu zyskały własny głos. Historia ułożyła się sama. Wyszło dobrze, choć z dzisiejszej perspektywy wiem, że mądrzej jest pisać według z góry ustalonego planu – unika się wtedy miesięcy, a może i lat pracy nad zgraniem elementów fabuły w całość. Tak było z moim opowiadaniem „Nowy świt”, które pierwotnie napisałam w całości wierszem, jako dramat przeznaczony na scenę, z równo podzielonymi aktami, a dalej – strofami i wersami. Później przerobiłam go na prozę i wyszło idealnie wyważone opowiadanie. Ale ten proces też zajął dobrych parę lat! Nawet pojedyncze wiersze rzadko zdarza mi się pisać spontanicznie. Są wynikiem starannego planowania, dobierania wyobrażeń, słów i dźwięków w poszczególnych wersach. Nie wierzę w mit pisarza czy poety, który z rozwianym włosiem i spoconym czołem siada do biurka, żeby w amoku twórczych objawień napisać dzieło swojego życia.

Pomysły przychodzą często w najmniej oczekiwanych momentach, a praca twórcza wymaga restrykcyjnych zasad, na przykład totalnej ciszy, żadnych „rozpraszcaczy”. Lepiej pracuje się pani w ciszy, czy muzyka i zgiełk codzienności jednak pomagają?

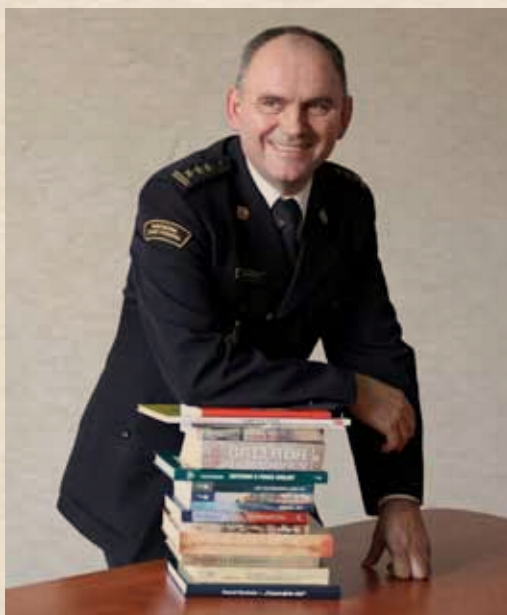
Zgiełk nie pomaga, ale pogodziłam się z tym, że jest nieunikniony. Swoje pierwsze pisarskie kroki stawiałam, pracując jako barmanka w gwarnej speluncie w podziemiach edynburskiego starego miasta – pisałam tam ukradkiem, niemal na kolanie. Nawiasem mówiąc, jestem pewna, że koledzy specjaliści mieliby wiele do powiedzenia na temat przepisów bezpieczeństwa w owej placówce, a pracownicy Sanepidu osiwieliby ze zgrozy. Trzymając się jednak kwestii związanych z moją twórczością – czasem muzyka była tak głośnie, że butelki szkockiej spadały z półek od samych wibracji. Czasem z kolei latały mi przed nosem szklanki klientów, którzy o coś się pokłócili i postanowili załatwić spór w jak najprostszy sposób. W końcu doszłam do takiej wprawy w osiąganiu skupienia, że cała kolejka do baru w sobotnią noc musiała poczekać, aż skończę pisać akapit, bo wiedziałam, że kiedy wstanę od swojej kartki (wtedy pisałam jeszcze odręcznie!), to mogę stracić myśl i zawałić cały esej. Potem nauczyłam się na szybko zapisywać swoje myśli i pomysły. Mam kilka takich zeszytów. Gdy najdzie mnie tzw. wena, sięgam po myśl albo pomysł, a gdy mam chwilę spokoju, staram się skrupulatnie je rozwijać. A jednak trójka dzieci potrafi rozpraszać bardziej niż tłum imprezowiczów przy barze! I nie mam nic przeciwko temu.

Jak pani widzi swoją najbliższą przyszłość? Czy zostały jeszcze jakieś plany do realizacji – może kolejne publikacje? Spełnianie marzeń i wyzwań zawodowych?

Moje plany w dużej mierze oscylują wokół spraw rodzinnych – a praca pomaga w realizacji tych planów, mam więc nadzieję rozwijać się zawodowo jako tłumaczka. Poza tym napisałam kolejną powieść i chciałabym ją wydać, ale od zdecydowanie zbyt dawna nie mam czasu, aby porządnie przejrzeć tekst przed przesłaniem go do wydawcy.

Czego na ten moment mogłabym pani życzyć?

Proszę życzyć mi nieco więcej czasu i determinacji, jeśli chodzi o twórczą stronę mojej pracy – biorąc pod uwagę panujące obecnie ciężkie realia wydawnicze, na pewno mi się to przyda! ☞



fot. archiwum PP

WIEDZIAŁEM, CZEGO CHCĘ

Strażak z zawodu, pisarz z powołania. Człowiek wielu talentów, bo jeszcze całkiem dobrze rysuje i gra na akordeonie. St. bryg. Paweł Rochala, wieloletni autor PP, opowiada o sobie i współpracy z naszym czasopisem.

rozmawiała Elżbieta Przyłuska

Pawle, jak to się stało, że zostałeś strażakiem? Tradycje rodzinne?

Nie, skąd! Przed studiami pożarniczymi widziałem z bliska łącznie trzy pożary wiejskie, co prawda podbudowane książeczką „Jak Wojtek został strażakiem”, ale wyłącznie jako dziecięcy widz. Nigdy nie należałem do OSP, a do zawodowej straży pożarnej zajrzałem tuż przed egzaminami wstępnymi do SGSP, żeby nauczyć się pokonywać ścianę dwumetrową. Za to od zawsze ciągnęło mnie do munduru. Jako uczeń mundurowego technikum kolejowego mieszkalem w internacie, więc co niedziela jechałem do Warszawy. W pociągu spotykałem podchorążych różnych szkół. Smutni wojskowi mówili, pokazując zadowolonego podchorążego strażackiego: „Zobacz! Dobrze odżywiony, spokojny! To są studia! U nas oduczą cię myślenia!”. I tak w trzeciej klasie technikum dowiedziałem się, czego w życiu naprawdę chcę. Przecież kogo robota w ręce parzy, ten idzie do straży.

To czego jako osiemnasto-, dziewiętnastolatek chciałeś?

Wtedy – zdać egzaminy do SGSP, co się powiodło. Będąc na studiach, chciałem nauczyć się przepisów i projektowania zabezpieczeń przeciwpożarowych, żeby skuteczniej gasić pożary, bo miałem już z nimi niejedne porachunki. Wybrałem więc specjalność profilaktyczną. Również ze względu na żenujący wówczas poziom nauk taktycznych.

No to byłeś ambitny. I co – udało ci się ten życiowy cel zrealizować?

Zależy, jak na to spojrzeć. Kiedy jako wykształcony oficer zaczynałem służbę, ówczesny skierniewicki komendant wojewódzki Tadeusz Wachowski powiedział mi: *Nie po to państwo utrzymywało pana przez 5 lat, żeby pan sobie teraz do pożarów jeździł! Tu jest biurko w prewencji!* Istotnie, moją pierwszą pracą było określenie odległości bezpiecznej ustępu miejskiego o siedmiu oczkach od innych obiektów użyteczności publicznej – i tak już zostało... No więc teraz, po latach, myślę sobie, że zza biurka zapobiegłem większej liczbie pożarów, niż byłbym w stanie osobiście ugasić.

Czyli prewencją zacząłeś się zajmować mimo wszystko trochę z przymusu. Nie żałujesz, że twoja kariera nie potoczyła się w kierunku taktycznym?

Z taktyką miałem mocny kontakt pośredni. Bywało, że ja, zakontraktowany prewentysta, nawet i cztery doby w miesiącu spędzałem jako oficer dyżurny WSKR. Zyskałem nawet w województwie miano Jonasza: katastrofa kolejowa, ciekająca trucizna z cysterny, pożar szpitala, rekordowa liczba zdarzeń. No więc starsi ode mnie jeździli do zdarzeń, a ja młody z nimi przez radiostację korespon-

dowałem. A na miejscu różnie się działo, co też było mi dane bezpośrednio, choć rzadziej, widywać.

To co się takiego działo podczas akcji? Wyczuwam mocno krytyczny ton.

Strażacy powinni się powstrzymać przed odruchem lania wody, gdy nie ma to już sensu, a skoncentrować się na obronie. Najważniejsze, by nie pozwolić pożarowi się rozwijać. To, co się pali, jest już i tak stracone. Opanowanie sytuacji po godzinie od rozkazu „Woda naprzód!” oznacza, że pożar wypalił sam się sam.

W którymś momencie zacząłem komentować sprawy bieżące dotyczące służby w krótkim felietonie. Dawało mi to sporo satysfakcji, gdyż wielu ludzi zaczynało czytać PP od końca, żeby się dowiedzieć, co tam znów nawypisywał „Oficer”.

Złapanie go przy fundamentach jest jak dogonienie zawodnika za metą.

Czy tego odpowiedniego lania wody można się nauczyć, czytając „Przegląd Pożarniczy”?

Możliwe. Szymon Kokot-Góra opracował podstawowy kurs gaszenia pożarów w mieszkaniach. I to, co on zrobił, powinno natychmiast zostać przekute w regulaminy gaśnicze, ale na razie jest tylko w PP jako „wiedza”. Również Marek Wyrozębki próbuje przekazywać taką podstawową wiedzę. Niestety, nie widzę oddźwięku ich artykułów, brakuje intelektualnego fermentu taktycznego, który w prewencji jest stale obecny.

Od uczenia podstaw jest szkoła, studia.

No tak, ale tu też chodzi o jakąś dyskusję jakościową. O ile na łamach PP grono prewentystów szuka nowych rozwiązań, co oznacza, że nie zadowala ich rzeczywistość, o tyle w taktyce właściwie żadnej dyskusji od pokoleń nie ma. Artykuły taktyczne to głównie sprawozdania, a wnioski z nich to „3 x brak”, mające w domyśle co nieco usprawiedliwić: brak dojazdu, brak wody i brak łączności, choć wszyscy stali tuż przy pożarze, woda wylewała się z piwnicy, a łączność była bezpośrednia, jak to w rozmowie. A przecież tylko konkretne błędy czegoś uczą.

A potem strażaków dosięga prokurator... Przecież wiesz, czym grozi opisywanie i przyznawanie się do błędów popełnionych podczas prowadzenia działań.

Ale można wypracować jakiś standard. W krajach anglosaskich po pożarach, w których giną ludzie lub powstają wielkie straty, publikowane są szczegółowe analizy zdarzeń. Przykład: Grenfell Tower. To są bardzo pouczające, drobiazgowo materiały, pokazujące, że ktoś patrzy, widzi i jest w stanie ocenić. I tę ocenę śmiało wystawia.

Czy pamiętasz artykuły, które dla ciebie były szczególnie ważne merytorycznie? Takie, które nawet teraz mógłbyś polecić?

Współczesnych autorów już wymieniałem, dodam tylko, że zbyt rzadko pisze Ariadna Koniuch. Ale jeszcze w życiu studentkim znalazłem w PP coś, co mocno poruszyło moją wyobraźnię. Na przykład strażacy z pewnej jednostki zauważyli wielkie zalety myjki ciśnieniowej i dostosowali swój pojazd do tego, by używać jej do gaszenia pożarów. Okazała się znacznie lepsza od fabrycznej linii szybkiego natarcia, bo gasiła szybciej i z mniejszymi stratami... Niestety, do dziś brakuje u nas, jako standardu, wysokociśnieniowej, długiej na 60-90 m linii szybkiego natarcia.

Najbardziej wartościowy okres PP to moim zdaniem jego początki, od 1912 r. do 1925 r. włącznie. Wszystkie walory tego rodzaju pisma, począwszy od jakości merytorycznej tworzącej system (budownictwo ogniotrwałe, ubezpieczenia od ognia, straże ogniowe) przez idee scalające środowisko pożarnicze, wykładano przystępnie, a na najwyższym poziomie, także pod względem językowym i kulturowym. Ogromny wpływ mieli wówczas na PP tak Bolesław Chomicz, jak i Józef Tuliszkowski. Obaj narazili się tym samym środowisku. Ten drugi tym, że opisując przebieg pożarów, wytykał wszystkie błędy, jakie strażacy popełnili. Wiele by nam dało w kontekście podniesienia jakości dyskusji wznowienie kilkunastokrotnej wymiany zdań o gaszeniu gnojówką [śmiech].

Jak zaczęła się twoja przygoda z „Przeglądem Pożarniczym”? Od lat jesteś jednym ze stałych autorów PP i chyba jednym z najbardziej rozpoznawalnych, jeśli chodzi o pióro.

Do PP zacząłem pisać tuż przed czterdziestką, to był chyba

2006 r. Miałem też doświadczenie pisarskie z innego pola niż strażackie. Zaproponowałem redakcji cykl artykułów na temat różnych katastrof, które wydarzyły się w starożytności. Zacząłem od pożaru Świątyni Artemidy w Efezie. W którymś momencie zacząłem komentować sprawy bieżące dotyczące służby w krótkim felietonie. Dawało mi to sporo satysfakcji, gdyż wielu ludzi zaczynało czytać PP od końca, żeby się dowiedzieć, co tam znów nawypisywał „Oficer”.

Przez kilka miesięcy, w zastępstwie, pełniłeś funkcję redaktora naczelnego PP. Poznałeś od wewnątrz warsztat tworzenia tego pisma. I pewnie szybko się zorientowałeś, że to niełatwa sztuka – tworzyć ciekawe i profesjonalne pismo specjalistyczne. W którym kierunku twoim zdaniem PP powinien zmierzać?

Myszę, że warto pokazywać zdarzenia kompleksowo, z różnych stron. Zapobieganie pożarom zawsze powinno iść w parze z ich gaszeniem. Dlatego zdarzało mi się planować do jednego numeru opisy danego zagadnienia sporządzone przez nawet trzech, czterech różnych autorów, którzy przygotowywali materiały niezależnie od siebie, również z podbudową naukową i historyczną. Dobrze, jeśli materiał jest tak napisany, że czytelnik może wyciągnąć z niego własne wnioski, bez konieczności podawania ich na tacy. Wiem jedno – z zainteresowaniem na pewno nie spotka się opis akcji, który jest lekko podrasowanym streszczeniem meldunku, skąd zasadniczo dowiemy się, kto od kogo przejął dowodzenie i o której. Poza tym czytelników zawsze nudziły defilady, no chyba że sami w nich uczestniczyli i widać ich na którymś zdjęciu [śmiech]. Tu można wrócić właściwie do założenia PP. Działo się to w 1912 r., na nielegalnym zjeździe strażackim we Włocławku, który odbył się pod egidą Towarzystwa Rolniczego. Ukazywało się wówczas pismo „Strażak”, które Józef Tuliszkowski zgromił za dyletantyzm. Chodziło o to, by powstało profesjonalne pismo tworzone przez fachowców, co będzie strażaków czegoś uczyć – również etyki, empatii, odpowiedzialności. No i taki powinien być „Przegląd Pożarniczy” także teraz. To bardzo trudne. Pozyskałem kilku świetnych, nadal piszących autorów, a jednak z ulgą zdałem dowodzenie piśmem.

Piszesz sporo, nie tylko do PP. Masz na koncie powieści historyczne, biografie. Jesteś rasowym pisarzem. Opowiedz proszę o swoich książkach.

Faktycznie, grzbiety moich książek zajmują na półce już chyba z pół metra. Mam w tym zbiorze trzy pozycje strażackie. Napisałem biografię Bolesława Chomicza – i przyznaję, że wsiąklę w tę postać. To dla mnie wzór, choć nie był zwolennikiem służby zawodowej, a ja nim jestem. Drugą książeczkę – „Czy ogień boi się strażaka?” napisałem dla dzieci, co wcale nie jest łatwe. Zbiera dobre recenzje. A ostatnio ukazała się książka o strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej z 1981 r. Zależało mi, by te wydarzenia przybliżyć współczesnemu czytelnikowi, oddać atmosferę tamtych dni. Książka w połowie składa się z wywiadów. Sporo osób, które nie ukończyły szkoły przez udział w strajku, odmówiło mi rozmowy, tłumacząc i po półtorej godziny, dlaczego nie. To znaczy, że temat jest wciąż żywy. Ostatnio pomyślałem, że skoro umiałem napisać strażacką książkę dla dzieci, to może spróbuję czegoś dla dorosłych?... Tak powstało „Życie erotyczne strażaków” – książka przedstawiająca również i takie niespodzianki naszego zawodu, oparta wyłącznie na faktach i zwierzeniach. Wbrew tytułowi będzie niekoniecznie goło, czasem wesoło, najczęściej groteskowo. ☼

Prasa pożarnicza wycinki z historii



Polscy strażacy jeszcze w czasie zaborów podejmowali starania, by czasopisma dla straży pożarnych ukazywały się w języku polskim. Patrząc na wiele ówczesnych inicjatyw, wyraźnie widzimy, jak wielką była w środowisku potrzeba tworzenia periodyku, który nie tylko przekazywałby wiedzę, lecz także spajał polskie pożarnictwo w jeden organizm.



Elżbieta Przyłuska

Zabory rozczłonkowały polskie środowisko pożarnicze, sprawiając, że rozwijało się ono na ziemiach polskich z różną dynamiką. To na tym właśnie gruncie pojawiały się inicjatywy wydawnicze związane z tworzeniem prasy pożarniczej dla polskich strażaków.

W 1860 r. w zaborze austriackim, w Krakowie, powstało Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń „Floranka”, a w 1865 r. utworzono w ochotniczą straż ogniową. Kolejne powstały w Tarnowie (1865), Wadowicach (1867), Bochni (1869) i Żywcu (1871). W 1875 r. powołano Krajowy Związek Ochotniczych Straży Pożarnych w Królestwie Galicji i Lodomerii z Wielkim Księstwem Krakowskim. Związek prowadził działalność instruktorską i wydawniczą. W 1905 r. funkcjonowało na terenie Galicji 1466 jednostek straży pożarnej, które skupiały blisko 54 tys. strażaków.

Z niemalym trudem formowało się polskie pożarnictwo w zaborze pruskim, gdyż Polacy stanowili tu zdecydowaną mniejszość. W 1863 r. we Wrocławiu powstało Stowarzyszenie Związków Straży Pożarnych i Ratowniczych oraz Gmin Śląska i Poznańskiego, zaś w 1880 r. Związek Straży Pożarnych Prus Zachodnich. W 1894 r., po 31 latach wspólnej działalności, straż z Wielkopolski odłączyły się, tworząc własny związek. W 1919 r. utworzone zostały na pruskim Śląsku dwie prowincje: Dolny i Górny Śląsk. W ślad za tym w 1928 r. Górnośląski Prowincjalny Związek Straży Pożarnych z siedzibą w Raciborzu odłączył się od związku głównego we Wrocławiu.

Rzecz polskiego ruchu pożarniczego najwolniej przebiegał w zaborze rosyjskim. Zryw niepodległościowy z lat 1830-1831 i 1863-1864 wzmogły rusyfikację. Dopiero w 1864 r. powstała Ochotnicza Straż Pożarna w Kaliszu, a następnie w Częstochowie (1871), Turku, Zgierzu i Kielcach (1874). W 1900 r. na terenie Królestwa Polskiego działało już 128 jednostek straży.

Pierwsze czasopismo pożarnicze w Europie – „Die Deutsche Feuerwehrzeitung” zaczęło się ukazywać w Niemczech w 1860 r. Docierało ono, tak jak kilka innych tytułów – m.in. „Zeitung für Feuerlöschwesen”, „Österreichische Feuerwehrzei-

tung”, „Die Feuerwehr” czy „Pożarnoe delo” i „Pożarnyj kalendar”, na teren ziem polskich pod zaborami. Brakowało jednak strażackiego specjalistycznego tytułu w języku polskim. Podejmowano więc oddolne próby, mniej lub bardziej udane, stworzenia takiego periodyku. Trzeba jednak podkreślić, że twórcy prasy pożarniczej w różnych zaborach musieli borykać się zarówno z problemami finansowymi, jak i zakazami zaborców i cenzurą, były więc to próby nierzadko skazane na porażkę.

Rocznik „Strażak”

Pierwsza inicjatywa pojawiła się w 1882 r. w Piotrkowie Trybunalskim (zabór rosyjski), gdzie wydano rocznik „Strażak”. Niestety ukazały się tylko dwa jego tomy. Z założenia miał on charakter głównie informacyjny i edukacyjny – założycielom zależało, by informował społeczeństwo o działaniach ochotniczych straży pożarnych, a z kolei samych strażaków o nowinkach technicznych i nowych metodach gaśniczych. Istotną część rocznika stanowiły także przedruki instrukcji i regulaminów. Na terenie Królestwa Polskiego działało wówczas 27 ochotniczych straży ogniowych, zaś 15 kolejnych było w trakcie organizacji. Pojawiła się w nim także część prewencyjna – zamieszczono artykuł o sposobach zabezpieczenia przeciwpożarowego osiedli, fragmenty przepisów o sposobach zwalczania pożarów i przepisy o obowiązku ubezpieczenia od ognia. Nie bez przyczyny w pierwszym wydaniu rocznika przywołano życiorys Andrzeja Frycza Modrzewskiego i fragmenty jego myśli o ochronie przeciwpożarowej. Ten renesansowy myśliciel i publicysta może być uznany za świeckiego patrona prewentystów.

„Przewodnik Pożarniczy Związek”

Krajowy Związek Ochotniczych Straży Pożarnych już w 1883 r. we Lwowie podjął decyzję o wydawaniu czasopisma pożarniczego. Jego pierwszy numer ukazał się jednak dopiero w 1887 r. i zasięgiem objął Galicję i Lodomerię oraz Wielkie

Księstwo Krakowskie. Pomocy w tym przedsięwzięciu wydawniczym udzielił książę Adam Sapieha, który był ówczesnym prezesem Związku.

Czasopismo miało przekazywać wiedzę z zakresu techniki pożarniczej, opisywać narzędzia i przyrządy ratownicze, a także publikować uchwały i zarządzenia, sprawozdania ze zjazdów oraz opisy większych pożarów. Pismo rozwijało się i przechodziło zmiany, m.in. z czasem zwiększyła się liczba artykułów fachowych, zmieniła winieta, a współpracę z redakcją podejmowali nowi autorzy. W 1896 r. pismo zmieniło nazwę na „Przewodnik Pożarniczy”. Finalnie ukazywało się do 1923 r.

„Przyjaciół Straży Pożarnej”

W 1894 r. w Jarosławiu pojawił się kolejny strażacki tytuł – miesięcznik „Przyjaciel Straży Pożarnej”. Inicjatorem powstania tego pisma był Antoni Szczerbowski, ówczesny naczelnik Miejskiej Straży Pożarnej w Jarosławiu. Apelowal on, by strażacy dzielili się swoimi poglądami i pomysłami na usprawnienie działań prowadzonych przez strażę pożarną. Żył nadzieję, że myśli zapisane na łamach miesięcznika przełożą się na faktyczną poprawę stanu organizacji pożarnictwa w Galicji. Apel Szczerbowskiego znalazł swój wyraz w swoistej ankiecie, którą na łamach pisma skierował do czytelników. Zapytał on mianowicie: „W czym tkwi to złe, które tamuje postęp organizacji towarzystw strażackich w kraju i co czynić należy, aby złemu zapobiedz?”. Od lipca do grudnia 1894 r. wydanych zostało sześć numerów czasopisma. Niestety, przestało się ono ukazywać z powodu kłopotów finansowych.

„Strażak”

Wszystkie powstające tytuły prasowe prędzej czy później napotykały różne trudności, najczęściej finansowe, i zwykle po jakimś czasie przestawały się ukazywać. Dość długo przetrwało warszawskie czasopismo „Strażak” – wydawane od 1901 r. do wybuchu I wojny światowej. Było ono prywatną inicjatywą Emila Karola Szyllera-Rackiego i Leopolda Bogumiła Szyllera-Rackiego, którzy borykali się także z cenzurą rosyjską.

„Strażak” początkowo ukazywał się jako dodatek do innych czasopism. Drugi numer wydano jako dodatek do „Kolarza,

Wioslarza i Łyżwiarza”, a trzeci – do „Warszawskiej Gazety Sportowej”. Dopiero od lutego 1903 r. pismo zaczęło ukazywać się samodzielnie. Redaktorem naczelnym od kwietnia 1903 r. do września 1913 r. był Emil Karol Szyller-Racki, który w wyniku działania cenzury carskiej w październiku 1913 r. został zdjęty z tej funkcji.

Trudności, z którymi borykała się redakcja, mimo pierwotnych założeń, by najwięcej artykułów dotyczyło kwestii fachowych, wpływały na jakość merytoryczną zawartości pisma, zbyt dużą liczbę przedruków z zagranicznych czasopism i przypadkowość w dobrze autorów. I faktycznie, można było „Strażakowi” wiele pod tym względem zarzucić, niemniej jednak odegrał on niezwykle istotną rolę informacyjną i społeczną.

Redaktor Szyller-Racki dążył przy tym do powołania w Królestwie Polskim związku ochotniczych straży ogniowych i uczynienia ze „Strażaka” jego organu prasowego. Te wysiłki spełzły jednak na niczym. Czasopismo zostało ostro skrytykowane na Zjeździe Delegatów Straży Ogniowych w sierpniu 1912 r. we Włocławku. Znany już wówczas dobrze strażakom inż. Józef Tuliszkowski twierdził, że „[...] zawiera bezcelową, niepocząszczającą, zebraną z gazet codziennych kronikę pożarów z całego ubiegłego tygodnia. Co najgorsze jest zależne od fabrykantów, subwencjonujących wydawnictwo swymi ogłoszeniami. Wydawnictwo przeznaczone dla straży należy gruntownie zreformować, należy je uniezależnić od postronnych wpływów. Przeznaczone ono być powinno dla pouczenia i doskonalenia straży”.

I tym sposobem dotarliśmy do 1912 r., kiedy to w grudniu w Warszawie zaczął ukazywać się „Przegląd Po-

żarniczy”, kolportowany głównie na terenie Królestwa Polskiego. Było to czasopismo, które jego twórcy – Józef Tuliszkowski i Bolesław Chomicz – mieli ambicję uczynić profesjonalnym pismem strażackim. „Strażak” nadal jednak był wydawany przez Emila Karola Szyllera-Rackiego. Nawiązał on współpracę z „Przewodnikiem Pożarniczym”, dzięki czemu na łamach obu tych pism wzajemnie przedrukowywano publikowane w nich artykuły o tematyce technicznej, taktycznej bądź szkoleniowej.

OD WYDAWCY (1883, NR 2)

[...] Nieraz słyszeć się dawało, że sprężyną, która stale zapełnia szeregi Straży jest prosta zabawka w hełmy i mundury. Tak bywa w Straży nieraz, zaczyna się od zabawki, kończy się na zapomnieniu własnego życia dla ratowania cudzego. Czołem przed taką zabawką. – Prawda, że nie łatwo w Straży utrzymać zapał zawsze w jednakowej młodości, lub utrzymać na wodzy krewkie duchy, aby bez skargi pilnowały się granic ustawą wytkniętych; nie tak łatwo do ognia się zebrać w komplecie, a potem zniknąć bez śladu... Wszystko to prawda; lecz wobec dążenia kraju całego do pracy utrwalającej, ale pracy jawnej, otwartej, która nie unika, ale szuka promieni światła, prawie z dniem każdym przyrasta w sercu otucha, że Straże Ochot. nie przebrzmia u nas, jako chwilowe zjawisko, lecz ochraniać będą stale i wytrwale [...].



Okładka rocznika „Strażak” na 1883 r., drugiego i zarazem ostatniego tomu

DZIESIĘCIORO PRZYKAZAŃ PRAWEGO STRAŻAKA („STRAŻAK”, NR 1, S. 4)

Oprócz przykazań Boskich i Kościelnych jakie każdy człowiek znać i wypełniać powinien, ciebie, prawy strażaku, obowiązują jeszcze przykazania szczególne:

1-e przykazanie. Nie wyobrażaj sobie, że samo przywdzianie

munduru strażackiego czyni cię już strażakiem, albowiem jeśli paradujesz w mundurze, a zaniedbujesz swoich obowiązków, jesteś jak wilk w owczej skórze.

2-e przykazanie. Będziesz zawsze trzeźwy. Trzeźwość jest podstawą wszystkich cnót jakie prawego strażaka zdobić powinny. Bo zważ, bracie, czy zdołasz cośkolwiek wykonać porządnie, gdy głowa zaprószone? Zważ dalej, że tu idzie o mienie, a częstokroć o życie bliźniego twego lub o twoje własne. [...]

3-e przykazanie. Bądź czujny – czujny jak kogut w nocy, jak żóraw [pisow. oryg.] w dzień. Zawsze gotów biedz na ratunek, kędy trąbka zawoła. Śpij jak zając a bądź mężny jako lew. [...]



Pierwszy numer warszawskiego miesięcznika „Strażak”, który ukazywał się dość długo jak na ówczesne warunki (1901-1914) i pełnił ważną funkcję informacyjną oraz społeczną

„Strażactwo Zawodowe”

Na zebraniu delegatów zawodowych straży pożarnych korpusu inspekcyjnego Głównego Związku Straży Pożarnych RP i zarządów miast, który odbył się w grudniu 1926 r., powołano Związek Zawodowych Oficerów Straży Pożarnych. Inicjatorem jego powstania był nie kto inny, jak inż. Józef Tuliszkowski. Początkowo Związek miał swoją stałą rubrykę w „Przeglądzie Pożarniczym”. Ambicje inż. Tuliszkowskiego sięgały jednak dalej. Od grudnia 1929 r. „Strażactwo Zawodowe” stało się odrębnym miesięcznikiem. Poruszano na jego łamach kwestie dotyczące techniki pożarniczej, taktyki, opisywano pożary i udzielano fachowych porad. Kadra oficerska miała stać się dzięki temu fortpocztą strażackiego profesjonalizmu. Periodyk ukazywał się w latach 1927-1932 i nastawiony był głównie na popularyzację zagadnień merytorycznych i specjalistycznych.

„Gazeta Strażacka”

W okresie międzywojennym władze Głównego Związku Straży Pożarnych RP publikowały „Przegląd Pożarniczy” i „Gazetę Strażacką”, zaś w regionach ukazywała się lokalna prasa pożarnicza, m.in. „Wiadomości Pożarnicze” na terenie woj. krakowskiego, „Walka z Pożarem” we Lwowie, „Strażak Śląski” czy „Lubelska Gazeta Strażacka”. Po reorganizacji Głównego Związku Straży Pożarnych RP, w styczniu 1931 r., zaczęła się ukazywać „Gazeta Strażacka”. Wieloletnim redaktorem naczelnym pisma był Stanisław Pągowski.

Czasopismo poruszało na swoich łamach kwestie związane z życiem środowiska pożarniczego – publikowało sprawoz-

dania ze zjazdów, zawodów, szkoleń i różnych imprez strażackich, choć drukowane były również artykuły z zakresu techniki i taktyki pożarniczej, zapobiegania pożarom czy szkoleń. Szczególne miejsce zajmowała tematyka wychowawcza, propagowanie sportu i działalności kulturalnej wśród strażaków.

Od 1935 r. dodatek do „Gazety Strażackiej” stanowiła „Gazetka Samarytanek”. Efektem działań podejmowanych przez władze związkowe i propagowania ratownictwa wśród kobiet było powstawanie żeńskich drużyn pożarniczych. „Gazeta Samarytanek” miała wspierać je w rozwoju, być polem wymiany doświadczeń i wzmacniać więź z ruchem strażackim. Wydawanie dodatku zakończono w 1938 r., wraz z przekształceniem drużyn samarytańsko-pożarniczych w żeńską służbę pożarniczą.

Zbliżała się wojna, która nieuchronnie przerwała ukazywanie się tych tytułów. Dopiero w 1947 r. wznowiono wydawanie „Przeglądu Pożarniczego”, a w 1948 r. także „Gazety Strażackiej”. ☞

LITERATURA

- [1] W. Piławski, *Polska prasa pożarnicza 1882-2002*, Warszawa 2022.
- [2] Dariusz Falecki, *Zarys rozwoju ochrony przeciwpożarowej w Polsce do 1992 r.*, [w:] „Czerwona Księga Pożarów”, t. 1, P. Guzowski, D. Wróblewski, D. Małozieć (red.), Józefów 2016, s. 35-70.

Elżbieta Przyłuska jest filologiem polskim i historykiem sztuki, przez 10 lat była redaktorem „Przeglądu Pożarniczego”



rocznie Rb. 3, dla straży ogniowych—2 rb. 50 k. W Poznańskim—7 mk, w Galicji—8 kor.

Redaktor i Wydawca **Bolesław Chomicz**. ☐ ☐ Kierownik działu technicznego inż. **J. Tuliszkowski**.

☐ ☐ ☐ Redaktor przyjmuje osobiście od 9 — 10 godziny codziennie oraz w piątki od 3 — 4 godz. ☐ ☐ ☐

Wychodzi w połowie każdego miesiąca. Cena numeru kop. 30, dla straży ogniowych — kop. 25.

☐ ☐ Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Krakowskie Przedmieście Nr. 7. — telefon 60-02. ☐ ☐

Od Redakcji.

Składamy przed Wami, Szanowni Czytelnicy, pierwszy numer „PRZEGLĄDU POŻARNICZEGO”...Stajemy do pracy ciężkiej, lecz wdzięcznej, bo służymy gorliwie pragniemy sprawom krajowym, z pożarnictwem związanym.

Nie będziemy tu wchodzić w szczegóły objaśniające powołanie do życia „PRZEGLĄDU POŻARNICZEGO”, protokół bowiem obrad na Zjeździe Włocławskim, podany w tym numerze, dostatecznie tę sprawę wyświecili (str. 18).

Obowiązkiem natomiast naszym jest zaznaczyć, że pismo to postawimy na należytych poziomach fachowym, że dołożymy wszelkich starań, aby mogło ono wszechstronnie obsługiwać nasze straże ochotnicze, obrazując ich życie, stan obecny, organizację i rozwój dalszy. To będzie naszym celem i myślą przewodnią, otuchę zaś do pracy dalszej czerpać będziemy z tej życzliwości, poparcia i uznania, na jakie spodziewamy się zasłużyć.

Niech każdy z Czytelników, któremu są drogą zadania pożarnictwa krajowego, osądzi bez-

stronnie, czyśmy, dając ten numer pierwszy, potrafili wejść na tory działalności pożytecznej, a dla kraju wprost nieodzownej.

Pismo nasze doskonaląc będziemy ustawicznie, podnosząc jego aktualność, jego treść i sprawność, dając rady i wskazówki, czuwając nad rozwojem straży ogniowych i odzwierciedlając ich potrzeby najszerzej.

Od Was tedy, Szanowni Czytelnicy, więcej niż od Redakcji, zależeć będzie, aby „PRZEGLĄD POŻARNICZY” stał się u nas pismem poczytnym, aby się rozwijał i doznał należytego poparcia.

Idziemy z temi słowy do Was w nadziei, że w usiłowaniach swych odosobnieni nie zostaniemy, że dążenia nasze spoimy w jeden łańcuch żywy, który będzie łącznikiem wspólnym drogiej nam wszystkim sprawy—pożarnictwa krajowego. A więc — crescat, floreat!!

REDAKCJA

MUSEUM
N 3608
POWICZU

Pragnąc Pismu naszemu zapewnić współudział sił fachowych, pozyskaliśmy dotychczas szereg wybitniejszych jednostek, na niwie pożarnictwa krajowego pracujących.

Współpracownictwo swe przyrzekli

w dziale straży ogniowych:

pp. E. Balcer z Łowicza, Jakób Kon z Częstochowy, Dr. Stanisław Stanisławski z Łowicza, Józef Troetzer z Pruszkowa, inż. Józef Tuliszkowski z Warszawy,

w dziale budownictwa ogniotrwałego:

pp. inż. Bronisław Rogowski, inż. Kazimierz Rutkowski, inż. Władysław Zaleski,

w dziale ubezpieczeń od ognia i spraw ekonomicznych, z tym działem związanych:

pp. Zygmunt Ćmity, Ludomir Grendyszyński, Jan Hoser, I. S. Stoiński.

Prosimy jednakże uprzejmie tych z pośród Sz. Sz. Czytelników naszych, z którymi nie zdążyliśmy jeszcze przed wydaniem numeru pierwszego porozumieć się listownie w celu zapewnienia sobie ich współpracownictwa, o łaskawe zadeklarowanie swego współudziału w pracy wszystkim nam wspólnej i o nadsyłanie bądź korespondencji, bądź artykułów fachowych.

Ramię do ramienia!

Hej, ramię do ramienia! oto hasło, pod którym łączą się wszelkie zrzeszenia ludzi dobrej woli. Gdzież wyraźniej, gdzież widoczniej ukazuje się ten wszelkich zrzeszeń początek i istota, jeśli nie przy *gaszeniu pożaru?*

Oto żywioł przemożny, bogom z nieba jakoby wykradziony, źródło światła, ciepła i ruchu, błogosławiony i dobroczynny, dopóki w karbach trzymamy, nagle się z nich wylał i hula, szaleje, grozi, zagraża życiu i mieniu ludzkiemu.

Wobec tej grozy stoi człowiek bezsilny, czarnej oddający się rozpacz. Ogień przerzuca się dalej, klęska przeradza się w katastrofę!

Aliści na okrzyk: „gore” zbiegła się ludzi cała gromada; ktoś wziął na się dowództwo i krzyknął: do szeregu! Wtedy staje ramię przy ramieniu, idą kębły rąk łańcuchem, wspierają się drabiny, walą topory i bosaki.

Całą gromadę ogarnia jakiś wściekły zapal, w piersiach rodzi się jakiś mus ofiarny, co woła „w ogień pójdę”!

I nieraz towarzysze pracy muszą siłą powstrzymać szermierza, którego w walce z ognistym ży-

wiolem ogarnął ogień wewnętrzny: święty ogień miłości bliźniego...

Niech raz i drugi poczują się tak ludzie ramię przy ramieniu, niech raz chociażby wionie na nich żar ognisty — a oto już gotowa drużyna ochotnicza, której trzeba tylko wodza, organizacji i ćwiczenia.

Powstała ona z tej oczywistości, że do opanowania wyzwolonego żywiołu trzeba zrzeszenia, czyli ludzi umiejętnych i stale w pogotowiu będących.

Ale to nie wszystko. Opanowano pożar, nie puszczono ognia dalej poza to, co już zdążył ogarnąć. Jednak zdążył już strawić niemal: nie-raz całe mienie człowieka!

Trzeba ratować pogorzelca, woła znów nakaz chrześcijańskiej miłości, a zresztą i interes własny: dziś jemu — jutro nam!

„Hej, ramię do ramienia!” Oto ciągną wozy ze „zsypaną”, oto jadą plugi na pole sąsiada, oto już zebrano dobrowolną składkę: Niesiem ci, bracie, sąsiedzkie *odszkodowanie*; i ty dasz takie, gdy się odbudujesz, a „który z nas pogorzeje”.

Oto pierwszy związek asekuracji ogniowej, pod formą wzajemnej pomocy, forma do dziś dnia w wielu okolicach tradycyjnie pielęgnowana.

Doświadczenie późniejsze udoskonalilo tę pomoc przez umiejętną organizację. Zrozumiano, że „składkę” trzeba płacić z góry, stale i zawczasu, aby odszkodowanie należyte było zawsze w pogotowiu. Tak powstają nowe zrzeszenia: *towarzystwa ubezpieczeń od ognia*. Jest to nowe wcielenie zasady, że klęsce żywiołowej trzeba zapobiegać siłami zbiorowymi, zorganizowanymi umiejętnie, bo: łączność tworzy siłę.

Jeszcze trochę dalej. Oto już, dzięki umiejętnie zorganizowanym zrzeszeniom, możemy przystąpić do *odbudowy* spalonych chat i budowli.

Zesła się gromada i radzi: — „Oj, dobrze by było z cegły, a pod dachówką, a odsunąć od sąsiada, a obsadzić drzewami. Jużby nam ogień nie był tak straszny... Cóż kiedy koszt większy i o materiał trudniej i o majstra nielatwo...”

— Hej, ramię do ramienia! Sam nie poradysz — to probuj całą gromadą. Już ludzie o tem myślą, już się dla tego celu zrzeszyli, już obmyślają, jak wyrobić pożyczki na *budowę ogniotrwałę*, jak się nauczyć budowania tańszego a lepszego.

Zawsze więc to samo: potrzeba zrzeszenia, potrzeba organizacji i potrzeba umiejętności. Ta idea zatacza kręgi coraz dalsze.

Pszczegółnie zrzeszenia łączą się w związki i zjazdy, organizacja doskonali się i komplikuje coraz bardziej, umiejętności zaś i postępowi fachowemu — granic nie ma.

Te bardziej złożone zrzeszenia i związki, bardziej skomplikowane organizacje, coraz dalej idący postęp i umiejętność, — wszystko to wymaga nowych form, nowych życia zbiorowego wyrazów i organów.

Jednym z takich wyrazów są czasopisma specjalne, danej grupie zrzeszeń poświęcone. Są one jednoczącym te wszystkie organizacje łącznikiem tej szerszej zbiorowości uświadomionym mózgiem

Takim organem dla zrzeszeń, mających na celu albo zapobieganie pożarom, albo walkę z ogniem, albo wynagradzanie szkód przez pożar rządowych, pragnie być pismo niniejsze.

I ono wszakże nie może być przedsięwzięciem jednostkowym. Jeżeli ma szersze swe zadanie spełniać należycie, muszą się dokoła niego skupić poszczególne zrzeszenia przeciwpożarowe i ci wszyscy, co swą pracę w tych zrzeszeniach traktują jako służbę publiczną na użytek całego społeczeństwa.

Tylko tym sposobem „Przegląd Pożarniczy” może stać na wysokości zadania; tylko tą drogą będzie on wyrazem potrzeb i pragnień naszych działaczy na polu pożarnictwa.

Wzywamy ich wszystkich do wspólnej z nami pracy.

Hej, ramię do ramienia!

Ludomir Grendyszyński.

Praca spółem.

Pożar, jako wypadek losowy, niszczący dorobek i mienie ludzkie, jest oczywiście żywiołem wrogiem, z którym należy walczyć.

Walka ta w zaraniu kultury ludzkiej była niełatwa i ograniczała się do środków prymitywnych. Z rozwojem cywilizacji i z chwilą urozmaicenia oraz udoskonalenia środków technicznych, walka ta przybrała formy specjalnego ratownictwa, a w dobie obecnej niema społeczeństwa o wyższym poziomie, któreby nie posiadało organizacji fachowych, powołanych do skutecznego zwalczania pożarów. Jednocześnie wzrósł i uległ szerszemu rozgałęzieniu cały arsenał aparatów i środków — bądź doraźnych, bądź zapobiegawczych — mających na celu zabezpieczyć dorobek ludzki od strat, wyrządzonych przez niszczycielski żywioł.

Pragniemy na tem miejscu szkicowo narysować główne środki zaradcze, jakimi posługuje się ogół w obronie przed pożarami.

Środki te dadzą się podzielić na trzy kategorie: doraźne, zapobiegawcze i ekonomiczne.

Straż ogniowa, jako organizacja społeczna, utrzymywana bądź przez organy administracji miejskiej i gminnej, bądź powołana do życia przez inicjatywę prywatną, ma doniosłe i szlachetne zadanie: dążąc z szybkością i skuteczną pomocą bliżniemu na miano prawdziwych bohaterów, a zasługi te bywają nie mniejsze od tych, jakie położył nie jeden na polu walki mieczem i krwią.

Na tem polega doniosłość etyczna straży ogniowej. Narażając życie własne w obronie mienia współobywateli, walcząc z rozpasanym żywiołem i tamując jego rozwój, strażacy zaiste zasługują na miano prawdziwych bohaterów, a zasługi te bywają nie mniejsze od tych, jakie położył nie jeden na polu walki mieczem i krwią.

O ileż godniejszemu szacunku i uznania są zasługi położone przez ludzi, co wstępują w szeregi nie z musu, nie dla chleba i zarobku, lecz z dobrej woli własnej i poczucia obowiązku obywatelskiego!

Straż ochotnicza jest tedy przede wszystkim placówką obywatelską, mającą szerszy podkład

etyczny; jest to organizacja, gorliwie służbie społecznej oddana i dobrobyt społeczeństwa na celu mająca.

Szeregowiec straży — jak również jej zwierzchnik — prawdziwą chlubę społeczeństwa stanowić powinni, dając mu bowiem ochronę, nic wzamian, okrom uznania i słusznego poparcia nie żądają.

To też ogół nasz, być może jak żaden inny, umie oceniać tę pracę bezinteresowną i należytem uznaniem strażę ochotniczą darzyć.

Zbyteczna rozwodzić się nad tem dłużej, dość wskazać na nasze strażę ochotnicze, które bez względu na cały szereg warunków niesprzyających, zdołały w kraju naszym osiągnąć znacznego rozwoju, a byt swój li tylko ofiarności współobywateli zawdzięczają.

Obok wszakże straży ogniowych, jako czynnika doraźnego, występującego do walki z pożarem już wynikłym, niepodobna pominąć milczeniem dwóch innych czynników, powołanych również do zabezpieczenia od skutków klęski ogniowej.

Budownictwo ogniotrwałe, jako czynnik prewencyjny (zapobiegawczy), odgrywa pokątną rolę w walce z pożarami, zwłaszcza zbiorowymi.

Jak o skuteczności walki z epidemią decyduje stan sanitarny pewnej miejscowości, tak również w walce z pożarami masowymi skuteczną tamę stanowi zadowolający stan budownictwa. Niestety kraj nasz w zakresie racjonalnego budownictwa pozostawia wiele do życzenia; — stale, chronicznie z roku na rok powtarzające się pożary masowe nawiedzają nasze drobne miasta, osady i wsie, tworząc z rozległych siedzib ludzkich kupy zgliszcz i popiołu. Zachód Europy tej klęski już nie zna: racjonalny, na dobrze pomyślanych przepisach i ustawach oparty, system budownictwa zażegnał raz na zawsze zmore czystych i fatalnych w swych skutkach pożarów masowych.

Mur, blacha, cement, dachówka i papa usunęły drzewo, gont i słomę, a wskutek tego pożary masowe stały się zjawiskiem niezmiernie rzadkiem. Innemi słowy, stan sanitarny stanął na należytem poziomie kulturalnym — epidemia niema gruntu pod sobą, skądby mogła czerpać soki odżywcze, ani obiektów, któreby mogła ogarniać.

U nas natomiast — ze smutkiem stwierdzić należy — system budownictwa na całym obszarze Kraju znajduje się wprost w stanie oplakanym.

Kto bliżej miał możność oglądać nasze drobne miasta, osady i wsie, ten nie może zaprzeczyć, że są one jedynym łatwopalnym stożem; niech bowiem wybuchnie w jednej dzielnicy lub w jednym końcu wsi pożar, a zachodzi poważna obawa, że pastwą płomieni padnie cała osada. Tak też często bywa.

Racjonalny więc system budownictwa, jako środek higieny pożarnej, jako czynnik prewencyjny, zajmować winien poważne miejsce, jeśli ma chodzić o pozytywną i na racjonalnym podkładzie opartą walkę z klęską ogniową.

Wreszcie nie możemy nie powiedzieć słów kilku o trzecim czynniku, również do walki z klęską ogniową powołanym. Takim czynnikiem natury ekonomicznej jest niezawodnie ubezpieczenie, czyli — innemi słowy zabezpieczenie się od strat — jakie spowodować może wypadek losowy — ogień.

Straż ogniowa gasi pożar, budownictwo ogniowo-trwale zapobiega szerzeniu się ognia, hamując jego rozwój, ubezpieczenie natomiast zapewnia poszkodowanemu zwrot strat materialnych.

Widzimy więc, że te trzy — napozór rozbieżne — czynniki mają jedno na celu: obronę mienia ludzkiego od wrogiego żywiołu, jakim jest pożar. Te trzy odłamy pracy kulturalnej wiążą się bezpośrednio w jedną całość i stanowiące powinny pilną troskę każdego społeczeństwa, tem pilniejszą i ważną, że bez wzajemnego współdziałania tych środków nigdy nie da się osiągnąć pożądanego skutku.

Systematyczna akcja przeciwpożarowa winna rozwijać się wszechstronnie, opierając działalność swoją na tych środkach, o jakich mówiliśmy wyżej.

„Przegląd Pożarniczy” ma właśnie za zadanie ująć tę akcję w jedną całość, przedstawić jej doniosłość, zobrazować obecny stan pożarnictwa w Kraju i wytknąć te tory, po jakich ma ono kroczyć w przyszłości. Życie, organizacja, rozwój i działalność ochotniczych straży ogniowych znajdzie na łamach pisma naszego należyte oświetlenie. Walka z klęską ogniową jest to walka o lepszy dobrobyt kraju, jest to praca, zmierzająca ku podniesieniu kultury.

Nawołując czytelników do wspólnej a drogiej nam wszystkim pracy, będziemy dokładali wspólnie wszelkich starań, aby pracę tę uczynić owocną, i pole ugiem dotychczas leżące w złoisty lan przeistoczyć.

Pamiętajmy stale, że gmach z pojedynczych cegiełek się składa. — kładźmy je tedy spójnie i ochotczo, a wiążmy mocno. Lepsze bowiem „jutro” od pracy mozolnej i pozytywnej zależy.

Bolesław Chomicz.

Jakiem być winno pismo fachowe strażackie?

Aby odpowiedzieć na to, musimy rzucić krytycznym okiem na stan naszych organizacji strażackich, na ich wyposażenie, na skład taboru, na sprawność i wyćwiczenie oddziałów, na wyrobienie fachowe kierowników i na środki materialne instytucji.

Ocena ta niestety pomyślnie wypaść nie może.

Na 500 przeszło towarzystw zaledwie może 10% straży posiada odpowiednie do miejscowych warunków wyekwipowanie i dobre nowe narzędzia ogniowe.

Znaczna większość organizujących się straży otrzymała i otrzymuje w spadku prastare sikawki muzealnych typów, dawno znajdujące się w stanie dobrze zasłużonego spoczynku w urzędach gminnych i magistrackich.

Bardzo wiele nowo powstających straży, nie mając do kogo się zwrócić o fachową poradę, nabywa najczęściej narzędzia za duże, za ciężkie i drogie, kierując się niefachową i często wadliwą poradą sprzedawców, w których interesie eży sprzedaż większych i droższych wyrobów.

Jednostki, nieraz nie poza sprzedażą narzędzi nie mające z pożarnictwem wspólnego, opracowały w gabinetach swych różnego rodzaju projekty narzędzi, nie licząc się wcale z potrzebami straży, co teraz szkodliwie się odbija na rozwoju straży, paraliżując sprawność zastępów na pożarach, opóźniając ich przybycie do ognia i zniechęcając członków do służby przy tych nieudolnych i niepraktycznych maszynach. Takiemi są sikawki, zamocowane na stałe do dwukółowego wozu z dyszlem dla koni, wozy armatniej konstrukcji, kilkudziesięciopudowe pompy, zasilające beczki, ciężkie przedpotopowe drabiny i t. p. poronione pomysły.

Dobór i kompletowanie taboru zwykle odbywa się nie systematycznie, lecz dorywczo, bez odpowiednio opracowanego planu.

Nowo obrany zarząd, nowy naczelnik często krytycznie usposobieni są do swych poprzedników i sprawiają według swego „widzimi się” narzędzia wręcz nieraz odmienne i różniące się budową i kalibrem od istniejących. Jeden z naczelników jest za małymi sikawkami, drugi znów za dużymi, ten dąży do taboru ciężkiego — do pakownych wozów, nie licząc się nieraz z dostawą koni, drugi znów wpada w ostateczność, zmniejszając ilość wozów i beczek ze szkodą nieraz dla bojowej gotowości straży.

Często się nam zdarzało spotykać przy remizach strażackich drabiny i wozy swoistej konstrukcji, gnijące nieraz na dworze, bo okazały się za ciężkie i niemożliwe do uruchomienia.

Widzieliśmy w jednej straży zamiast drabiny specjalnie zamówione schody dębowe szerokie, o wygodnych stopniach, ważące ze 30 pudów! Kosztowały one około 80 rb. i sięgały tylko do dachu przyziemnego budynku.

A w wielu okolicach topornicy zmuszeni są dźwigać 5-funtowe topory lub liny całowej grubości!

Nieodpowiedni do warunków miejscowych i niekompletny tabor, za ciężkie, niezgrabne, trudne do obsługi narzędzia zniechęcająco wpływają na członków straży. Za późne przygotowanie do ognia, brak często przy akcji ratunkowej najniezbędniejszych narzędzi — paraliżują sprawność straży. Ogół mieszkańców się zniechęca do instytucji, składki coraz skąpiej napływają.

Sprawność straży nie tylko zależy od stanu taboru, ale i od kierunku i umiejętności prowadzenia ćwiczeń.

W bardzo wielu instytucjach te ćwiczenia redukują się do ćwiczeń rzędowych, zwrotów i marszów; ta jednostajność nawet w najgorętszych strażakach może wkońcu ostudzić zapał.

W niektórych strażach naczelnicy, nie obeznani fachowo, stwarzają różnego rodzaju egzerccje i ruchy przy narzędziach, często zbyteczne i bezcelowe. Trudno się i dziwić temu; bo skąd wobec odosobnienia straży, braku do ostatnich czasów wszelkiej prawie łączności, bez odpowiednich instrukcji i podręczników, mogli kierownicy czerpać wskazówki fachowe?

Nieumiejętnie prowadzone a nieraz dorywczo, niesystematycznie urządzane ćwiczenia ujemnie wpływają na wyrobienie ochotników, osłabiając ducha karność, sprowadzając pewien zamęt, a nawet zanik poczucia obowiązkowości

i terminowości, tych najważniejszych czynników, podstawkażdejorganizacji, tembardziej strażackiej.

Srodki materialne znacznej większości towarzystw straży ogniowych są w opłakanym stanie.

Niewiele straży naszych, i tylko po miastach większych gubernjalnych lub fabrycznych (Łódź, Częstochowa, Włocławek), może wykazać w swym budżecie, w rubryce stałych dochodów, zasiłki poważne ze strony miast.

Z wyjątkiem tych może kilkunastu instytucji reszta straży żyje anormalnie, czerpiąc dochody z ofiarności publicznej, urządzając, na wzór towarzystw dobroczynności, koncerty, przedstawienia amatorskie, loterie fantowe i t. d. I muszę tego środka się imać, nie mając innych dochodów.

Składki bowiem członkowskie zwykle zawdają. Niewielki procent tak zw. czynnych członków „ofiarodawców“ opłaca regularnie swe składki. Większość wszakże tych protektorów, szczególnie w mniejszych miasteczkach i osadach, dzięki różnym i nieraz wprost blahym powodom, nie poczuwa się całkiem do wypełniania najprostszych, najmniej nawet uciążliwych obowiązków.

Najmniejszy powód, malej wagi nieporozumienie wystarczy dla takiej obrażonej powagi małomiasteczkowej do wykreślenia się z listy członków, do tego, że zaprzestanie zasilać szczupłą kasę towarzystwa.

Do ujemnych i trudnych warunków naszych straży należy brak koni i trudność dostania ich, szczególnie podczas pożarów.

Wiele jeszcze, bardzo wiele jest stron, ujemnie wpływających na czynność straży, paraliżujących największą energię i najlepsze chęci członków i kierowników.

Podnoszenie i należyte oświetlenie tych kwestji winno wziąć na siebie fachowe pismo, poświęcone strażom pożarnym.

W zadaniach takiego pisma leżeć powinna nie tylko krytyka, nie tylko wyszukiwanie tych wszystkich wad i ułomności oraz słabych stron naszego pożarnictwa w Kraju, ale i wszechstronne badanie przyczyn i powodów, jakie się składają na wywołanie tego lub innego ujemnego zjawiska, podawanie sposobów usuwania niepożądanych objawów, przedstawianie planu naprawy stosunków, ulepszeń fachowych, udzielanie rad i wskazówek technicznych, przytaczanie dodatnich przykładów z życia naszych straży oraz objawów godnych naśladowania.

Pismo strażackie powinno być łącznikiem, zespalałym wszystkie nasze organizacje strażackie, nieść im pomoc i radę w potrzebie i dążyć do tego drogą, jaką jej program przyjęty w założeniu wskazuje.

Program taki, w krótkich zarysach skreślony, winien być następujący:

1. Śledzenie postępu techniki i taktyki pożarnej zagranicą i w kraju i podawanie wszystkiego, co jest godne uwagi, w odpowiednim oświetleniu i w możliwym zastosowaniu do potrzeb naszych organizacji.

2. Wyjaśnienia nowych rozporządzeń, nadania przywilejów i stosunku władz do organizacji strażackich, wyciągi z rozporządzeń rady Ces. Tow. Straży Ogniowych, w zastosowaniu do naszych straży, uchwał komisji przeciwpożarowej, niedawno

uformowanej w Izbie państwowej, mających dla naszego Kraju znaczenie.

3. Opracowanie kilku typów najodpowiedniejszych do naszych warunków taborów strażackich dla miast większych i mniejszych, dla osad i wsi, z modyfikacjami i zmianami, stosownie do różnych warunków miejscowych, jak stanu dróg, ilości zbiorników wody i t. p.

4. Krytyka racjonalna istniejących różnych rodzajów narzędzi ogniowych i wskazywanie najpraktyczniejszych i najlepszych przyrządów dla naszych warunków. Podawanie rysunków technicznych, według których straż sam mógłby u siebie wykonywać niektóre narzędzia.

5. Udzielanie praktycznych rad i wskazówek co do pielęgnowania narzędzi taboru i naprawy uszkodzeń.

6. Ułatwianie w sporządzaniu planów i kosztorysów różnych rodzajów zabudowań strażackich, jak remizy, szopy, sali do ćwiczeń i przedstawień, wspinalni i gimnastyki, oraz podawanie normalnych typów tych budynków z odpowiednimi wyjaśnieniami.

7. Podawanie schematów ćwiczeń strażackich rzędowych i z narzędziami, ze wskazaniem szczegółowem ustawiania się przy nich członków, z rysunkami i planikami; podawanie ćwiczeń zbiorowych jednego korpusu i kilku straży z konnymi i pieszymi taborami.

8. Wydawanie tablic ćwiczeń gimnastycznych zbiorowych i pojedynczych, jako potrzebnych i niezbędnych do ćwiczeń specjalnie strażackich, wskazanych w powyższym punkcie.

9. Nauka o sygnalizacji elektrycznej, akustycznej (dzwonki, trąbki, gwizdawkki) oraz optycznej (gestykulacja, sygnały chorągiewkami i latarniami) i t. p.

10. Taktyka pożarna: gaszenie różnego rodzaju pożarów. Akcja straży. Ratownictwo. Zadania taktyczne i ich rozwiązanie.

11. Najnowsze metody i sposoby gaszenia ognia za pomocą nowych chemikalji i przyrządów.

12. Podawanie sposobów i praktycznych rad, wziętych z życia niektórych naszych straży, w sprawach dostarczania koni, specjalnych zarządzeń zapewniających pomoc ludności i t. p.

13. Udzielanie rad, dotyczących się zdobywania środków pieniężnych dla straży, wynajdywania różnych źródeł dochodowości.

Technika urządzania igrzysk i zabaw ludowych i różnego rodzaju widowisk i loterii fantowych, zapewniających instytucjom strażackim stałe dochody.

14. Wprowadzenie działu zapytań i odpowiedzi dla wszystkich prenumeratorów, interesujących się różnego rodzaju sprawami, z pożarnictwem ściśle lub bezpośrednio związanymi.

15. Otworzenie łam pisma dla fachowej, racjonalnej, nie kierowanej złą wolą lub osobistymi widokami, polemiki w sprawach technicznych i taktycznych pożarnictwa.

16. Wyświetlanie stosunków wzajemnych Towarzystw Straży Ogniowych, pomocy fachowej i technicznej jednych straży dla innych. Szczegółowe obmyślenie planów zjazdów wspólnych, ćwiczeń, konkursów strażackich. Sprawozdanie szczegółowe z tych objawów zbiorowego życia

naszych straży, jednocześnie szczegółowe wyniki konkursów, drukowanie protokołów ważniejszych zjazdów.

17. Opisy pożarów, w gaszeniu których straże uczestniczyły, z dokładnym podaniem całokształtu akcji ratunkowej, z załączeniem planików odręcznych zabudowań, z oznaczeniem stanowisk narzędzi i oddziałów, kierunku wiatru, zbiorników wody i t. p.

18. Sprawozdanie z działalności straży ogniowych, z uwzględnieniem, o ile można historii rozwoju, z opisem więcej szczegółowym wykwalifikowania i uzbrojenia straży, z podaniem szczegółów akcji i udziału straży w gaszeniu większych pożarów.

19. Krótkie opisy większych uroczystości i jubileuszów, bez zbytecznego rozwodzenia się o całe przebiegi obchodów, a szczególnie bez przytaczania in extenso szablonowych nieraz mów i toastów.

20. Wprowadzenie działu beletrystyki: utworów na scenę, nowel, obrazków, pieśni i wierszy z tak mało dotychczas wyzyskanego a tak wdziecznego tematu z życia strażackiego.

Wiele jeszcze różnych spraw, nasz ogół strażacki obchodzących, winno znaleźć swe miejsce i odpowiednie oświetlenie w takim piśmie.

Winno ono wysoko nieść pochodnię oświaty, nacechowane godnością strażacką, li tylko interesom drużyn pożarnych służyć, krzepko dzierżąc w prawicy sztandar z wypisanem naszym hasłem: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“.

J. Tuliszkowski.

Uprasza się Sz. Prenumeratorów o przesłanie krytycznych danych i propozycji co do wprowadzenia nowych działów naszego pisma, gwoździu pożytkowi ogólnemu służących.

J. T.

Na dobie.

Przyszła późna jesień, a za nią kroczy zima, podczas których, wraz z zakończeniem okresu ćwiczeń, w bardzo wielu naszych strażach zamiera wszelkie prawie życie.

Tak być nie powinno.

Długie właśnie wieczory zimowe są najodpowiedniejszą porą do nauczania czynnych członków teorii pożarnictwa.

Urządzanie pogadek, odczytów z demonstracją latarni czarnoksiężskiej, wywoływanie dyskusji na temat kwestji, nasz ogół strażacki obchodzących, może znacznie ożywić nasze organizacje, rozszerzyć widnokrąg myśli członków, wpływając na ich wyrobienie techniczne i fachowe, przyczyniając się przytem do większego zbliżenia się wzajemnego.

Aby ułatwić tę pracę kierownikom straży, rozpoczynamy systematyczne drukowanie całego szeregu artykułów technicznych i niezbędnych wiadomości dla każdego strażaka.

Najważniejsze narzędzie ogniowe—Sikawka¹⁾.

Niezawodnym środkiem, głównym sprzymierzeńcem działania straży, walczącej z ogniem, jest woda.

Dlaczego woda, wylana wprost z wiadra na palący się przedmiot, nie działa tak skutecznie, jak silny strumień z prądownicy?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy rzec parę słów o samym ogniu.

Palenie się jest to chemiczne łączenie się składników węgla, jakie są w każdym łatwopalnym materiale, z tlenem powietrza.

Łączenie się tlenu z innymi ciałami bywa trojakie:

1) *Powolne*: naprz. rdzewienie żelaza, śniedzenie miedzi i t. p.

2) *Gwałtowne*: naprz. wybuch prochu lub dynamitu, dający silny ogień i mnóstwo rozsadzających wszystko gazów.

3) *Szybkie* t. j. palenie się, przy którym powstaje płomień, dym i gorąco.

Najważniejszym czynnikiem jest właśnie podniesienie się temperatury.

Żaden przedmiot nie zapali się, dopóki nie będzie nagrany do odpowiedniego stopnia temperatury. Dach gontowy, drewniane ściany budynku, a szczególnie łatwopalna strzecha, zapalają się nieraz od żaru, bijącego od pobliskiego ognia, jak tylko się nagrzeją do stopnia temperatury palenia się.

Palący się przedmiot nie tylko jest rozżarzony na powierzchni swej. Gorąco przenika i do wnętrza jego i rozgrzewając przygotowuje tem samem bliższe warstwy do wchłonięcia tlenu, czyli zapalenia się.

Woda więc wylana z wiadra na palący się przedmiot na chwilę tylko zbija ogień, nagromadzony bowiem zapas gorąca zaraz weźmie górę, mała ilość wody w jednej chwili wyparuje i znów płomień strzeli, a nieraz przy dużym żarze wybuchnie z daleko większą siłą.

Przyczyną tego wybuchu jest zjawisko, które nosi miano „*dysocjacji*“. Od bardzo dużego gorąca para wodna podlega rozłożeniu na swe składowe części: na *wodór* — gaz bardzo palny i na *tlen* — gaz, w którym wszystko silnie się pali. Tlen wtedy łączy się z wodorem *gwałtownie* i zjawisku temu towarzyszy wybuch.

Dlatego skierowanie prądu wodnego z sikawki na bardzo krótko na rozżarzony ośrodek pożaru wywołuje zamiast gaszenia nieraz wprost przeciwny skutek i podnieca siłę ognia.

Aby działanie wody na ogień było skuteczne, należy palący się przedmiot uderzyć silnym prądem wody i prądownicę przetrzymać skierowaną w jedno miejsce dopóty, dopóki ono nie będzie dostatecznie polane wodą i całkiem nie zczernieje.

Woda wtedy nie tylko zbija z wierzchu płomień, nie tylko pokryje daną powierzchnię warstwą oddzielającą ją od tlenu powietrza, ale

¹⁾ Ponieważ każdy strażak winien dobrze znać urządzenie sikawki, jej części składowe, jej działanie, powinien umieć wyszukać przyczyny jej zepsucia się i naprawić je, zaczynamy więc od opisu sikawki, uwzględniając fizyczne zjawiska, towarzyszące działaniu sikawki przy ogniu.

i cząstki wody przez silny nacisk przenikną w głąb przez pory t. j. przez drobne szparki, jakie się znajdują w drzewie, słomie, papierze i innych palnych ciałach i, tam wyparowując, oziębi przedmiot, tak iż w tem miejscu ogień nie prędko wybuchnie.

Silny ten prąd wytwarza sikawka.

Dla lepszego przedstawienia działania sikawki, zacząć musimy od prostego zjawiska działania pojedynczego cylindra z tłokiem.



Rys. 1.

Rys. 1 przedstawia przekrój takiego cylindra ze szczelnie dopasowanym tłokiem, obsadzonym na drążku tłokowym. W dnie cylindra jest otwór zamykany zaworem (klapa) (z_2), podnoszącym się tylko do góry; pod nim przyłutowana z dołu rura ssąca (r_s). Z boku cylindra u dołu jest też otwór z zaworem (z_1) otwierającym się na zewnątrz.

Wstawiamy rurkę ssącą do wody i ciągniemy za drążek tłok do góry (jak strzałka). Tłok pociągnie za sobą przez rurkę ssącą wodę, która otworzy zawór (z_2) i wypełni całą przestrzeń pod tłokiem. Drugi zaś zawór (z_1) pozostanie zamknięty szczelnie i przez cały czas ruchu tłoka do góry woda przez boczny otwór się nie wyleje.

Jaka jest przyczyna tego zjawiska? Ciśnienie powietrza.

Atmosfera czyli powietrze otacza naszą ziemię warstwą, kilkadziesiąt (30 — 40) mil wynoszącą i, jak wszystko co podlega przyciąganiu ziemi, ma swoją wagę, która wywiera ciśnienie około $19\frac{1}{2}$ funtów na 1 cal. kwadratowy. Człowiek, np. dźwiga na sobie ciężar słupa powietrza, wynoszący do 1000 pudów.

Powietrze wywiera nacisk i na wodę, którą wtłacza do cylindra t. j. tam, gdzie ciśnienie przez podnoszenie tłoka znacznie się zmniejszyło. Wskutek tej różnicy ciśnień wewnątrz cylindra i na zewnątrz zawór (z_1) pozostanie zamknięty. Po dojściu tłoka do górnego końca cylindra zaczynamy drążek tłokowy pchać w dół.

Wtedy wywołany zjawisko odmienne.

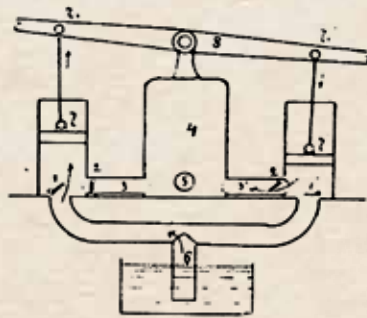
(Rys. 2) Tłok wywiera nacisk na wodę, która zamknie zawór (z_2) i otworzy, przez cięższy ciśnienie zewnętrzne powietrza, zawór (z_1); przez ten otwór cała ilość jej wyleje się z cylindra.

Może w zbyt obszerne wyjaśnienie wdalem się z dziedziny elementarnej fizyki, ale sądzę, że każdy strażak winien je znać, bo cała praca sikawki na tem się opiera. A bardzo często zdarzają się omyłki u ludzi, nie znających tych zasadniczych podstaw.

Znam parę faktów, naprz. obsalowanie około 20 — 25 łokci (w paru kawałkach) węża ssącego do hydroforu (pompy na kołach, służącej do napełniania beczek). To nastąpiło wskutek nieznamomości fizycznych praw natury.

Przecież warstwa powietrza dokoła ziemi jest ograniczona, a tem samem waga jego i stopień ciśnienia mają swoje granice. Teoretyczna głębokość ssania wynosi około 34 stóp angielskich przy zupełnej próżni pod tłokiem. Ale tej w praktyce nie możemy osiągnąć. Przy pomocy najlepszych pomp i sikawek nie jesteśmy w stanie głębiej sięgnąć nad 25, najwyżej 26 stóp. A zatem długość węża ssącego wynosić może najwyżej 26 — 27 stóp (licząc w tem $1\frac{1}{2}$ — 2 stopy na na poziomą część węża).

Dla lepszego poznania działania sikawki, podajemy tu rysunek (3), przedstawiający pierwszy tego narzędzia, jaki jeszcze daje się widzieć w niektórych naszych taborach. (Rysunek 3)



Rys. 3.

Sikawka ta składa się z dwóch takich samych, jak wyżej opisane, cylindrów z tłokami, poruszanych przez drążki tłokowe za pomocą dźwigni (8), do których, jak i tłoków, są te drążki przymocowane za pomocą przegubów (szarnirów) (7, 7).

Rury ssące obu cylindrów są włączone w jedną (6) zanurzoną do wody. Boczne zaś otwory cylindrów są połączone rurami tłoczącymi (3, 3) ze zbiornikiem (4), który nazywa się inaczej dzwon powietrzny lub w skróceniu powietrznik.

Przy pompowaniu t. j. przy poruszaniu dźwigni wahadłowo, obserwujemy następujące zjawiska w sikawce.

Przy podnoszeniu lewego końca dźwigni (8) do góry tłok, podnosząc się, ssie wodę do lewego cylindra, przyczem zawór ssący (1) jego jest otwarty, zaś zawór tłoczący (2) pozostanie zamknięty przez nacisk wody z powietrznika. W prawym zaś cylindrze widzimy zjawisko odmienne. Tłok ciśnie na wodę, którą uprzednio wessał i zamknąwszy zawór ssący, otwiera zawór tłoczący i wtłacza wodę do powietrznika.

Przez to pompowanie woda porcjami wchodzi do powietrznika i poziom jej stopniowo się tam podnosi, ściskając coraz więcej znajdujące się tam nad wodą powietrze.

Z fizyki wiemy, że wszelkie gazy, jak również i powietrze, są prężne t. j. dają się ścisnąć jak sprężyna. Im więcej je ściskamy, tem mniejszą zajmują objętość, ale silniej się starają wyprężyć.

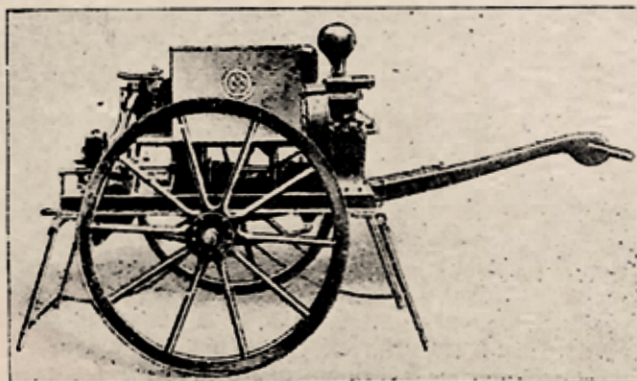
Wskutek tej prężności zgęszczone w zbiorniku powietrze ciśnię na wodę i ta z powietrznika przez otwór tłoczący (5) wychodzi równym strumieniem. Aby powiększyć ciśnienie i doprowadzić wodę opodal sikawki, zaopatrujemy otwór tłoczący w parciały wąż, zakończony prądownicą ze zwężonym pyszczkiem. Przez ten pyszczek woda się wyciska silnym zwartym i stałym prądem o znacznej długości.

(c. d. n.)

Inż. J. Tuliszkowski.

Nowe pompy motorowe.

Konstruowane przez firmę *De Dion Bouton* nowe pompy motorowe, będące połączeniem silnika benzynowego z pompą odśrodkową, mogą mieć wielostronne zastosowanie. Szczególniej nadają się one do zaopatrywania w wodę osobno stojących budowli lub całego szeregu budynków, do zasilania instalacji nawadniających oraz do bezpośredniego polewania większych obszarów.



Dzięki ich stosunkowo nieznacznym rozmiarom pompy te, jeżeli nie jest potrzebna instalacja stała, z łatwością mogą być umieszczane na taczach lub na wózku ręcznym.

Nowe zastosowanie pompy te znalazły przy wyrobie win we Francji, gdzie służą one do przewlekania win z jednego zbiornika do drugiego, co dotychczas mogło być skutecznie tylko przy pomocy zwyczajnych pomp tłokowych, ze względu na to, że nadmierna szybkość pomp rotacyjnych szkodliwie wpływała na jakość przerabianego wina.

Silnik skonstruowany jest w ten sposób, że w braku benzyny może być również dobrze pędzony gazem. Jest on zaopatrzony w zawory. Automatyczne zapalenie w typach do 8 H. P. (o sile 8 koni) odbywa się za pomocą baterji i aparatu indukcyjnego, a przy silnikach o większej sprawności — elektromagnesem o wysokim napięciu.

Puszczanie silnika w ruch odbywa się w motorach o niższej sprawności za pomocą korby lub koła rozpędowego. Do ochładzania silnika służy rozgałęziony przewód, umieszczony przy rurze wylotowej pompy. Bardzo prostej konstruk-

cji sprzęgło służy do połączenia wału silnika z osią pompy.

Pożyteczna wysokość działania powyższych pomp dochodzi naogół do 9 m. Pompy o sile nie wyższej nad 8 H. P. można ustawiać na taczach, silniejsze pompy wymagają umocowania na wózku dwukółowym ręcznym z dyszlem.

Drogą zmiany szybkości obrotowej (za pomocą systemu przekładni), można w szerokich granicach regulować sprawność pompy. Prócz tego, silnik tej pompy można zużytkować do pędzenia najrozmaitszych maszyn.

Specjalnie ciekawą dla nas będzie przedstawiona na figurze obok sikawka strażacka, osadzona na przygotowanej z żelaza profilowego ramie wózka dwukółowego o średnicy kół 1,20 m. Do kierowania wózka służy dyszel, który może być odejmowany.

Dzięki swej nieznacznnej wadze, sikawka ta jest bardzo poręczna; dwóch ludzi z łatwością może ją przenosić i puszczać w ruch.

O sile 8 koni sikawka ogniowa z jednocy-lindrowym silnikiem posiada:

wydajność na godzinę	15 m. ³
czyli 21 wiadro na minutę.	
ciśnienie strumienia	6 atm.
pionową odlegl. czyli wys. strum.	18 m.
poziomą odległość	„ do 50 m.
Średnicę otworów ssących	65 m (2½ cala).
„ „ wylotowych	45 m (1¾ cala).

Zygmunt Kmity.

Zadanie z taktyki pożarnej.

W walce z tak groźnym żywiołem, jakim jest ogień, bardzo ważną rolę gra umiejętne użycie sił, jakimi straż rozporządza.

Od planu akcji ratunkowej, od trafnego ustalenia sikawek i szczególnie od dobrze obranego stanowiska prądowników, od zapewnienia stałego dostarczania wody zależy zwycięstwo nad wrogiem i opanowanie pożaru.

Bezplanowe natomiat natarcie na ogień, przenoszenie z miejsca na miejsce sikawek, rozporządzenia dorywcze, przeczucanie oddziałami opóźniają znacznie całą akcję a nieraz mogą się przyczynić do sromotnej klęski, kiedy ogień tam, gdzie mógł być opanowany, bezkarnie grasuje i rozszerza się, trawiąc budynek za budynkiem, zmuszając posterunki strażackie do opuszczania stanowisk i cofania się nieraz bezładnego.

Aby uniknąć tego rodzaju niepowodzeń, każda straż powinna mieć zastępy dobrze wyćwiczone, sprawne i karne.

Praktycznymi są bardzo ćwiczenia zbiorowe wszystkich oddziałów, podczas których straż rozwiązuje podane przez komendanta zadania.

On naprz. wskazuje dom niby objęty płomieniem i kierunek wiatru i zarządza całą akcją: wskazuje, gdzie mają stanąć sikawki, posyła w odpowiednie miejsce ratowników i toporników, zarządza dowóz wody.

Poskończonych ćwiczeniach komendant winien odbyć konferencję w gronie rady sztabowej (z po-

mocnikami, dowódcami oddziałowymi, ich pomocnikami i dziesiętnikami) a nawet całej drużyny, wyjaśniając powody, dla których dał to lub inne rozporządzenie, powołując i zachęcając do krytyki i uwag swoich podkomendnych i do debatów.

Z tego rodzaju ćwiczeń dla fachowego wyrobienia straży może płynąć duży pożytek.

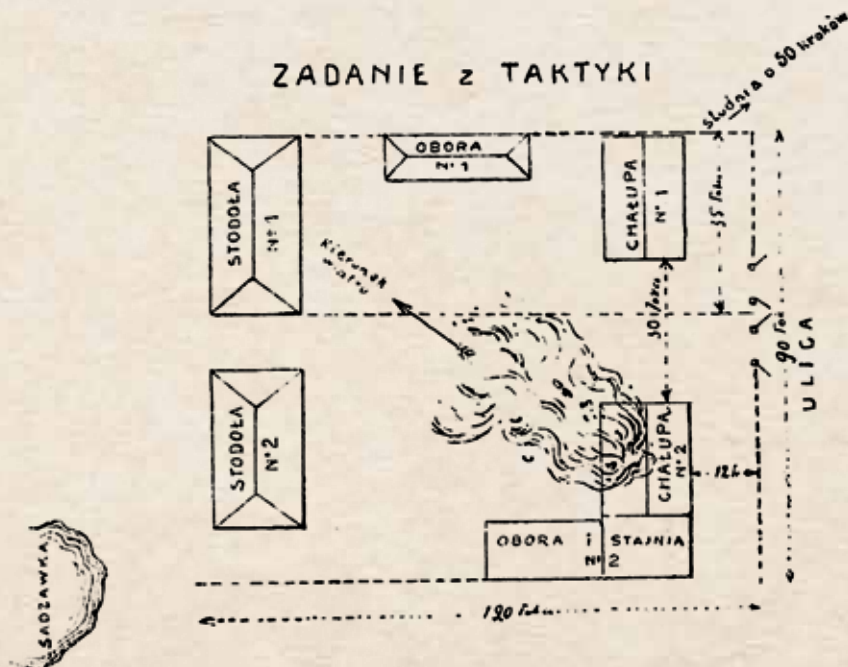
Aby zachęcić ogół Szanownych Kolegów po toporze do tych ćwiczeń taktycznych, będziemy podawać od czasu do czasu zadania z taktyki pożarnej, prosząc o ich rozwiązywanie.

Wszystkie dachy na budynkach są słomiane a ściany drewniane; płoty chróściane. Sadszawka jest głęboka 2—5 łokci, a w studni poziom wody 9 łokci pod powierzchnią; woda w studni nie jest obfita. Ludność wioski mało kulturalna, na pomoc liczyć strażacy bardzo nie mogą, najwyżej przy pompowaniu.

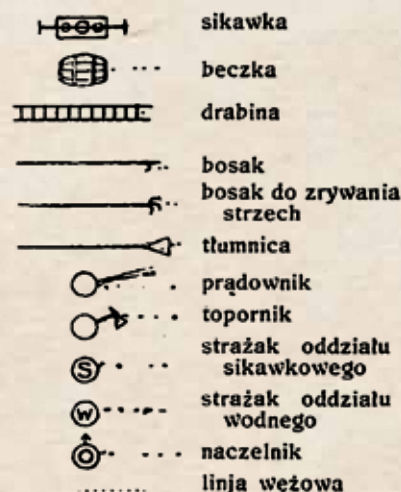
Jak straż ma przystąpić do działania?

Uprasza się o zdjęcie kopii z rysunku N^o 1 i za pomocą znaków odpowiednich (Rys. 2) o pokazanie całej akcji, t. j. ustawienie sikawki, poprowadzenie

ZADANIE z TAKTYKI



Rysunek 1.



Rysunek 2.

Lepsze rozwiązania będą podawane w następnych numerach Przeglądu, a umiejętne i trafne rozwiązanie trzech zadań w ciągu roku da prawo straży do rocznej prenumeraty egzemplarza Przeglądu Pożarniczego na rok następny.

Zadanie, które w niniejszym numerze wyobraża rysunek tu załączony, jest następujące.

Dwie zagrody wiejskie sąsiadują, podług planu jak wyżej.

Zapaliła się chalupa N^o 2 w nocy. Ludzie i inwentarz są w budynkach jeszcze. Straż pobliska przybyła wcześniej, tak że tylko 1/2 dachu gontowego stoi w płomieniach.

Straż przybyła w sile 16 ludzi z komendantem, z tych 6-ciu toporników i ratowników, reszta z sikawkowego i wodnego oddziału.

Tabor straży składa się:

1) z 5 1/2-calowej przenośnej sikawki, zaopatrzonej w 4 węże tłoczące po 20 łok. długie i wąsające w 2 kawałkach po 6 łokci.

2) drabiny przystawnej.

3) 5 bosaków zwyczajnych i 2-ch do strzech.

4) 6 tłumnic.

5) 12 kubelków parcianych.

6) 2 beczek po 20 wiader pojemności, z czerpakami.

lini węzowej, dostarczenie wody, rozstawienie strażaków i t. p.

Pożądany przytem krótki opis zarządzenia akcji z podaniem motywów.

J. T.

Redakcja uprasza szanownych członków straży i czytelników, interesujących się pożarnictwem, o łaskawe nadsyłanie jej zadań taktycznych jak również szkiców z natury pogorzeliisk, z oznaczeniem akcji ratunkowej na tych pożarach, w których gaszeniu straż uczestniczyła.

„PRZEGLĄD POŻARNICZY“ powinien znajdować się w ręku nie tylko jednostek, do szeregów strażackich należących, lecz również i w ręku członków Zarządów straży poszczególnych. Zyska na tem przede wszystkim popularyzacja potrzeb i zadań pożarnictwa krajowego, nadto zaś „PRZEGLĄD POŻARNICZY“ stanie się poczytnym pismem fachowym.

Latarnia projekcyjna w straży.

Latarnia projekcyjna jest to przyrząd optyczny, służący do rzucania na ekran t. zw. obrazów świetlnych. Minęły te czasy, kiedy przyrząd ten pod nazwą „latarni czarnoksięskiej” lub „magicznej” był uważany tylko za zabawkę dla dzieci, dziś bowiem, odpowiednio zbudowany, ma wielkie znaczenie, jako pomoc naukowa przy odczytach i wykładach. Najdokładniejsze opisy i najudatnione określenia nie wystarczają często do wywołania w umyśle ludzkim należytego pojęcia o omawianym przedmiocie, a działając tylko na wyobraźnię, doprowadzić mogą nieraz raczej do wręcz fałszywego przedstawienia sobie danego przedmiotu, kiedy tymczasem rysunek odrazu skierowuje wyobraźnię na drogę właściwą. Dlatego też za granicą oddawna oceniono wartość latarni projekcyjnej, jako środka naukowego o wielkiem znaczeniu, a u nas również od lat kilku datuje się jej stosowanie przy wykładach szkolnych, odczytach publicznych i wszelkiego rodzaju pogadankach.

Rozpowszechnienie latarni, zwłaszcza za granicą, jest powodem ciągłego postępu w kierunku ulepszeń latarni, zasada jednak budowy pozostaje oczywiście ta sama. Wprowadzane ulepszenia podnoszą wartość latarni, a wartość ta zależy w pierwszym rzędzie od dobroci szkieł, znajdujących się w latarni, a więc t. zw. obiektywu, dającego na ekranie obraz zwiększony z przedmiotów czy też odpowiednich rysunków lub fotografii, umieszczonych za jego głównem ogniskiem, następnie zależy od t. zw. kondensatora czyli soczewki oświetlającej, która skupia promienie, idące od odpowiedniego źródła światła, wreszcie zależy od siły tego ostatniego. Najlepszym w danym razie światłem jest elektryczne, nie wszędzie jednak da się ono zastosować, ponieważ poza Warszawą, na prowincji, w kilku tylko miastach i osadach fabrycznych są urządzenia elektryczne, z którychby można korzystać. Pozostaje więc kontentowanie się innymi źródłami światła, a zatem bądź światłem acetylenowem¹⁾, bądź spirytusowem. Ramy i cel artykułu niniejszego nie pozwalają mi wdawać się w szczegóły budowy zarówno latarni, jak i odpowiednich lamp, jako źródeł światła. Aby dać jednak choć ogólne pojęcie o latarni projekcyjnej i jej urządzeniu, ograniczę się do podania rysunku jednej z ostatnich w tej dziedzinie nowości, przyrządu projekcyjnego, pod wieloma względami bardzo praktycznego. Przyrząd składa się ze skrzyni, mieszczącej w sobie latarnię projekcyjną i wszystkie niezbędne do niej dodatki, a więc lampę, pulpit dla prelegenta z latarką, rzucającą światło na niego (P), pudełko (K) z przezroczami, t. j. fotografiami na szkle, wreszcie ekran składany. Sama skrzynia, po jej otwarciu, staje się, jak to widać na rysunku, podsta-

wą do latarni, a znajdujące się w miejscach odpowiednich śrubki i haczyki (m) służą do umieszczenia wyżej wspomnianych dodatków, prócz ekranu, który ustawia się w pewnej odległości od przyrządu. Przyrządem tym, o ile wiemy, posługuje się u nas kilka kółek rolniczych przy urządzaniu odczytów, bądź stałych wykładów z dziedziny rolnictwa.

Latarnia projekcyjna spełnia zadanie użyteczne w różnych dziedzinach zarówno nauki jak i jej zastosowań do życia praktycznego. W jaki sposób mogłaby być spożytkowana i w dziedzinie pożarnictwa, pragnąłbym poruszyć w tem miejscu.

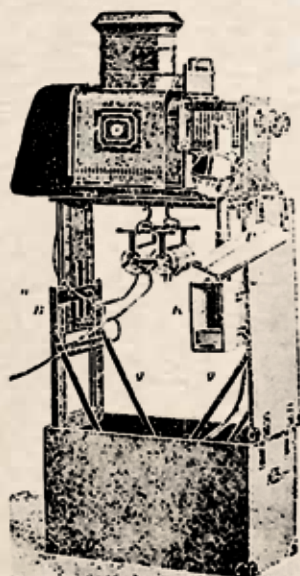
Liczne u nas towarzystwa straży ogniowych ochotniczych mają swoje budynki, bądź nowe, specjalnie w tym celu budowane z urządzonemi w nich zwykle scenkami teatralnemi, bądź w najgorszym razie szopy, służące do przechowywania narzędzi ogniowych. Budynki takie doskonale się

również nadają do urządzania w nich wykładów z dziedziny pożarnictwa, wykładów, któreby uzupełniały, bądź poprzedzały ćwiczenia praktyczne, latarnia zaś projekcyjna z odpowiedniami przezroczami umożliwiałaby zapoznanie się członków straży z najnowszymi zdobyczami w tej dziedzinie, czy to z zakresu nowych sikawek i innych narzędzi do gaszenia ognia, czy też z zakresu przyrządów do ratowania i t. p. — Na ostatnim zjeździe straży ogniowych ochotniczych, który miał miejsce w sierpniu r. b. we Włocławku, poruszona

była myśl zapoznawania strażaków z konstrukcją sikawek za pomocą modeli szklanych. Myśl, rzecz oczywista, w zasadzie doskonała, użycie jednak w tym wypadku latarni projekcyjnej z odpowiedniami przezroczami, wyjaśniającemi konstrukcję zarówno sikawki jak i jej części poszczególnych, wydaje się bardziej wskazanem, model bowiem, jako rzecz drobną, trudno demonstrować większej liczbie widzów, kiedy tymczasem rzucane za pomocą latarni na ekran ilustracje mogą być widziane ze słyszanemi jednocześnie objaśnieniami przez najliczniejsze audytorjum. Poza tem bezpośredniem zadaniem, latarnia, o jakiej mowa, umożliwiała by urządzenie odczytów z rozmaitych gałęzi wiedzy, co prócz przyniesienia korzyści ogólnooświatowych, o jakie nam wszystkim chodzić powinno, mogłoby się stać również pewnego rodzaju źródłem dochodu dla straży ogniowych, a wydatek jednorazowy na latarnię wróciłby się z procentem sowitym.

Ostoja.

¹⁾ Acetylen jest to gaz, palący się płomieniem silnie świecącym, otrzymywany z węglika wapnia (karbidu) pod działaniem wody. (Przypisek Redakcji).



Numer pierwszy „PRZEGLĄDU POŻARNICZEGO” wysyłamy wszystkim osobom interesowanym w kraju, które otrzymały poprzednio prospekt wydawnictwa. Wobec tego uprzejmie prosimy o możliwie rychłe uregulowanie opłaty prenumeracyjnej, w przeciwnym bowiem razie

✎ WYSYŁANIE NUMERÓW DAJSZYCH WSTRZYMYMY. ✎

Numer pierwszy „PRZEGLĄDU POŻARNICZEGO” wydrukowaliśmy w zwiększonej ilości nakładu z uwagi na to, że podany niżej Protokół Zjazdu Włocławskiego obudzi żywe zainteresowanie się w szeregach straży, porusza bowiem wiele kwestji nader żywotnych i ważnych, w związku z organizacją straży pozostających.

Za wskazane więc uważać należy, aby numer ten znajdował się choćby przynajmniej w liczbie kilku egzemplarzy w każdej straży.

Pomijamy już fakt, że pismo odrazu zyska przez to na swej poczytności i użyteczności swoją w sposób widoczny okaże, lecz przedewszystkiem zwracamy uwagę, na uchwały Zjazdu Włocławskiego, na którym poruszono i omówiono wiele spraw doniosłych, powinny przynieść dużą korzyść strażom poszczególnym, zwłaszcza tym, co udziału w Zjeździe nie brały.

* * *

Porządek dzienny

Zjazdu Delegatów Straży Ogniwych Ochotniczych we Włocławku w dniu 18 i 19 sierpnia r. b.

18 sierpnia.

Godz. 10¹/₂ rano: 1) Zagajenie posiedzenia przez Przewodniczącego Komisji Organizacyjnej. 2) Wybór Przewodniczącego na czas Zjazdu Delegatów. 3) Przedstawienie sprawozdania z działalności Komisji Organizacyjnej przez Przewodniczącego tejże Komisji: a) modele sikawek, b) kursa pożarnicze, c) instruktorzy i d) fundusze.

Godz. 2-ga popoł. Wspólny obiad.

Godz. 4-ta popoł. 4) Pogadanka „O narzędziach pożarniczych” — p. Balcer, pomocnik Naczelnika Łowickiej Straży Ogniwych Ochotniczej. 5) Odczytanie i dyskusja nad projektem Ustawy Oddziału Cesarskiego Rosyjskiego T-wa Pożarniczego. 6) Złożenie mandatów przez Komisję Organizacyjną. 7) Wnioski delegatów.

19 sierpnia.

Godz. 9-ta rano: 1) Przedstawienie sprawozdania z działalności Komisji Regulaminowej przez przewodniczącego tejże Komisji. 2) Odczytanie Regulaminu i Instrukcji, wypracowanych przez Komisję Regulaminową.

Godz. 2-ga popoł. Wspólny obiad.

Godz. 4-ta popoł. 3) Pogadanka „O pożarnictwie” — int. Tuliszkowski 4) Dalszy ciąg dyskusji nad Regulaminem i Instrukcją. 5) Omówienie terminu następnego Zjazdu Delegatów lub Drużyn Strażackich. 6) Wybór Komisji Organizacyjnej. 7) Wnioski Delegatów.

Uwaga. Tylko te wnioski będą rozpatrywane na Zjeździe Delegatów, które przed 10-ym sierpnia r. b. będą zakomunikowane Zarządowi Włocławskiej Straży Ogniwych Ochotniczej.

Protokół z posiedzeń Zjazdu.

(w streszczeniu).

Na liście uczestników zapisani są jako delegaci: Wasilowski, Natof, Akajomow z Mińska Maz., Lewoniewicz, Pogonowski, Wegner, Kłoczewski z Łukowa, Gębczyński z Ciechocinka, Gumowski, Pehlke z Sierpc, Czajkowski, Nell z Aleksandrowa, Engelbrecht, Drzewiecki z Jadowa, Wolski, Spaczyński, Chutkiewicz z Radomska, Brzeziński, Tylman z Ozorkowa, Kubicki z Zawiercia, Piotrowski z Grójca, Przyjalkowski, Cywiński z Radomia, Olkusi, Tchorewski z Końskich, Wolski, Lapiński z Płocka, Koczynski, Biesiekierski z Grodziska, Łozowski z Jeżowa, Piątka, Szrajewski z Zwierzynca, Rojewski, Nowiński z Kola, Pydykowski z Rypina, Sniegocki z Pultuska, Matyszewski ze Słupcy, Walkowski z Wielunia, Królikow-

ski, Olszewski z Błonia, Gogolewski z Pultuska, Gryżewski, Kiedrzyński z Łęczycy, Moszczewski z Mławy, Kamiński z Rozpry, Paszewski z Niechcic, Lund, Chomicz, Szylter, Tuliszkowski z Warszawy, Niedziałkowski, Karchowski z Piątki, Tyborowski z Kowala, Kłozowski, Sznajder z Gębina, Brudziec z Radziejowa, Marcinkowski z Nieszawy, Stanisławski, Trawiński, Wasilewski, Balcer z Łowicza, Werner z Brzezin, Sokolowski z Lubienia, Dusio, Pryliński z Dąbrowic, Kon z Częstochowy, Kahl, Dąbrowski z Kutna, Potrzebowski, Nowiński, Sztainer, Grabczewski, Jarnuszkiewicz, Mühsam, Eichenwald, Miller, Śliwierski, Lewiński, Dystylar z Włocławka.

18 Sierpnia 1912 roku.

O godzinie 11¹/₂ rano, po zebraniu się wyżej wymienionych osób w sali Straży Ogniwych Ochotniczej we Włocławku, zajęli miejsca za stołem prezydyjnym członkowie komisji organizacyjnej oraz przedstawiciele władz.

Naczelnik Straży Warszawskiej pułkownik Lund, zaznaczając, że otwiera zjazd z zezwolenia władz rządowych, powitał przybyłych i życzył, by rezultaty obrad zjazdu były owocne dla drogiej wszystkim sprawy pożarnictwa.

Przewodniczący w komisji organizacyjnej, prezes Straży Włocławskiej p. Potrzebowski wita przybyłych tak w imieniu komisji organizacyjnej, jak i Straży Włocławskiej, i zgodnie z 1-m punktem programu prosi o wybranie przewodniczącego obradom zjazdu, wskazując kandydata prezesa Straży Grodzkiej mecenasa Jana Koczynskiego. Wybór następuje przez akklamację: p. Koczynski wybór przyjmuje i, zajmując miejsce za stołem prezydyjnym, wita w swoim imieniu przybyłych, wskazuje na bardzo ważny i poważny zakres obrad, których wyniku oczekuje cały Kraj i przed rozpoczęciem obrad zaprasza na asesorów zebrania p. W. Engelbrechta, naczelnika Straży w Jadowie, Antoniego Sokolowskiego prezesa Straży w Lubieniu, na sekretarza Jakuba Kona członka zarządu Straży w Częstochowie. Na prośbę p. Kona powołany zostaje drugi sekretarz w osobie p. Wacława Gębczyńskiego, naczelnika Straży w Ciechocinku.

Prezes Potrzebowski w krótkich słowach przedstawia obecnym historję zjazdów Włocławskich, wyniki dotychczasowych prac komisji regulaminowej i organizacyjnej, prace komisji nad projektem ustawy oddziałów rejonowych Straży. Ostatni zjazd odbył się we Włocławku w dniu 27 Listopada 1910 roku przy udziale 34 uczestników. Na zjeździe tym zapadły rozmaite uchwały, których wykonanie przekazano wybranej w tym celu komisji organizacyjnej i regulaminowej. Głównem zadaniem tych komisji po za pozostałymi uchwałami jest wypracowanie regulaminu i instrukcji, jednolitej dla wszystkich Straży.

Tak regulamin jak i instrukcja zostały w komisjach wypracowane i w odtłokach rozesłane wszystkim organizacjom Straży. Do zadań poszczególnych Straży należało rozpatrzenie projektu, poczynienie swych zmian i dopełnień w projekcie i zwrócenie projektu do Komisji. Komisje prace swe ukończyły. Zwołany w Listopadzie 1911 roku zjazd z niezależnych od komisji organizacyjnej przyczyn odbyć się nie mógł.

Zabiera głos p. Balcer z Łowicza i referuje zgodnie z programem.

Modele sikawek. Zjazd 1910 roku przyszedł do przekonania, że najracjonalniejsze i najpraktyczniejsze teoretyczne wykłady odbywały się na modelu i zalecił komisji organizacyjnej, aby się porozumiała z fabrykami, dostarczającymi sikawek naszym strażom, by budowały i oddawały strażom po najtańszych cenach modele sikawek, aby te modele znajdowały się w handlu i były dostępne i dla najmniej uposażonych straż.

Wywiązując się z tego zadania, komisja organizacyjna traktowała z fabrykantami Sikawek w kwestji modelu. Koszt takiego modelu, wykonanego w metalu, fabrykanci określili na 100 rubli. Cena ta mija się z daną przez zjazd 1910 roku dyrektowi — aby model był dostępny dla najmniej uposażonych straż.

Komisja organizacyjna wobec tego przysłała do przekonania i stawia wniosek, aby straż zamiast kosztownych modeli nabywały najprostszego typu sikawki kosztem 180 rubli, by na tych sikawkach prowadziły wykłady teoretyczne. Nadto w razie pożaru taka mała sikawka może być użyta do gaszenia pożaru i w tem jest wyższość takiej małej Sikawki nad modelem.

P. Tuliszkowski zdaje sprawę, że, zwiedzając w roku bieżącym muzeum strażackie w Karlsbadzie, widział model sikawki, wykonany ze szkła, i twierdzi stanowczo, że taki model jest lepszy do poglądowej nauki, niż model metalowy, gdyż przez przezroczyste szkło uwidacznia się tłoczenie wody, podnoszenie jej i działalność wentyli. Koszt takiego modelu wynosi około 50 rubli. Wspomniał również p. Tuliszkowski o modelu sikawki firmy „Mery Weathers“, wykonany z tektury, chromolitografowany. Model taki dałoby się i u nas wykonać; przy przygotowaniu większej ilości, koszt nie przeniosłby kilku rubli. Taki model lepiej poczy, niż drobna sikawka nabyta kosztem 180 rubli. Wydatkowanie takiej sumy na model przekracza możność przeważnej ilości straż. Traktować taką sikawkę możemy tylko jako model, przeciw przeważnie ta sikawka dla nauki będzie rozebrana, a więc przy nagłym alarmie do czynności gotowa nie będzie.

P. Karchowski z Piątka przemawia za nabywaniem do wykładów teoretycznych małych sikawek, nie zaś kosztownych modeli.

P. Biesiekierski z Grodziska jest za korzystaniem do nauki z posiadanych w każdej strażi sikawek a nie, dla braku funduszy, za nabywaniem do nauki specjalnych sikawek lub modeli.

P. Balcer z Łowicza popiera wniosek komisji organizacyjnej, czyli nabywania do nauki oraz ewentualnie do pracy przy ogniu małych sikawek, zwraca uwagę, że te nowe sikawki byłyby nowego używanego obecnie typu, strażak więc jednocześnie poznałby nowy typ sikawek.

P. pułkownik Lund zwraca uwagę, że każdy strażak powinien znać i rozumieć taką sikawkę, jaką jego straż posiada, przy jakiej pracuje, uczyć się winien na takim modelu, jakiego typu straż posiada sikawkę, ile więc typów sikawek jest w danej strażi, tyle też modeli do nauki straż posiadać winna, nauczanie zaś na modelu tego typu sikawki, jakiej straż nie posiada, zamiast korzyści wprowadzi tylko zamęt.

Dr. Gumowski z Sierpcia jest za tem, aby z mechanizmem sikawki obznajmiali Straże specjaliści instruktorzy, którzy by strażę objeżdżali.

P. Karchowski z Piątka, bijąc na małą inteligencję przeważnego zespołu straż, jest zdania, że strażak na modelu nie nauczy się konstrukcji i działania sikawki.

P. Nell z Aleksandrowa jest zdania, iż trzeba być fachowym mechanikiem, by zrozumieć, jaka zachodzi funkcja wewnątrz sikawki podczas działania, omówiony zaś przez p. Tuliszkowskiego szklany model, uprzyślednia najmniej inteligentnym, zrozumienie działania sikawki, p. Nell więc proponuje, by zasobniejsze straż, ew. komisja organizacyjna, nabyły szklany model wszystkich 3-ch typów sikawek i wypożyczały je strażom do nauki za pewną opłatą.

P. Przyjalkowski z Radomia przemawia przeciw modelom, które niczego nie nauczają, lecz za instruktorami, którzyby objeżdżali straż i pouczali konstrukcji.

Przewodniczący p. Kopczyński: o zabieraniu głosu li tylko w kwestji modeli sikawek.

P. Biesiekierski z Grodziska jest przeciwny modelom, uważa je za bezcelowe, natomiast uważa za ważniejsze, aby wypracować, jaka sikawka byłaby najwłaściwszą dla naszych straż.

P. Pogonowski z Łukowa uważa, że kwestja modeli jest tylko sprawą formalną — faktycznie ona wykonana nie będzie i straż modeli nabywać nie będą.

P. Tuliszkowski z Warszawy prosi, aby kwestję modeli rozstrzygać, czy mogą być one metalowe (koszt 100 rubli), szklane (koszt 50 rubli) czy też kartonowe (koszt około 5 rubli).

P. Balcer z Łowicza proponuje zamknięcie dyskusji i głosowanie nad rodzajem modeli.

P. Cywiński z Radomia jest zdania, że byłoby ujmą dla nas, gdybyśmy nie dążyli do najracjonalniejszego nauczania strażaków, do tego celu w znacznej mierze doprowadzi posiadanie w strażi modeli, i wypowiada się za kartonowymi modelami.

Różni mówcy są wogóle przeciw modelom, wtedy przewodniczący poddaje pod głosowanie, czy wprowadzać wogóle modele, czy też ich nie wprowadzać.

P. Kon z Częstochowy w kwestji formalnej oponuje przeciw takiemu postawieniu kwestji; kwestja zaprowadzenia modeli zasadniczo uchwalona została w 1910 roku. Komisja przedstawia wnioski, jakie wynalazła, i poleca modele. Nad rodzajem więc tylko modelu zastanawiać się i głosować można. Straż zaś, które są przeciw modelom nie wprowadzą ich u siebie.

Po tem wyjaśnieniu przewodniczący poddaje pod głosowanie wniosek komisji — „nabywanie zamiast modeli małych sikawek“ — który upada; drugi wniosek, jaki wyłonił się w toku obrad, oświadczył przez przewodniczącego, uzupełniony formalnie przez p. Nella z Aleksandrowa brzmi: „Aby ułatwić strażom obznajmianie się z konstrukcją sikawek, poleca się komisji organizacyjnej opracowanie i zamówienie rozkładanych modeli tekturowych wszystkich 3-ch typów (talerzowych, stożkowych i kulowych), reprodukcje tych 3-ch modeli w większej ilości ku uzyskaniu możliwej taniości i sprzedawanie ich strażom po cenie kosztu, oraz nabycie na własność komisji organizacyjnej modeli ze szkła 3-ch typów i wypożyczanie ich za opłatą strażom“. Wniosek ten uchwalony zostaje.

Kursy pożarnicze. P. Balcer z Łowicza, wychodzi z założenia, że naczelnicy i starszyzna powinni dobrze obznajmić się z zasadami pożarnictwa, z teorią, oraz umieć stosować różne środki ratownictwa, znać konstrukcję wszelkich narzędzi, wtedy dopiero mogliby być należnymi kierownikami instytucji i nauczycielami swych podkomendnych. Naczelnicy wprowadzić przez dłuższą praktykę dochodzą do rutyny, popełniają jednak wiele błędów, uniknęliby tego, praca ich byłaby owocniejsza i łatwiejsza, gdyby co pewien czas przechodzili kursa pożarnictwa. Przygotowanie materiałów do urzeczywistnienia kursów pożarniczych zalecił komisji organizacyjnej zjazd 1910 r., wobec powyższego przedstawia zjazdowi następujący projekt kursów pożarniczych.

Cel kursów a). Celem kursów jest, wyćwiczyć i doskonalic Naczelników i dowódców straż egzystujących, jak również i nowo zakładanych. b). Ujednolicić ćwiczenia we wszystkich strażach, tak z narzędziami jako i rzędowe. c). Droga odpowiednich wykładów z dziedziny pożarnictwa obznajmić Naczelników, dowódców i przyszłych instruktorów z różnego rodzaju czynnościami, tak na ćwiczeniach, przed pożarem, podczas pożaru i po pożarze: uświadomić o Towarzystwach strażi ogniowych, ich członkach i obowiązkach.

Sposób urządzenia kursów. 1. Do urządzenia kursów powinien być wybrany komitet z trzech osób, któryby się zajął wyszukaniem odpowiedniej miejscowości, oznaczeniem czasu, zajęciem się wykładami i ćwiczeniami, lub wynaleźć instruktora. 2. Plan zaś, spis przedmiotów wykładowych, sposób wykładania komitet jest obowiązany przedtem przedstawić komisji organizacyjnej do rozpatrzenia, która takowy, — jeżeli zajdzie tego potrzeba, poprawi i zaakceptuje. 3. Komisja organizacyjna deleguje ze swego grona, zdolnego i kompetentnego delegata dla czuwania nad przebiegiem nauki; członek ten jest zarazem przewodniczącym komitetu kursów. Kurs taki trwać winien nie mniej, niż dni pięć po 6 godzin dziennie. 4. Komitet kursów winien wybrać miejscowość, gdzie się znajduje sala i wieża dla ćwiczeń, odpowiednie i w dobrym stanie będące sikawki i przyrządy, które zarazem powinny być wzorem dla strażi innych; — porozumieć się z daną strażą co do zgody z jej strony użyczenia narzędzi i lokalu i załatwienia formalności z władzami. Komitet winien również postarać się o podręczniki dla uczestników. 5. Wezwaniem na kursa, z oznaczeniem miejsc-

wości i czasu, powinna się zająć komisja organizacyjna. 6. W zaproszeniu na kursa należy postawić warunek i obowiązek, że na kursa mogą być wysyłani ludzie zdrowi, poważni, trzeźwi, roztropni w wieku od 24 do 45 lat. 7. Komisja organizacyjna wysyła zgłaszającym się uczestnikom karty legitymacyjne. 8. Przyjęci uczestnicy muszą przybyć na kurs z dniem rozpoczęcia kursów o godzinie oznaczonej i zgłosić się z legitymacją w miejscu gdzie się kurs ma odbyć. Przybywający później nie, będzie uważany za uczestnika, a za zwyczajnego słuchacza. 9. Wikt i nocleg powinien być wspólny w jednym miejscu i na wspólny koszt i pieniądze na utrzymanie winny być złożone, lub przesłane na ręce przewodniczącego kursów zgóry za każdego uczestnika za cały czas. 10. Zakres nauki powinien obejmować — naukę teoretyczną, praktyczną, samostne prowadzenie ćwiczeń, oraz wykładów co do znajomości ustawy normalnej i regulaminów. 11. Podział godzin układu komitet z przewodniczącym. 12. W piątym dniu trwania kursów odbędzie się egzamin, na którym winien być prezes i Naczelnik miejscowej straży, gdzie się odbywają kursa. 13. Zaświadczenie o odbytych kursach wraz ze stopniem przesłane być winno do każdej danej straży, z której członek uczestniczył w kursach, pocztą najpóźniej w dwa dni po ukończeniu kursów. 14. Wszelkie projekty, zmiany i t. d. komitet winien komunikować komisji organizacyjnej, która ma prawo odrzucić je, lub zatwierdzić. 15. Gdyby się okazała trudność wyboru Komitetu kursów, przekazać wybór tegoż komisji organizacyjnej.

Przewodniczący otwiera dyskusję nad tym projektem.

P. Biesiekierski z Grodziska pochwała tak myśl urzędzenia kursów jak i sam projekt i proponuje wybór centralnego, dogodnego dla wszystkich punktu, w którym by się kursa odbywały, proponuje też, aby one odbywały się przy fabryce narzędzi ogólnych, by uczestnicy kursów mogli korzystać z najlepszych i najnowszych narzędzi.

P. pułkownik Lunda uważa, że należy wybrać takie miasto, w którym działa dobrze zorganizowana Straż, posiadająca doskonale narzędzia, odpowiednią wspólnię, i t. d., sądzi jednak, że rzecz ta jest przedwczesną, należy przedewszystkiem uzyskać zatwierdzenie instrukcji, na zasadzie której wykonywane byłoby na tych kursach wszelkie ćwiczenia, więc też obrady nad projektem kursów są zbyt wcześnie.

P. Kon z Częstochowy prosi o obrady nad projektem. W roku bieżącym staraniem Straży Częstochowskiej odbywały się ćwiczenia konkursowe oddziałów strażackich, w roku przyszłym Straż Częstochowska planuje 6-cio dniowe kursy dla naczelników Straży. O ile projekt uchwalony zostanie, Straż Częstochowska posługuje się już będzie tym projektem. Może zachęcona tym projektem i inna straż urządzi u siebie kursy, więc nie należy zwlekać z uchwaleniem tak pożytecznego projektu.

P. Cywiński z Radomia proponuje, aby wszystkich strażaków, bez względu, do jakiego on oddziału należy, obznajmić z wszelkimi narzędziami i ćwiczeniami.

P. pułkownik Lunda obstraja przy niegłosowaniu nad projektem kursów do czasu uchwalenia i zatwierdzenia instrukcji.

P. Balcer z Łowicza nie znajduje żadnej zależności kursów od uchwalenia i zatwierdzenia instrukcji i wnioskuje swój popiera.

P. Biesiekierski z Grodziska jest zdania aby, nim kursy pożarnicze urzeczywistnią się, prowadzić naukę w mniejszym gronie najbliższych sąsiadów.

P. Stanisławski z Łowicza zwraca uwagę, że zebrani wkładają wykonanie różnych projektów i uchwał na komisję organizacyjną, komisja ta nie jest żadną instytucją stałą i niezależną, być może, że po zamknięciu obecnego zjazdu nie utworzy się komisja organizacyjna, więc trzeba sobie postawić pytanie, czy komisja ma prawo przyjmować na siebie obowiązki, jakie na nią zebrani wkładają.

P. Balcer z Łowicza w odpowiedzi p. Biesiekierskiemu zaznacza, że nauki w strażach się i tak odbywają, lecz nauczający, nie posiadając kursów ani szkół fachowych, sami nie mają się gdzie nauczać.

P. pułkownik Lunda zwraca uwagę, że nie można urządzić kursów przy jednej straży, następnie przy drugiej straży, w każdej straży nauczać inaczej będą, powstanie tylko chaos, konieczne trzeba posiadać zatwierdzoną przez władzę instrukcję, wtedy jednolicie na kursach, przy jakiegokolwiek było to Straży, nauka odbywać się będzie. P. pułkownik obiecuje przyspieszyć u władz

zatwierdzenie instrukcji. Gdy tylko ona przez zjazd uchwalona będzie, na tej instrukcji wtedy strażę opierać się będą.

P. Cywiński z Radomia popiera zdanie pułkownika Lunda, uważa też projekt 5-cio dniowych kursów za nie celowy, w takim krótkim bowiem czasie nikt niczego się nie nauczy.

P. Wegner z Łukowa jest zdania, że z chwilą, kiedy kilku delegatów wyjedzie na kursa i oni nauczą się nowych komend — to jest za mało; całej straży, przyzwyczajonej od lat wielu do dawnych komend i ćwiczeń, trudno będzie się oswoić z nowymi komendami i ćwiczeniami, po za tem uważa za konieczne posiadanie pierwazatwierdzonej instrukcji.

P. Nell z Aleksandrowa w odpowiedzi p. Stanisławskiemu, przyznaje, że komisja organizacyjna nie jest instytucją stałą i prawomocną. Póki jednak nie będzie takiej instytucji, kierującej sprawami straży, zawsze się znajdzie grono osób chętnych, które dla dobra ogółu, dla dobra sprawy podejmą się pracy w komisji organizacyjnej, strażę zaś w dobrze zrozumianym własnym interesie posłuch im dadzą; w kwestji kursów — należy pamiętać, że pożary nie zwlekają, lecz zmuszają nas, abyśmy zawsze gotowi byli do walki z nimi. Gotowość zaś nasza większa będzie, gdy odpowiednio przygotowani i wyszkoleni będziemy, w dniu więc dzisiejszym powinna zapaść uchwała, że kursa są potrzebne i pożyteczne, uzależnić zaś wprowadzenie w czyn kursów można od zatwierdzenia instrukcji. Do projektu p. Balcera p. Nell wnosi poprawkę w 2 części § 4 „Komisja organizacyjna każdorazowo wyznacza miejscowość kursów pożarniczych, zmieniając je stosownie do potrzeb i zgłoszeń”.

P. Tuliszkowski z Warszawy w poruszonej przez D-r Stanisławskiego kwestji komisji organizacyjnej jest tego samego zdania, że należy korzystać z obecnego zjazdu i wyłonić komisję dla kursów.

P. Stanisławski z Łowicza twierdzi, że komisja organizacyjna sily wykonawczej nie ma i mieć nie może; instrukcji, zalecanej przez komisję, strażę nie są obowiązane przyjąć; sily wykonawczą może mieć tylko związek, póki zaś związku nie ma p. Stanisławski jest za wybraniem komisji w celu urzeczywistnienia kursów pożarniczych.

P. Balcer z Łowicza proponuje zamknięcie dyskusji. Po uchwaleniu zamknięcia dyskusji do głosu nikt się nie zapisuje, wobec czego przewodniczący poddaje pod głosowanie, czy kursa są potrzebne, czy należy wybrać komisję. Wniosek ten przyjęty zostaje.

P. Balcer z Łowicza w myśl swego projektu proponuje, aby wybrać do komisji kursów pożarniczych 5-ch członków.

P. Nell z Aleksandrowa, wychodząc z założenia, że obecni zbyt mało się znają, nie wiedzą, kto był by właściwy do tej komisji proponuje, aby zaproszenie do tej komisji pozostawić komisji organizacyjnej, na co obecni się zgadzają.

P. Balcer z Łowicza referuje sprawę instruktorów w ten sposób, że każda Straż kształciłaby dla siebie na kursach pożarniczych instruktora, zadaniem zaś tegoż byłoby stale pouczać swą straż.

P. pułkownik Lunda jest przeciwny temu, zbija ten projekt. — Stałym instruktorem danej straży jest jej naczelnik, żaden naczelnik nie zgodzi się mieć w straży swej instruktora, któryby poprawiał naczelnika. Instruktorzy, jeden, czy kilku dla całego Królestwa, mogą być przy centralnej instytucji. Z polecenia tej instytucji czy też na żądanie poszczególnych straży, objeżdżali by strażę, przekonywali by się o racjonalnem prowadzeniu wszelkich ćwiczeń, obznajmiali by strażę z nowościami i postęпами w technice strażackiej. Pogląd ten podzielają obecni, oklaskując przemówienie pułkownika Lunda.

P. Balcer z Łowicza popiera swój wniosek oraz jest zdania, że ujmę nie sprawi naczelnikowi, gdy stały, należący do składu straży wyszkolony na kursach instruktor, będzie czuwał nad racjonalnem prowadzeniem straży i ją pouczał.

P. Moszczyński z Mławy jest przekonany, że na pięciodniowych kursach nie mogą się wykształcić instruktorzy. Instruktorem powinien być człowiek z wyższem wykształceniem technicznem, posiadający praktykę strażacką. Kursy takich instruktorów nam nie dadzą. Kursy pouczą i wzmocnią wiedzę naczelników, tego też od kursów wymagamy. W kwestji zaś instruktorów podziela mowa zupełnie zdanie pułkownika Lunda.

P. Cywiński z Radomia, dzieląc zdanie pułkownika Lunda, wskazuje jako instruktora pana inżyniera Tuliszkowskiego, dotychczasowego instruktora straży wiejskich z ramienia Centralnego Towarzystwa Rolniczego.

P. Gryźewski z Łęczycy wskazuje na przykład Galicji, gdzie periodycznie odbywają się kursa, na których kształcą się naczelnicy straży.

Przewodniczący proponuje zamknięcie dyskusji. Z liczby zapisanych do głosu po zdecydowaniu zamknięcia dyskusji przemawiają.

P. Tuliszkowski z Warszawy dochodzi do wniosku, że okazuje się potrzeba instruktorów miejscowych, takimi mogą być naczelnik lub, jego pomocnik po przejściu kursów pożarniczych oraz instruktor objazdowy. Zebrani niejednokrotnie wskazywali go, jako tego instruktora. Wpierw nim posiadać będziemy związek i przy nich objazdowych instruktorów, P. Tuliszkowski, o ile go dzisiejszy zjazd upoważnia, gotów jest na wezwanie poszczególnych straży przybyć do nich w celu instrukcji. Zaolirowanie się p. Tuliszkowskiego zebrani sutym oklaskiem wynagradzają.

P. Moszczyński z Mławy jest przeciwny instruktorom stałym, jest jedynie za instruktorem objazdowym.

Przewodniczący poddaje pod głosowanie wniosek, aby straże wystąpiły na 5-cio dniowe kursa kandydatów na miejscowych instruktorów. Wniosek większością głosów przechodzi.

Następuje przerwa na obiad; podczas obiadu miejscowy policmajster na prośbę kilku uczestników zjazdu zaalarmował straż Włocławską.

Straż Włocławska nie posiada własnych koni, dostarczanie jednak koni do straży w razie pożaru jest w straży Włocławskiej doskonale zorganizowane, dowodem tego, było że, w niespełna 5 minut od pierwszych tonów syreny, zaczęły przybywać na rynek pierwsze narzędzia. Natychmiast rozwinięta została linja wężowa i w niespełna 5 minut sikawki zalewały wodą miejsce pożaru.

Mając na uwadze, że alarm taktycznie nie był w programie, więc nie był przygotowany, jak to bywa na wszelkich uroczystościach i zjazdach, że straż, nie posiadająca koni, nadzwyczaj szybko przybyła, że wyjazd odbył się z nadzwyczajnym spokojem i bez chaosu, że wszystkie ruchy i czynności Straży były celowe — działalność Straży Włocławskiej znalazła u zebranych ogólne uznanie, co zaznacza się, jako podziękowanie Straży Włocławskiej w niniejszym protokole.

O godzinie 6-ej po południu następuje dalszy ciąg obrad.

P. pułkownik Łund proponuje, aby zaprosić do prezydium przybyłego w trakcie tego redaktora „Strażaka” p. Szyllera; zebrani przez aklamację powołują do prezydium redaktora Szyllera.

Stosownie do wynikłych potrzeb Prezydujący proponuje zmianę porządku dziennego. Zebrani zgadzają się, aby konferować dziś w kwestji regulaminu, następnie zaś wysłuchać pogadanki, p. Balcera o narzędziach pożarniczych.

P. Balcer z Łowicza ma wieczornym pociągami wyjechać, prosi więc, aby przedewszystkiem wysłuchać jego pogadanki, obecni się zgadzają i p. Balcer wygłasza odczyt: „O narzędziach pożarniczych”.

Przewodniczący proponuje, aby podziękować p. Balcerowi za wygłoszony referat, zebrani oklaskiem przyjmują tę propozycję.

P. pułkownik Łund zakomunikował o skonstruowaniu przez dyrektora jednej z fabryk narzędzi strażackich nowego typu sikawki bardzo praktycznej i taniej, fabryka jednak nie chce rozpocząć fabrykacji do czasu wyprzedania posiadanego na składzie znacznego zapasu sikawek starego typu.

P. Balcer z Łowicza do odczytu swego dodaje, że każda straż powinna posiadać specjalny tabor do wyjazdu do pożarów na wsi. Tabor cały składać się winien z jednego czterokołowego wozu, na nim zaś — wszystkie potrzebne narzędzia.

P. Wiśniewski z Gostynina proponuje, aby referat p. Balcera wydrukowany był w „Strażaku” porusza też kwestję łączników, śrubunki winny być ramieniowe na nowoczesne łączniki kuplągowe.

P. Tuliszkowski z Warszawy uważa, jako idealne narzędzi, sikawki zdejmowane przenośne, stożkowe wentyle 5½ do 4-u. Sikawka taka na 2 kołowym wózku bardzo szybko i łatwo może być dostarczona do pożaru. Do wyjazdu do dalszej miejscowości powinno być użyte pogo-

townie na czterokołowym wozie ze zdejmowaną sikawką. W strażach wiejskich powinny być sikawki większe stałe na czterokołowych wozach, natomiast powinny być zupełnie skasowane w strażach sikawki stałe na dwukołowych wozach. Na każdej sikawce powinny być przynajmniej 4 węże po 20 lokci. Wąż ssącego powinno być nie mniej nad 28 stóp. Powinny być pływalki do zanurzania sitka w brudnej wodzie. Hydrometry, znajdujące się obecnie w handlu, nie powinny być przez Straże nabywane, gdyż są zbyt ciężkie, przez to i za drogie, należy żądać hydrometrów lekkich. P. Tuliszkowski pracuje obecnie nad projektem hydrometru, zbudowanego z pustych rur wagi nie więcej 12 pudów; w dalszym ciągu zwraca p. Tuliszkowski uwagę na to, że nowo-zakładające się straże, nie posiadając dostatecznych środków, odkupują u starszych straży ich stare sikawki. Nabywają wprawdzie tanio, lecz takie narzędzia, których wyzbywają się stare straże, jako ciężkie, źle funkcjonujące, wymagające dużej ilości ludzi do pompowania, tem mniej nadają się dla nowych straży.

Należy więc ostrzedz nowe straże przed takimi sikawkami, dzięki którym nowe straże od początku zaczynają źle działać. Następuje w nich rozczarowanie, zwątpienie i znane są fakty, że z tych powodów straż zamierała i przestała istnieć. Straże więc stare nie powinny ani darować ani sprzedawać młodym strażom takich nie nadających się do pracy narzędzi. Podobne postępowanie starych straży, jako nieetyczne, powinno być napiętnowane. Nie powinno się też nabywać narzędzi, jakie fabrykant, byle się pozbyć składowego towaru, wychwala. Narzędzia winny być wybrane w zależności od terenu, wysokości budynków, ilości wody w danej miejscowości. Mówca w końcu przychodzi do przekonania, że bardzo celowa była by specjalna komisja, która by na żądanie straży była pomocną w wyborze i nabyciu jaknajkorzystniej narzędzi strażackich.

P. pułkownik Łund w kwestji łączników proponuje, aby straże posiadały redukcyjne łączniki, wtedy sąsiednie straże, posiadające rozmaite łączniki, będą mogły łączyć swe węże przy wspólnej pracy. Jako nowoczesne łączniki poleca p. pułkownik Łund zaprowadzony w Warszawie system Höniga t. z. Kolońskie łączniki. Fabrykuje je w Warszawie firma „Witt”, hydropułty „Kostyl” Langensiepena są tanie i doskonałe.

P. Tuliszkowski z Warszawy jest zdania, że właściwsze są dla Straży łączniki śrubunkowe. Wszelkie łączniki kuplągowe posiadają pakuunki gumowe, guma marnieje, wtedy łącznik nie jest dość szczelny. Należało by więc ustanowić jednakowe nacięcie gwintu dla wszystkich straży.

P. Kon z Częstochowy przemawia za nowoczesnymi łącznikami. Straż Częstochowska zaprowadziła u siebie patentowane łączniki „Storza” 1901 r. Łączniki te są doskonałe, łączą się z sobą nadzwyczaj szczelnie, połączenie trwa sekundę, konstrukcja jest taka, że nie uszkodzić się nie może, podczas gdy ześrubowanie zwykłych łączników przynajmniej minutę czasu trwać musi. Łączniki te wymagają pierścieni gumowych, nacięcie często uszkadza się i wtedy ześrubowanie z sobą łączników jest niemożliwe. Koszt pary łączników Storza 2 wyniósł rub. 5. 60, więc są te łączniki nie droższe od śrubunkowych. Fakt, że największe zawodowe Straże zagraniczne używają tych łączników, jest najlepszym dowodem, że ten rodzaj łączników winien być w strażach zaprowadzony.

P. Balcer z Łowicza za tymi również łącznikami przemawia. Trudno strażom, posiadającym śrubunkowe łączniki, zamienić je na nowoczesne, winny jednak straże przy nabyciu nowych sikawek żądać, aby były one z łącznikami „Storza”. Odnosnie zalecanych hydropułtów Langensiepena p. Balcer uważa, że lepsze są hydronetki, które można od razu działać, podczas gdy do hydropułtu potrzeba przedewszystkiem wynaleźć naczynie z wodą, zaleca też patentowane Ewolda hydronetki, jakie Straż Częstochowska u siebie zaprowadziła, jednym bowiem wiadrem wody można wyrzucać na znaczną większość wodę przez przeciąg 5-ch minut.

Przewodniczący reasumuje, co wypowiedziane zostało w kwestji narzędzi strażackich. Niezawodnie zebrani z niejednej światłej rady wyciągną korzyść. Jako konkretny jednak wniosek w ciągu powyższych obrad uważać można myśl utworzenia komisji doradczej przy nabyciu przez Straże narzędzi. Zebrani uchwalają taką komisję i powołanie jej do życia zlecają komisji organizacyjnej.

Następują obrady nad regulaminem; sprawę referuje p. **Tuliszkowski**.

P. Balcer z Łowicza wyjaśnia, na czym polega regulamin, na czym zaś instrukcja. Regulamin jest interpretacją, dopełnieniem obowiązującej ustawy, instrukcja zaś jest niejako podręcznikiem jednolitego prowadzenia we wszystkich strażach musztry, ćwiczeń z narzędziami i t. d., na co nie posiadamy żadnego obowiązującego regulaminu, opracowanie zaś takiej instrukcji każdej dla siebie straży jest ustawą przewidziane.

P. Tuliszkowski z Warszawy odczytuje sprawozdanie z czynności komisji do opracowania ogólnego regulaminu i instrukcji dla Straży ogniowych ochotniczych w Królestwie Polskiem.

Na Zjeździe Delegatów Straży Ogniowych Ochotniczych we Włocławku w dniu 27 Listopada 1910 r. uchwalone zostało utworzenie powyższej Komisji i na tem samem posiedzeniu wybrani byli następujący członkowie tej Komisji z prawem kooptacji.

1. D-r Stanisławski Prezes Łowickiej S. O.
2. Bukowiński Komendant Kaliskiej S. O.
3. Inżynier Kostecki komendant N. Radomskiej

Straży O. niowej.

4. D-r Szokalski Dowódca II Odz. Włocławskiej S. O.
5. Inżynier Tuliszkowski Instruktor Bud. Ogn. i Pożar. przy C. T. R., jako przewodniczący Komisji.

Oprócz tych członków w posiedzeniach Komisji brali udział członkowie kooptowani.

1. Druh E. Balcer pomocnik Naczelnika Łowickiej S. O.
2. Markowski Dowódca III Odz. Łowickiej S. O.,

który pełnił obowiązki Sekretarza.

3. Nell pom. Naczelnika Aleksandrow. S. O.
4. Strakacz Naczelnik Skierniewickiej S. O.

i jako goście:

1. Sztajner Naczelnik Włocławskiej S. O.
2. Gryżewski Naczelnik Łęczyckiej S. O.

a również byli czasami Członkowie Zarządu Łowickiej Straży Ogniowej.

Posiedzenie pierwsze odbyło się w Łowiczu w dniu 20 Grudnia 1910 r., drugie w Warszawie 2 Lutego 1911 roku, a następnie wszystkie w Łowiczu w dniach 29 Kwietnia, 12 Maja, 20 Maja, 12 Czerwca 4 Lipca, 27 Lipca i 11 Września.

W ciągu tych 9 posiedzeń Komisja opracowała projekty regulaminu i najważniejsze części instrukcji i na miesiąc przed zamierzonym zjazdem we Włocławku, który miał się odbyć 21 i 22 Października 1911 r., pracę swą ukończyła, rozsyłając 96 Organizacjom strażackim, biorącym udział w Zjeździe, opracowane projekty — prosząc o krytykę takowych i przysłanie na 10 dni przed zjazdem ewentualnych poprawek i proponowanych zmian.

Nie wszyscy członkowie Komisji jednakowo uczestniczyli w posiedzeniach. Najwięcej czynny udział brali w pracach Komisji członkowie Straży Łowickiej, którym, a szczególnie D-r Stanisławskiemu należy się uznanie i podzięką.

inni trzej Członkowie komisji zrazu brali żywy udział w pracach, lecz obowiązki służbowe jednym, innym zaś stosunki rodzinne, stały na przeszkodzie i zmusiły do zwolnienia się z listy członków Komisji.

Jeden tylko z członków wybranych na Zjeździe, ani razu nie był na żadnym posiedzeniu, usprawiedliwiając swoją nieobecność na pierwszych kilku posiedzeniach, potem zaś, pomimo zawiadomień wczesnych przez przewodniczącego o terminach mających się odbyć posiedzeń, nie odpytywał.

Przy układaniu regulaminu Komisja przyjęła za podstawę regulamin Łowickiej Straży Ogniowej, zatwierdzony przez Władzę, i stanowiący uzupełnienie ustawy normalnej; oprócz tego Komisja posilowała się wieloma paragrafami ustawy Włocławskiej, Nowo-Radomskiej i Radomskiej Straży Ogniowej.

Przy układaniu instrukcji Komisja czerpała niektóre dane w części ze wzmiarkowanych ustaw, w części z dziełka „Walka z Pożarami” szczególnie przy opracowywaniu działu ćwiczeń z przyrządami; a przy dziale „ćwiczenia rzędowe” Komisja przeważnie kierowała się praktycznymi wskazówkami członków, znających dobrze ten dział i prowadzących ćwiczenia rzędowe w swych Organizacjach Strażackich.

Kiedy projektowany Zjazd Strażacki, dla przyczyn niezależnych od Komisji organizacyjnej, nie doszedł do

skutku, wśród członków Komisji wylonila się myśl rozpatrzenia krytycznego uwag nad opracowanym projektem, nadesłanych przez Straże Ogniowe.

Na dwóch więc posiedzeniach dnia 4 i 14 Lutego 1912 r., dzięki umiejętnej segregacji nadesłanych przez Straże Ogniowe elaboratów, przeprowadzonej przez Zarząd Straży Włocławskiej, Komisja rozpatrzyła wszystkie uwagi krytyczne i odpowiednio poprawki i uzupełnienia, uznane za słuszne, do projektu wprowadziła. Późem było zwołane jeszcze w Łowiczu w dniu 5 Marca wspólne posiedzenie obu Komisji Organizacyjnej i Regulaminowej, gdzie powyższe zmiany uzupełniono i poprawki były jeszcze raz wspólnie poddane rozpatrzeniu i przez obie Komisje zostały zaakceptowane do przedstawienia przed Szanowny Zjazd do zatwierdzenia.

Projekt ten nie jest bynajmniej doskonałością; można go raczej nazwać pewnego rodzaju próbą uzupełnienia ustawy normalnej, próbą, dążącą do uregulowania prawnego stosunku poszczególnych funkcjonariuszy Straży i do ujednolajnienia ćwiczeń oraz wskazania poniekąd obowiązków służbowych w naszych Organizacjach Strażackich.

Komisja ma zaszczyt prosić Szanowny Zjazd o rozpatrzenie opracowanych projektów.

Przewodniczący uważa za zbyt cenne odczytywanie regulaminu który jest znany obecnie i u nich w reku się znajduje, otwiera więc dyskusję nad poszczególnymi artykułami regulaminu.

P. Pogonowski z Łukowa proponuje, aby § 3 uzupełnić, że Towarzystwu przysługuje prawo otwierania klubu towarzyskiego.

P. pułkownik Łund wyjaśnia, że niektóre Straże w Cesarstwie otwierały kluby; zamknięte one później zostały po ujawnieniu w nich prowadzenia hazardu, a że każdy klub ma na celu prowadzenia w nim gry w karty, więc pułkownik Łund nie popiera, lecz ostrzega przed wnioskiem p. Pogonowskiego. **P. Pogonowski** po tym wyjaśnieniu wniosek swój cofa.

P. Kon z Częstochowy proponuje w myśl zeszlenczonego wyjaśnienia ministerjalnego uzupełnić § 4 „sztandar wynoszony być winien i na pogrzeby strażaków, o ile do uczestniczenia w pogrzebie wyznaczony jest oddział Straży”.

P. Balcer z Łowicza jest zdania, że sztandar na pogrzeby w wyjątkowych tylko razach, w razie wielkich zasług zmarłego strażaka, wyniesiony być może. W takich razach też sztandar zwinięty i osłonięty krepą żałobną być winien.

P. pułkownik Łund zaznacza, że sztandar jest wyższy ponad wszelką żałobę i na nim krepą zawieszoną być nie może, sztandar wynoszony bywa zawsze rozwinięty, zwijany zaś bywa tylko dla ochrony przed niepokojem, wtedy on jest w pokrowcu. Co zaś do wynoszenia na pogrzeby, pułkownik Łund jest zdania, aby to miało miejsce na pogrzebach poległych przy ogniu strażaków.

P. Potrzebowski z Włocławka proponuje, aby sztandar był wynoszony wtedy, gdy w pogrzebie uczestniczy cała korporacja Straży; winien też Zarząd Straży decydować, czy sztandar ma być do pogrzebu wyniesiony.

P. Kon z Częstochowy proponuje następującą zmianą redakcję wniosku: „sztandar wynoszony być może i na pogrzeby strażaków podług uznania zarządu”.

Przewodniczący poddaje ten wniosek pod głosowanie. Wniosek przyjęty zostaje.

P. Olkusi z Końskich w kwestji § 7 jest przeciwny, aby wszyscy strażacy płacili pewną składkę, przez to byli by rzeczywistymi członkami i brali by udział w głosowaniu na ogólnych zebraniach. Interpretacja ustawy przyniesie bezwarunkowo szkodę, wybory do władz zależne będą od przypadku i rozwiniętej agitacji, wprowadzą do straży niepożądane jednostki, tymczasem zebranie ogólne reprezentantów, t. j. przedstawicieli od grup zapewni spokój i ład w prowadzeniu obrad. Skład naszych straży nie jest taki, aby poszczególni członkowie nie dali się powodować warcholom, mającym na celu nie dobro instytucji, lecz własne ambicje, nie należy też obarczać strażaków płaceniem składek.

P. Tuliszkowski w Warszawie zwraca uwagę na § 8, który przewiduje, że prawo głosu ma ten strażak, który przesłużył w straży rok jeden, praktyka zaś dowiodła, że kto rok w straży przesłużył, instytucję tą pokochał, sprawę oddany jest i należy mu się prawo decydowania o losach instytucji.

P. Balcer z Łowicza broni bardzo gorąco tego, aby strażacy, którzy swe zdrowie i życie w ofierze społeczeń-

stwu przynoszą, mieli wszyscy prawo głosu, po przesłужeniu roku jednego w straży.

P. Olkusi w Końskich zapatrywania swego nie zmienia, zwraca uwagę na ważność sprawy.

P. Jarnuszkiewicz z Włocławka zwraca uwagę, że żadna straż uwag swych, poprawek i protestów do § 7 i § 8 do komisji organizacyjnej nie nadesłała. Należy więc uważać, że niekwestjonowane przez ogół straży §§ przyjęte zostały, uprasza się więc, aby referent p. Tuliszkowski komunikował tylko kwestjonowane przez straż artykuły regulaminu.

P. Pogonowski z Łukowa proponuje, aby ustanowić minimalną składkę przewidywaną przez § 7.

Przewodniczący zapytuje, czy ogół życzy sobie dyskutować nad każdym z kolei artykułem czy też w myśl wniosku p. Jarnuszkiewicza zastanawiać się nad tymi tylko artykułami, które przez poszczególne strażę zakwestjonowane lub dopelnione zostały listownie do komisji organizacyjnej. Zebrani postanawiają, aby pod dyskusję poddawać tylko kwestjonowane listownie do komisji organizacyjnej artykuły, powstałe niekwestjonowane przez Straż artykuły uważać za przyjęte.

P. Potrzebowski z Włocławka wniosł poprawkę do § 14 „Zarząd z pośród siebie wybiera wice-prezesa, skarbnika i sekretarza” oraz „w skład zarządu wchodzi pomocnik naczelnika straży, lecz bez prawa decydującego głosu”.

P. Cywiński z Radomia oznajmia, że w Straży Radomskiej delegaci od oddziałów uczestniczą w Zarządzie.

P. Moszczyński z Mławy przemawia, aby pomocnik naczelnika Straży miał prawo decydującego głosu na zebraniach zarządu.

Przewodniczący poddaje pod głosowanie zaproponowane przez p. Potrzebowskiego dopelnienie § 14, które przez zebranych przyjęte zostaje.

Komisja organizacyjna niewłaściwie wstawiła do atrybucji zarządu w § 17 p. 15 zatwierdzanie alarmów. Alarmy celowe ku sprawdzeniu sprawności straży mogą być tylko niespodziewane i nieprzewidziane naprzód, wobec czego p. Tuliszkowski cofa w odnośnym punkcie zatwierdzanie alarmów.

Straż Kowalska wniosła do § 18 poprawkę, aby nie za trzykrotne, lecz każdorazowe nieusprawiedliwione opuszczenie przez członka zarządu posiedzenia naznaczona została kara jednego rubla; poprawka ta uchwalona zostaje.

Komisja organizacyjna wnosi poprawkę § 22, mianowicie „wybiera na lat trzy”, w jaki zaś sposób, proponuje skreślić.

P. Balcer z Łowicza jest za wyborem na 2 lata i dokonywaniem wyboru naczelnika i pomocnika jego nie w jednym roku.

P. Szeiner z Włocławka popiera dokonywanie wyborów na lat 3, gdyż termin 2-letni nie daje dostatecznego czasu dla działalności nowo wybranych kierowników Straży.

P. Tuliszkowski z Warszawy stawia wniosek, aby wybrani zostawali na 3 lata, aby w jednym roku dokonano wyboru naczelnika, w następnym jego pomocnika. Wniosek ten uchwalony zostaje.

Na wniosek Plockiej Straży w § 26 ustęp ma brzmieć „nominuje pomocników dowódców, dziesiętników, prądowników z liczby przedstawionych przez dowódcę oddziału kandydatów”.

P. Moszczyński z Mławy proponuje, aby Zarząd nominował przedstawionych przez naczelnika straży wszelkich zaawansowanych. Popiera to również Straż Łowicka.

Przyjęta zostaje przez zebranych poprawka w myśl propozycji Straży Plockiej.

Straż Plocka proponuje dodatek do § 31 „pożądanem jest, aby gospodarz należał do korpusu straży jako II pomocnik naczelnika straży i bywał na pożarach i ćwiczeniach, notując na miejscu wszelkie uszkodzenia”.

P. Lewoniewicz z Łukowa wnosi poprawkę, do powyższego, że niepożądanem jest, lecz „gospodarz powinien należeć do korpusu straży, jako II pomocnik i t. d.”, z tą też poprawką dodatek do § 31 zgodnie z propozycją Straży Plockiej uchwalony zostaje.

Na wniosek Brzezińskiej i Włocławskiej Straży § 37 uchwalony zostaje z uzupełnieniem „z poleceniem lub zaświadczeniem 2-ch członków Straży”.

Na wniosek Straży Plockiej uchwalony zostaje zaproponowany przez nią dodatek do § 49 „i na uroczystościach strażackich”.

Do § 50 p. **Tuliszkowski** wnosi dodatek „wyjątek stanowi wyraźne narażenie się na śmierć”, cofa go jednak, gdyż ustawa tę sprawę wyraźnie przewiduje.

Komisja organizacyjna oraz Straż Plocka projektują uzupełnienie § 56 „otrzymywanie bezpłatnie lekarstwa i, według uznania zarządu, zapomogi z Kasy Straży”, co uchwalone zostaje.

Komisja organizacyjna oraz Straż Konecka proponują zmiany w § 60: „Komunikowanie” (nie oddziałom, lecz) „dowódcom oddziałów” oraz prowadzenie korespondencji” (nie Straży, lecz) „naczelnika Straży”, co uchwalone zostaje.

Komisja organizacyjna uzupełnia § 61 ustępem „i jest w randze pomocnika dowódcy”.

P. Szeiner z Włocławka oponuje temu, adjutant jego zdaniem może być wybrany tak dobrze spośród szeregowców, jak i spośród dziesiętników lub dowódców, awansuje też z rangi niższej do wyższej, jak pozostali członkowie Straży.

P. pułkownik Łund nie zgadza się z tym wnioskiem. Adjutant należy do korpusu oficerskiego Straży, jest równym dowódcą, kolegą ich, powinien być w randze dowódcy, członek więc Straży, powołany na adjutanta, powinien być w randze dowódcy zatwierdzony przez Zarząd.

P. Tuliszkowski z Warszawy obcuje przy wniosku komisji, p. **Nell** z Aleksandrowa uważa za dostateczną rangę dziesiętnika dla adjutanta, p. **Grabczewski** z Włocławka uważa, że inne odpowiedzialniejsze znaczenie i obowiązki ma dowódca oddziału, więc adjutant winien być rangą niższą od niego.

P. Balcer z Łowicza stawia wniosek zamknięcia dyskusji, poczem zapisują się do głosu p.p. **Szeiner** i **Łund**, popierający swe poprzednie poglądy na sprawę. Przewodniczący poddaje pod głosowanie wniosek p. **Szeinera**, aby adjutant rangę zdobywał awansem, wniosek ten w głosowaniu przepadł, następnie głosowany jest wniosek pułkownika **Łunda**, by adjutant był w randze dowódcy oddziału. Wniosek ten większością głosów uchwalony zostaje. Przeciw temu protest zakładają pp. **Balcer** i **Grabczewski**, jakoby zapadła uchwała była niezgodna z ustawą.

Straże Konecka i Włocławka zaproponowały uzupełnienie § 75 dodatkiem „na przedstawienie dowódcy oddziału”, co uchwalone zostaje.

Uchwalone zostaje na wniosek komisji organizacyjnej uzupełnienie tak § 79 jak i 80 „i gospodarz”.

P. pułkownik Łund uważa za niedopuszczalną proponowaną w § 87 karę „pod więzienie”. Dla czuwania nad bezpieczeństwem miasta z wieży wyznacza się najroztropniejszych, najlepszych strażaków, takich też wyznacza się na dyżury w publicznych miejscach. Te stanowiska powinny być szanowane, więc te stanowiska, jako kara, wyznaczane być nie mogą.

P. Balcer z Łowicza wyjaśnia, że Komisja nie miała zamiaru jako karę wyznaczać dyżur na wieży dla czuwania nad bezpieczeństwem miasta, lecz postawienie strażaka w pozycji „bacznosc” na pewien przeciąg czasu przy wieży, wspinalni lub remizie.

Komisja organizacyjna proponuje następujące zmiany w drugim ustępie § 87 (dać osobistą nagana) „każdemu” (strażakowi) „bez względu na rangę” (skazać członka szeregowca) „na stanie przy wspinalni lub remizie” i t. d.

P. pułkownik Łund proponuje, aby, jako kary, stosować tylko nagany.

P. Czajkowski z Aleksandrowa proponuje, aby zamiast wyszczególniać, jakie osoby ma prawo karać naczelnik, wymienić „swoich podkomendnych”.

P. pułkownik Łund przemawia za wykreśleniem kar pieniężnych, popiera to p. **Tuliszkowski**.

P. Kon z Częstochowy jest za niestosowaniem kar pieniężnych, gdyż naczelnik nie ma możności ściągnąć kary pieniężnej, o ile strażak odmówi zapłacenia wyznaczonej, jako karę, sumy. W takiej kolizji nie należy stawiać naczelnika. Kary powinny być tylko takie, jakie możliwe są do przeprowadzenia. Najwłaściwsze są nagany, gdyż od wysłuchania nagany przed frontem strażak nie może się usunąć.

P. Niedziałkowski z Piątka przemawia za skasowaniem kar pieniężnych.

P. Nell z Aleksandrowa proponuje zamknąć dyskusję, poddać pod głosowanie wniosek komisji z poprawkami, przyczem ograniczyć czas stania za karę do 2-ch godzin.

Przewodniczący poddaje pod głosowanie, czy mają kary pieniężne być stosowane. Zebrani głosują przeciw karom pieniężnym, poczem uchwalona zostaje następująca redakcja: „Naczelnik ma prawo a) dać osobistą nagana każdemu podkomendnemu, b) skazać członka szeregowca

na stanie przy spinalni lub remizie przez przeciąg 2-ch godzin", pozostałe punkty bez zmiany.

Uchwalona zostaje poprawka w § 91, mianowicie (wybierając po dwóch sędziów) „z grona członków straży”. Płocka i Kutnowska Straże zgłosiły uzupełnienie do § 97, mianowicie po wyrazie: „członkowie orkiestry” ma być dodane „za wyjątkiem uczniów”, co uchwalone zostaje.

P. Szeiner z Włocławka zwraca uwagę, że członkowie orkiestry są poniekąd płatni, czerpią bowiem dochód z występów orkiestry, nie powinni więc korzystać z takich praw, jakie przysługują członkom czynnej straży.

P. Balcer z Łowicza jest zdania, że dochód, jaki członkowie orkiestry czerpią, nie może być nawet ekwiwalentem za stracony przez nich czas, dla straży występują oni zawsze bezpłatnie. O ile więc członkowie orkiestry opłacają ustanowioną składkę i przesłują w orkiestrze rok jeden, powinni mieć prawo głosu na ogólnych zebraniach.

P. Pogonowski z Łukowa wobec trudności utrzymania składu orkiestry proponuje, aby członków orkiestry zobowiązywać Kontraktami 3-ch letnimi.

P. Balcer wobec nie wylonienia się żadnego konkretnego wniosku proponuje zamknięcie dyskusji. Wniosek ten przechodzi.

P. Tuliszkowski proponuje, aby artykuły 55, 56, 57 i 58 instrukcji, jako nie wskazujące sposobów wykonywania różnych czynności przez korpusek strażacki, przenieść z instrukcji do regulaminu. Zebrani zgadzają się na to, jak również postanawiają nad powyższymi artykułami dyskutować na posiedzeniu dnia jutrzejszego.

Następuje odczytanie przez p. Chomicza referatu redaktora „Strażaka”, zatytułowanego „ETYCZNE ZNA-CZENIE OCHOTNICZYCH STRAŻY OGNIOWYCH”.

Przewodniczący p. Koczyński wobec późnej godziny zamknięcia pierwszego dnia obrad i prosi zebranych o przybycie w dniu następnym o godzinie 10-ej rano na dalszy ciąg obrad.

19 sierpnia 1912 r.

DZIEŃ DRUGI.

Przewodniczący p. Koczyński o godzinie 10 m. 45 rano otwiera posiedzenie i poleca odczytanie §§ 55—59 instrukcji, które, zgodnie z postanowieniem dnia wczorajszego, mają wejść do regulaminu.

P. Pogonowski z Łukowa proponuje, aby przykładem dnia poprzedniego nie odczytywać poszczególnie wszystkich paragrafów instrukcji, lecz dyskutować nad kwestionowanymi przez strażę punktami i ustępami.

P. pułkownik Lunda proponuje, aby nie wyłączać §§ 55—59 z instrukcji i przenosić je do regulaminu, przeciwnie należy je pozostawić w instrukcji, instrukcję na dzisiejszym zebraniu uchwalić. Wtedy, przy jego poparciu, da się w najkrótszym czasie uzyskać zatwierdzenie przez władzę gubernialną, gdyż regulamin podlega zatwierdzeniu przez Ministerium spraw wewnętrznych.

P. Tuliszkowski z Warszawy jest zupełnie tego samego zdania. Instrukcja jednak właściwie nie jest ukończona i należałoby wybrać komisję do przejżenia instrukcji i ukończenia prac nad nią.

P. Potrzebowski z Włocławka proponuje, aby wobec wyjaśnienia pułkownika Lunda połączyć w jedną całość regulamin i instrukcję, nazwać to instrukcją i uzyskać u władz gubernialnych zatwierdzenie jej.

P. Kon z Częstochowy wyjaśnia, że regulamin nie podlega zatwierdzeniu przez ministerium. Według ustawy Straże opracowują dla siebie regulaminy i instrukcje, przedstawione są one ogólnemu zebraniu i w uchwalonej przez ogólne zebranie redakcji przesyłane są do guberni do zatwierdzenia.

P. Tuliszkowski z Warszawy wyjaśnia, że żaden z artykułów regulaminu nie jest sprzeczny z obowiązującą ustawą, nie proponujemy zmiany ustawy, więc regulamin nasz podlega kompetencji odnoszących gubernatorów.

P. Pogonowski z Łukowa, p. Nell z Aleksandrowa powołują się na ustawę i uważają, że regulaminy powinny być zatwierdzane przez gubernatorów, nie zaś przez ministra.

Przewodniczący jest również zdania, że regulamin podlega zatwierdzeniu przez gubernatora, nie należy więc go łączyć z instrukcją. Wobec wyjaśnienia p. Tuliszkowskiego, że instrukcja nie jest ukończona, należałoby wybrać komisję do ostatecznego opracowania instrukcji, §§ zaś 55—59 rozpatrzyć i włączyć je do regulaminu.

P. pułkownik Lunda jest stanowczo przeciwny takiemu postawieniu kwestji, sprawa musztry w instrukcji jest wadliwie opracowana, §§ więc 2—34 włącznie zatwierdzone być nie mogą, pozostała część instrukcji, w opracowanie której komisja tyle pracy włożyła, nie powinna być oddana do komisji t. j. odwieczona na długi czas, lecz dźić z ewentualnymi poprawkami i zmianami, o ile one przez strażę zażądane były, zatwierdzona być winna.

P. Tuliszkowski z Warszawy oznajmia, że żadna straż nie nadesłała poprawek i uzupełnień do instrukcji, uważać to należy, że straż na instrukcję, za wyjątkiem wyłaczonych przez komisję §§ 2—34 włącznie, się zgadzają, wobec czego stawia wniosek o zatwierdzenie instrukcji z wyłączeniem na razie musztry.

Przewodniczący poddaje ten wniosek pod głosowanie. Instrukcja z wyłączeniem musztry przyjęta przez zebranych zostaje.

P. Nell z Aleksandrowa jest za zmniejszeniem ilości komend i proponuje, aby upoważnić komisję organizacyjną do opracowania tego działu instrukcji i włączenia go do zatwierdzonej już instrukcji.

P. Kon z Częstochowy zwraca uwagę, że w opracowanej przez komisję instrukcji przewidywanych jest przeszło 50 rozmaitych komend i wynikających z nich ruchów, zwrotów i t. p. Popobna musztra dla straży jest zupełnie zbędna. Musztra strażacka powinna być doprowadzona do koniecznych tylko zwrotów, ruchów, czem mniej ich będzie, tem lepiej strażę przyswoją jej sobie. Należy więc do minimum ograniczyć ilość komend. Zdaniem p. Kona należałoby zlecić komisji organizacyjnej opracowanie dla Straży jak najmniej skombinowanej, najprostszej i li tylko najkonieczniejszej musztry. Odnosne komendy, zgodnie z wyjaśnieniem i żądaniem pułkownika Lunda zastosować z komend wojska rosyjskiego w wiernem lecz poprawnie polskiem tłumaczeniu, poczem komisja organizacyjna w terminie 2-ch miesięcy winna zwołać zebranie kilkunastu naczelników straży znanych z doświadczenia jak również z oddania się sprawie. W ich gronie projekt musztry mógł by być przejrzany, poprawiony i ostatecznie przyjęty przez nich projekt uzupełniłby instrukcję.

P. pułkownik Lunda popiera w zupełności myśl p. Kona, jest za ograniczeniem do minimum komend.

Przewodniczący poddaje pod głosowanie wniosek p. Kona, który przyjęty zostaje.

Przewodniczący, reasumując sprawę projektów tak regulaminu jak i instrukcji, przychodzi do wniosku, że komisja organizacyjna winna uchwalony regulamin z przyjętymi poprawkami i uzupełnieniami wydrukować w 2-ch językach i rozesłać strażom z zaleceniem, by straż na najbliższych ogólnych zebraniach przedstawiły ten regulamin do uchwalenia, uchwalony zaś przez Ogólne Zebranie regulamin przedstawić w obu językach gubernatorowi do zatwierdzenia. W ten sposób zasadnicza myśl ujednolinita regulaminu we wszystkich strażach w Królestwie urzeczywistni się. W ten sam sposób postąpić ma komisja, względnie strażę powinny z wprowadzeniem w życie instrukcji, gdy sprawa komend w myśl dzisiejszej uchwały załatwiona zostanie.

P. Potrzebowski z Włocławka stawia wniosek podziękowania komisji regulaminowej szczególnie zaś p. Tuliszkowskiemu za prace nad opracowaniem projektu tak regulaminu jak i instrukcji. Zebrani sutym oklaskiem składają podziękowanie.

P. Nell z Aleksandrowa, jako referent projektu miejscowych oddziałów Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa Pożarniczego, wyjaśnia, że umieszczono ten punkt na porządku dziennym, gdy zjazd miał się odbyć w znacznie wcześniejszym terminie, obecnie, gdy wszystkie strażę odbyły ogólne zebrania i złożyły Centralnemu Zarządowi swe odpowiedzi, obradowanie nad tym przedmiotem jest bezcelowe.

P. Potrzebowski z Włocławka, przewodniczący w komisji organizacyjnej, odczytuje szczegółowe sprawozdania finansowe. Każda ze straży przyjmujących udział w zjazdach Włocławskich i korzystających z prac komisji organizacyjnych zgodnie z postanowieniem, zapadłym na zjeździe 1910 roku, zobowiązała się wnieść tytułem wpisu wógo i zapłacić składkę po 10 kop. od każdego czynnego członka Straży, w ten sposób zebrany został fundusz Rub. 788.46. Wydatki na portore, depesze, druk projektów regulaminu i instrukcji i t. p. wyniosły Rub. 202.79, należy się jeszcze zwrot kosztów przejazdu członków komisji organizacyjnej i regulaminowej. Niemożliwem jest pozwo-
lić, aby członkowie tych komisji poza pracą swą i dużą

strata czasu ponosili koszty przejazdów. Członkowie komisji tych odmawiali dotychczas przyjęcia zwrotu kosztów przejazdów, wobec czego p. Potrzebowski prosi, aby zebrani wypowiedzieli się, że członkowie komisji powinni przyjąć zwrot kosztów przejazdów. Zebrani uznają, że obowiązkowo kosztu tego powinni być zwrócone. Później p. Potrzebowski oznajmia, że, po zaplaceniu tych kosztów, pozostanie w kasie na dalsze prace Rub. 321.67.

Na ogólne żądanie przewodniczący składa podziękowanie za dotychczasowe prace wszystkim uczestnikom komisji.

P. Cywiński z Radomia proponuje, aby złożyć specjalne podziękowanie pułkownikowi Lundowi za okazaną pomoc poszczególnym komisjom, za jego uczestniczenie w jeździe, za doprowadzenie jazu do skutku, za okazywane na każdym kroku względy organizacjom straży ochotniczych. Zebrani oklaskami przyjmują wniosek p. Cywińskiego.

P. pułkownik Lund w odpowiedzi na podziękowanie oświadcza, że zawsze jest chętny być pomocnym strażom, gdyż idzie o dobro ogółu i o ułomowaną przez nas wszystkich sprawę strażacką.

Przewodniczący ogłasza, że wpłynął wniosek, aby zjazd zajął się sprawą otrzymywania przez strażę obecnie od zarządu Wzajemnych Ubezpieczeń w Królestwie Polskim narzędzi w naturze, zamiast zapomóg na kupno narzędzi.

P. Potrzebowski z Włocławka jest zdania, że zapomogi w naturze są bardzo niekorzystne dla Straży, bowiem oprócz sikawek strażom potrzebne są i inne narzędzia, tymczasem Zarząd Wzajemnych Ubezpieczeń wysyła strażom sikawki, w dodatku takie sikawki, jakie ma do rozporządzenia, nie zaś takie, jakie strażom są potrzebne.

P. Tuliszkowski z Warszawy jest przeciwny zapomogom w postaci sikawek; straż powinna mieć możliwość wyboru tak systemu i wielkości sikawki jak i fabryki, mającej dostarczyć sikawkę. Zarząd Wzajemnych Ubezpieczeń ma zasadę wysyłania wsiom sikawki 5 1/2 osadom. Są więc, położone nad wodą, mające do rozporządzenia taką ilość wody, że sikawka 5" nie byłaby za dużą, zgodnie z istniejącą praktyką otrzymują małą sikawkę, tymczasem osada, nie posiadająca ani stawów, ani porządnych studzien, otrzymuje dużą dla niej bezcelową sikawkę.

P. pułkownik Lund oświadcza, że Prezes Wzajemnych Ubezpieczeń spowodowany został do zapomóg w naturze przede wszystkim, aby przy masowym zakupie sikawek uzyskać jaknajniższą cenę, następnie, aby zmniejszyć wydatkowanie przyznanych na narzędzia sum na sztandary, instrumenty muzyczne, ładniejsze mundury, wogóle na przedmioty, na które może sobie pozwolić straż. Pułkownik Lund jest przekonany, że Prezes Wzajemnych Ubezpieczeń swego przekonania i postępowania nie zmieni.

P. Jarnuszkiewicz z Włocławka proponuje, aby Zjazd w osobie p. Tuliszowskiego ustanowił swego przedstawiciela, któryby dokonywał wyboru potrzebnego danej straży narzędzia, p. Tuliszowski przeciw temu protestuje i p. Jarnuszkiewicz wniosek swój cofa.

P. Kon z Częstochowy przytacza fakt, że jedna z nowozałożonych straży, aby jaknajprędzej rozpocząć działalność, również, aby za gotówkę nabyć jaknajkorzystniejszej narzędzia, zaciągnęła pożyczkę w miejscowej kasie pożyczkowej, jednocześnie wystąpiła do Zarządu wzajemnych ubezpieczeń o zapomógę na kupno narzędzi, by tą zapomogą spłacić dług w kasie, tymczasem zamiast zapomogi przyznano strażę takie narzędzia, jakie już posiada. Podwójny komplet narzędzi był dla tej straży nie tylko zbędny, lecz stał się tylko ciężarem. Gdy więc fakt ten owa Straż Prezesowi wzajemnych ubezpieczeń przedstawiła, Straż została przyznana pieniężna zapomoga. P. Kon fakt ten przytacza, jako dowód, że przy należytem wymotywowaniu Zarząd wzajemnych ubezpieczeń od zasady swej odstąpi. Należy się też spodziewać, że Zarząd liczyłby się z wystąpieniem od wszystkich Straży o racjonalne rozdawanie narzędzi, o racjonalny wybór narzędzi. P. Kon stawia wniosek, aby komisja techniczna wystąpiła do Prezesa wzajemnych ubezpieczeń z należyście opracowanym memorjałem.

P. Potrzebowski z Włocławka uważa za konieczne aby Straże w wystąpieniach swych o zapomogi wskazywały, jakie narzędzie jest potrzebne, koszt tego narzędzia, fabrykę, z której by życzyło sobie otrzymać dane narzędzie. Zamówienie wskazanego narzędzia i uregulo-

wanie rachunku za nie było by rzeczą Zarządu wzajemnych ubezpieczeń.

Przewodniczący łączy te dwa wnioski, poczem uchwalone zostaje, by komisja techniczna opracowała i złożyła osobiście Prezesowi wzajemnych ubezpieczeń memoriał o racjonalnym wyborze i rozdawaniu strażom narzędzi, z wskazaniem, że pożądanem by było, aby strażę otrzymywały zapomogi pieniężne na nabywanie narzędzi, ostatecznie, aby straż same decydowały o wyborze narzędzi i wyborze dostawcy tych że.

SPRAWA FACHOWEGO ORGANU.

Na porządku dziennym jest sprawa wydawnictwa „Strażaka”, daje to powód redaktorowi Szyllerowi do wystąpienia z zapytaniem, czy Ogół jest niezadowolony z wydawnictwa. Nie sądzi aby tak było, gdyż przez cały czas istnienia wydawnictwa nie otrzymał reklamacji lub skarg. Redaktor Szyller prosi o wypowiedzenie się, czy Ogół ma zaufanie do wydawnictwa, jakich pożąda zmian. Przy poparciu ze strony straży wydawnictwo dążyć będzie ku postępowi. P. Tuliszkowski oświadcza, że był on zawsze usposobiony życzliwie dla wydawnictwa, zasiłił je fachowymi artykułami, zjednywał prenumeratorów, dla dostarczenia większych środków pieniężnych na ulepszenie wydawnictwa, przeprowadził na zjeździe 1910 roku wyższą opłatę za prenumeratę, zmuszony jednak przy całej życzliwości dla wydawnictwa wypowiedzieć się, że wydawnictwo nie stoi na wysokości zadania, zawiera przeważnie bezwartościową treść, przedruki z innych miesięczników, zawiera bezcelową, nieporęczającą, zebraną z gazet codziennych kronikę pożarów z całego ubiegłego tygodnia. Co najgorsza, jest zależne od fabrykantów, subwencjonujących wydawnictwo swemi ogłoszeniami. Wydawnictwo, przeznaczone dla straży, należy gruntownie zreformować, należy je uniezależnić od postronnych wpływów. Przeznaczone ono być winno dla pouczania i doskonalenia straży. Powinno zawierać artykuły oryginalne. Doświadczonych współpracowników z pośród strażaków nie brakuje wydawnictwu, opisy pożarów mogą się znaleźć na łamach wydawnictwa, o ile połączone będą z krytyką ratownictwa. Gdy wydawnictwo będzie bogate w treść pouczającą, stanie się niezbędne dla każdego strażaka i istnienie wydawnictwa będzie zapewnione. P. Tuliszkowski stawia więc wniosek, aby na dzisiejszym zebraniu postanowić założenie własnego organu strażackiego.

P. Szyller, redaktor „Strażaka” zbija zarzuty, stawiane jego wydawnictwu, nie z jego winy wynika polemika, która spowodowała życzliwego dotychczas „Strażaków” pana Tuliszowskiego do zmiany usposobienia. Redaktor uważa swój miesięcznik za niczem nie ustępujący podobnym wydawnictwom galicyjskim, które umieszczają przedruki nawet ze „Strażaka”. O współpracownictwo niejednokrotnie zwracał się Redaktor, do swych czytelników, prosi o nie i obecnie. Redaktor uważa, że sumiennie i według sił spełnia swój obowiązek względem społeczeństwa i nadal go spełniać będzie. Nie staje on na przeszkodzie, by p. Tuliszowski wydawał pismo strażackie, będą w takim razie dwa pisma.

P. Olkusi z Końskich proponuje, aby utworzyć przy wydawnictwie komitet redakcyjny, któryby dbał o poprawę wydawnictwa.

P. Giżewski z Łęczycy proponuje, aby podwyższyć cenę prenumeraty i tem umożliwić redakcji „Strażaka” opłacać oryginalne artykuły, które zastąpią obecne bezwartościowe przedruki.

P. Cywiński z Radomia proponuje, aby strażę nabyły od p. Szyllera koncesję na wydawnictwo „Strażaka”.

P. Biesiekiński z Grodziska proponuje, aby „Strażaka” wydawać pod redakcją p. Szyllera, któremu wyznaczę należy pensję, kierownictwo obłąby komitet redakcyjny z pośród wybranych członków straży. Bezpłatnymi współpracownikami byli by liczni z pośród nas działacze-strażacy.

P. Nell z Aleksandrowa proponuje, aby wybrać komisję, któraby rozpatrzyła sprawę wydawnictwa, czy to nabyć od p. Szyllera koncesję, czy to wydawanie niezależnie od „Strażaka” nowego wydawnictwa; do komisji tej proponuje pp. Jakóba Kona, Bolesława Chomicza i Józefa Tuliszowskiego.

P. pułkownik Lund jest za własnem wydawnictwem, niezależnem od prenumeraty, na które by Straże łożyły niezależne wpłaty. Wydawnictwo powinno być wszystkim strażom bezpłatnie wysyłane. Trudno to teraz urzeczywistnić, gdy nie ma organizacji prawnej, któraby się

podjęła wydawania gazety. Taką organizacją będzie w przyszłości oddział Cesarskiego Towarzystwa Pożarniczego.

Przewodniczący wobec dostatecznego oświeślenia kwestji wydawnictwa poddaje pod głosowanie zgłoszone wnioski, przechodzi wniosek powołania komisji w osobach pp. Chomicza, Kona i Tuliszkowskiego dla przeprowadzenia w najbliższy i najdogodniejszy sposób reorganizacji specjalnego wydawnictwa dla Straży.

Na porządku dziennym jest oznaczenie terminu i miejsca następnego zjazdu.

P. Olkuśki z Końskich proponuje, by następny zjazd mógł się odbyć w Radomiu.

P. pułkownik Lund zwraca uwagę, że prawo urządzania zjazdów posiada dotychczas Włocławek, więc zasadniczo następny zjazd należy wyznaczyć we Włocławku. Nie przeszkadza to jednak, aby straż i innych miejscowości wyjednały u swych władz pozwolenie urzędzenia u siebie zjazdu, co jest możliwem, gdyż i Częstochowa uzyskała w roku bieżącym pozwolenie na zjazd. O ile straż uzyska pozwolenie na zjazd u siebie, będzie można zjazd w najdogodniejszej dla Ogółu miejscowości urządzić.

P. Nell z Aleksandrowa proponuje, aby następny zjazd połączony był z konkursami ćwiczeniami, by odbył się on w jesieni roku przyszłego, do tego czasu czynności poszczególnych straży prowadzone będą na zasadzie uchwalonego regulaminu i instrukcji; dla tego potrzebny jest ten późny termin, by przekonać się można było, jaki rezultat przyniosły uchwalone reformy: pozostawie strażom chętnym, posiadającym odpowiednie pomieszczenie i urządzenia, wystarcanie się o zjazd u siebie. Komisja Włocławska, której pozostawia się zasadniczą pracę, stosownie do zaopiniowania i uzyskanych pozwoleń na zwolnienie zjazdu, zwoła zjazd w najdogodniejszej z zgłoszonych miejscowości lub urządzi go w Włocławku.

Wniosek ten przechodzi z poprawką p. Tuliszkowskiego, by Komisja organizacyjna zwróciła się z propozycją do większych organizacji strażackich, by te uzyskały pozwolenie władz gubernialnych na urządzenie u siebie zjazdu i popisy konkursowych strażackich.

Komisja organizacyjna, wobec ukończenia swych prac, składa mandaty; zebrani przez aklamację powołują ten sam skład osób do komisji organizacyjnej.

P. Nell z Aleksandrowa zwraca uwagę, że komisja jest niekompletna, więc należy wybrać brakujących członków do komisji, poatem prosi o wybranie nowego składu komisji, gdyż dotychczasowi swą pracę ukończyli.

P. Kon z Częstochowy prosi ze względu na nieukończone prace, by członkowie komisji organizacyjnej zatrzymali swe mandaty i brakujących członków skompletowali sobie.

P. P. Nell i Balcer nie zgadzają się na głosowanie przez aklamację i rzekają się godności i obowiązków członków komisji organizacyjnej.

Przewodniczący zarządza wybór 7-miu członków komisji organizacyjnej zamkniętymi kartkami, wynik tych wyborów okazał się następujący.

p. Balcer z Łowicza	głosów	45
„ Nell z Aleksandrowa	„	42
„ Potrzebowski z Włocławka	„	41
„ Tuliszkowski z Włocławka	„	41
„ Gryżewski z Łęczycy	„	31
„ Stanisławski z Łowicza	„	26
„ Jarnuszkiewicz z Włocławka	„	25

Wynik tych wyborów przyjęty zostaje oklaskami.

P. Nell z Aleksandrowa uważa, że jedną z pierwszych prac komisji będzie opracowanie modeli kartonowych i wydanie ich, wobec czego prosi o wyznaczenie funduszu na wydawnictwo; zebrani uchwalają wydatkowanie z funduszu organizacyjnych na ten cel rub. 100.

Przewodniczący ogłasza, że porządek dzienny został wyczerpany i proponuje zamknięcie Zjazdu.

P. Kon z Częstochowy proponuje wyrazić podziękowanie Zarządowi i Sztabowi Straży Ogniowej Ochotniczej Włocławskiej za poniesione ogromne trudy tak zwołania w swej siedzibie Zjazdu jak i ułożenia i wyżywienia tak licznej rzeszy. Zebrani ten wniosek oklaskują i składają podziękowanie w ręce czcigodnego prezesa p. Potrzebowskiego.

Zebrani składają podziękowanie p. Kopczyńskiemu za tak świetne prowadzenie obrad w ciągu 2-dni, poczem Zjazd zostaje zamknięty i protokół zakończony.

Dr. inż. Meyer.

Bezpieczeństwo ogniowe w stosunku do konstrukcji budowli *).

a. Ściany.

1. *Ściany z kamienia.* Mury z kamienia łupanego, przy praktykowanej zwykle grubości 0.40 m., uważane są w gruncie rzeczy za takie, które bez wewnętrznego obmurowania cegłą, używane są właściwie tylko w okolicach, gdzie kamienia jest duża ilość, jak to ma miejsce w Zachodnich i Południowych Niemczech. W Północnych zaś i Wschodnich Niemczech bywają one zastępowane przez znajdujące się tam w znacznej ilości odpadki granitowe. Dla ich hygroskopijnych właściwości używa się, czystych, łupanych kamieni, wogóle tylko przy budowie gospodarskich budynków. W tym wypadku zamiast wewnętrznego tynku używa się po większej części wyprawy na wapno. Tego rodzaju mury uważane są według wielokrotnych doświadczeń przy pożarach na wsi, jako ogniotrwałe. W stodołach, z tego rodzaju konstrukcją, w ogólności pali się tylko zawartość budynku, oraz wiązanie dachowe, otaczające zaś mury pozostają nienaruszone. Znacznie zaś podnosi się bezpieczeństwo ogniowe przez użycie wewnętrznego tynku z długotrwałą wyprawą na cement.

Mury z palonej cegły, których grubość sięga 0.38 m., uważane są dla okalających ścian, w ogólności, jako ogniotrwałe. Wewnętrzny tynk używa się przeważnie przy mieszkaniach; Zewnętrzny zaś wogóle wtedy jest zbędny, pierwszy podnosi bezpieczeństwo ogniowe i działa mianowicie przeciw częstemu tworzeniu się szczerb przy wysokiej temperaturze. Strata przy murach z cegły, wskutek wyjątkowo dotkliwych pożarów, zdarza się rzadko. Najlepsze są mury z klinkieru w połączeniu z długotrwałą wyprawą cementową, którego wytrzymałość ogniowa bez żadnej wątpliwości jest najpewniejsza.

Najwięcej wskazane są mury ze spojonych ze sobą żuzli, jako posiadające małą wagę i zachowujące ciepło; mianowicie nad Renem, okazały się one przy kilkakrotnych pożarach jaknajlepszymi. Składową częścią powyższego rodzaju muru jest żuzel, który jest dobrym przewodnikiem ciepła — dzięki swemu wulkanicznemu pochodzeniu, jakoby już wytrzymał on próbę ogniową.

Nad murami z płaskowca chwilowo nie robiono doświadczeń w tym zakresie, jednakże doświadczenia spostrzeżenia przy próbach pożar-

*) Fachowa literatura ojczyzna nie posiada u nas dotychczas specjalnej pracy, traktującej o bezpieczeństwie budowli w związku z ich konstrukcją. To też pozwoliliśmy sobie na tem miejscu podać zwięzły skrót pracy autora niemieckiego, z nadmienieniem wszakże, że w szeregu artykułów poszczególnych będziemy podawali prace oryginalne, na materiale krajowym oparte. Tem nie mniej sądzimy, że podanie Szanownym Czytelnikom materiału, zaczerpniętego z obserwacji Zachodu, zwłaszcza z Niemiec, gdzie warunki budownictwa ogniotrwałego stoją już na poziomie należytym, stanowić będzie dla nas ważny materiał orientacyjny na przyszłość — Przypisek Redakcji. —

rach i stratach ogniowych, w ogólności okazały się pomyślnymi, tak że nie zachodzi obawa przeciw używaniu piaskowca na ogniotrwałe murowanie. — Jednakże i w tym wypadku użycie wewnętrznego tynku, jak we wszystkich wypadkach, gorąco poleconem być winno. —

2. *Brandmury.* Już w wiekach średnich nakazywano w miastach oddzielać domy wolną przestrzenią dla zabezpieczenia całych kwartałów domów i wzdłuż ciągnących się ulic od przerzucania się ognia. Pomiędzy domami, położonymi od frontu, musiały być pozostawiane uliczki ogniochronne szerokości od 1 do 1,5 mt., ażeby, przy pożarze średniowiecznych domów z pruskiego muru, jedynie możliwymi środkami ratunkowymi zburzone być mogły. Uliczki ogniochronne w starej dzielnicy miasta można dziś jeszcze wielokrotnie spotykać, po większej zaś części są położone one obecnie z boku ulic. Nowoczesna policja budowlana nakazuje, aby przy stykaniu się dwóch domów, oraz w rzędzie ciągnących się frontów były umieszczane specjalne brandmury. Konstrukcja brandmurn w pojedynczym wypadku powinna odpowiadać wszelkim prawidłom policyjnej ustawy budowlanej i powinna być obliczoną stosownie do jego siły, materiału, wysokości ponad dach, odległości od drewnianych konstrukcji, jako też przepisanych przerw. Gdyby brandmury, z punktu widzenia architektonicznego, nie wychodziły ponad dach, wtedy konstrukcja dachowa powinna być ogniotrwała na 1 m. po obu stronach brandmuru i od dachu dobrze oddzielona. — Tak nakazuje naprz. regulamin policji budowlanej dla okręgu miejskiego m. Berlina dla brandmurów, a mianowicie.

Wszystkie budynki, które dotykają sąsiednich bezpośrednio i bliżej niż 6 m. położone, powinny być zabezpieczane brandmurami. Tego rodzaju brandmury powinny być minimalnie grubości 0,25 m. i powinny wychodzić w jednym ciągu przez wszystkie piętra, oraz ponad dach do wysokości 0,20 m. Dla oświetlenia wewnętrznych ubikacji dozwolone są jednakże otwory, które winny być zamurowane mocnym szkłem, minimalnej grubości 1 cm., jeżeli takowe na długości 5 m. ściany znajdują się pojedynczo na każdym piętrze. Przy długich frontach domów trzeba przeprowadzić cały na długość 40 m. brandmur. Otwory drzwiowe w takich brandmurach są dozwolone, lecz z zachowaniem szczególnych przepisów (patrz dalej rozdział „Ogniotrwałe drzwi“). W szczególnych zaś wypadkach możliwe jest tylko pozwolenie specjalne.

3. *Ściany z drzewa.* Całkowicie drewniane ściany bez żadnego zewnętrznego pokrycia nie stawiają w razie ognia najmniejszego oporu. Wszystkie zatem komórki tremple i t. p., oddzielone zwykłymi drewnianymi ścianami, nie mogą rościć najmniejszej pretensji do bezpieczeństwa ogniowego, które jednakże zwiększa się znacznie dzięki stosowaniu tynku z wyprawą na wapno, lub długotrwałej wyprawy na cement. Doświadczenia wykazały, że tego rodzaju ściany dosyć długo stawiają opór żywiołowi ognia. Dłuższe trwanie żaru ognia doprowadza wprawdzie ścianę z desek pomiędzy dwiema warstwami tynku do stanu zarzenia się lub zwęglania. Jeżeli zaś dodać do

tego ciśnienie i oziębianie dzięki strumieniom wody, to w większej ilości wypadków drewniana ściana z tynkiem będzie zniszczoną, jednakże wystarcza częstokroć, jeżeli jakiś czas tylko da się powstrzymać ogień, dopóki pomoc lub ratunek straży ogniowej nie nastąpi. Tylko w tym stopniu można ściany drewniane z obustronnym otynkowaniem uważać zawsze jako pewnego rodzaju odporne na ogień. We Wrocławiu, przy próbach ogniowych w 1906 r., ściana z drzewa świerkowego z doskonałym podwójnym tynkiem, grubości 4 cm. wytrzymała temperaturę 1000° przez 1/2 godziny.

Jeżeli zaś zwykłą wyprawę na wapno zastąpi się otynkowaniem z wypróbowanego i ogniotrwałego zewnętrznego pokrycia (jak naprz. azbest z wyprawą na cement i t. p.), to przeciw bezpieczeństwu ogniowemu podobnej ściany drewnianej nie zachodzi żadna wątpliwość.

Tynk z trzciny może być używany tylko z wielką ostrożnością. Jako pewny okazał się przy berlińskich próbach ogniowych tynk na latach t. zw. „Pliesterlatten“, jako też tynk na drewnianej pleśni z listew według systemu Szuberta. Znakomicie trzymało się pokrycie z azbestowo-cementowych płyt z dodaniem drutowej tkaniny. Nadszkodziewanie dobre wyniki dały specjalnej konstrukcji ściany z bali, jakie używane są na małe letnie i strzeleckie domki. Za warunek jednak uważać należy, ażeby pojedyncze bale ściśle jedne na drugich położone były, i ażeby żadne ostre kanty, lub rogi nie wystawały. —

4. *Ściany z muru pruskiego.* Pruski mur na glinie, używany jeszcze na wsi ze względu na taniać jest niebezpieczny na wypadek ognia. Gлина twardnieje przez gorąco i opada po zwęglaniu się drewnianego wiązania. Nietynkowany pruski mur z obmurowaniem z cegły może naturalnie stawiać opór ogniowi tak długo, dopóki trzyma się drewniana ryglówka. Jeżeli istotnie takowy jest nadwęglony i osłabiony w swojej sile spoiwości, to wtedy wali się. Ważnem jest dobre wzmocnienie obmurowania w takim murze na przekładniach i reglach. Najlepiej się to uskutecznia przez trójkątne listwy, które najlepiej są wskazane, jako ściśle pasujące do cegły. Jak mało wartości wogóle do tego przywiązują, świadczą o tem często robione występy przy budowlach z pruskiego muru. Chcąc zwiększyć bezpieczeństwo ogniowe podobnych ścian z pruskiego muru, poleca się szalowanie ich drzewem wraz z tynkiem ze strony zagrożonej, lub wrznięcie w zewnątrzna strona bierze się pod uwagę — pokrycie z dachówek lub szyfru. Jeżeli tylko zawczasu pruski mur zaopatrzony będzie w zwykły tynk, to tak długo jest zabezpieczony, dopóki tynk nie zacznie opadać. —

5. *Ściany z obramowaniem żelaznem* Ściany z żelaznem obramowaniem mają wyższość nad drewnianymi, gdyż w miejsce łatwo zapalnego drzewa wchodzi nie łatwo palne żelazo, które jednakże powoduje duże straty przez lekkie zgięcie się podczas silnego ognia. Napewno będzie ono w porównaniu z drewn. pruskim murem znacznie dłużej trwało, dopóki żelazo nie rozpali ściany z takim obmurowaniem i w swojej wytrzymałości się zmniejszy. Jeżeli zaś takie położenie nastąpi, to cała ściana pochyla się, zwłaszcza jeżeli za-

chodzą znaczne obciążenia. Jeżeli uważać ścianę z takiego muru z żelazem za ogniotrwałą, to to zabezpieczenie żelaznych części nie może być pominięte. — To samo dotyczy ścian z gipsowych płyt w żelaznych ramach; do tego rodzaju ścian przepisana jest grubość 5 cm. minimalnie.

6. *Ściany z blachy falistej.* Takie ściany przy stosownem rozpięciu i podziale nie na dużej przestrzeni wogóle, jako ogniotrwałe uważane być mogą. (Kurtyny bezpieczeństwa w teatrach). Jeżeli zachodzi obawa wielkiego żaru, to poleca się pokrycie specjalną warstwą niepalną, ponieważ płomień łatwo może spowodować zgięcie i przepuścić powietrze i dym.

(Uwaga Tłomacza: System omawiany w tym rozdziale już znajduje zastosowanie u nas w kraju przy stawianiu fabrycznych budowli i magazynów.)

7. *Ściany działowe (freitragende).* Z pomiędzy tego rodzaju ścian mają pierwszeństwo ściany złożone z cegieł i betonu, natomiast ściany z gipsu ustępują wzmiankowanym; jednakże, tylko w rzadkich wypadkach, bywa obawa, ażeby takie ściany bez części drzewnych z obustronnym tynkiem uważać za ogniotrwałe. Ściany płyt gipsowych izolują wprawdzie dobrze od silnego gorąca, nie mogą jednak długo stawiać oporu silniejszemu żarowi ognia, zwłaszcza natryskowi wody. Do ścian, o których jest mowa w rozdziale niniejszym, należy zaliczyć i ściany specjalnych konstrukcji podług systemu „Prüssa“, „Donatha“, „Monier“, „Rabitz“ i innych. To samo dotyczy rozpiętych ścian metalowych z dziurkowanej odwiniętej żelaznej blachy z obustronnym tynkiem, co się również uważa za ogniotrwałe.

Przy demonstrowanym pożarze w Kolonii w 1890 r. wykonanie ścian tego systemu okazało się doskonałym. Ściany Moniera wytrzymały temperaturę ognia dochodzącą do 1200° bez szkody i widocznego rozłączenia się betonu od żelaza. Ta okoliczność, że beton i żelazo posiadają w przybliżeniu jeden i ten sam ułamek rozciągłości, skutecznie w tym wypadku działa. Sposób budowy Moniera uznany został przez berlińską policję budowlaną, jako ogniotrwały.

(c. d. n.)

Tłomaczył Brunon Świętochowski.

Dachówka cementowa w budownictwie wiejskiem.

I.

Zbytecznem byłoby mówić o groźnych skutkach pożarów we wsi polskiej. Brak dozoru i ostrożności w obchodzeniu się z ogniem, podpalanie, jako wynik niskiego stanu kultury obywatelskiej naszego ludu, są to czynniki które każdej chwili grożą mieniu i życiu mieszkańców wsi. Lecz groźniejszym od tych czynników jest skupienie budynków a nadewszystko materiały — drzewo i słoma, z których prawie wyłącznie wieś polska jest zbudowana.

Ogień, który w jednym budynku łatwo mógłby być opanowanym lub najwyżej groziłby pozbawieniem dachu jednej rodziny, przenosi się na sąsiednią strzechę a przy najłżejszym wietrze ogarnia wieś całą i staje się klęską zbiorową. Setki, tysiące pożarów regularnie co roku powtarzających się a szczególnie gwałtownych w upalnym okresie zbiorów, stają się klęską narodową, rok rocznie pochłaniającą 4—5 milionów dobytku. Cyfra ta, wyjęta ze sprawozdań operującej na wiejskim terenie Królestwa instytucji rządowej ubezpieczeń od ognia, obejmuje li-tylko wartość budynków spalonych w ostrożnem oszacowaniu instytucji. Jeśli przyjąć pod uwagę stratę ruchomości i przerwę w gospodarstwie, spowodowane pożarem, wówczas cyfra ta podniesie się do 6—7 milionów.

Jestto ciężar tak nienormalnie wielki, tak wycieńczający słabą ekonomicznie ludność wiejską, że walka z chroniczną klęską ogniową staje się przykazaniem wszystkich dobrze myślących obywateli kraju i wysuwa się na czoło zadań społecznych obecnej doby.

W walce tej obok akcji ratunkowej, skierowanej ku opanowaniu wynikłego pożaru, wyrasta inna, zmierzająca ku usunięciu przyczyny zbiorowych pożarów, — a jest nią w pierwszej mierze, stosowanie budownictwa ogniotrwałego na wsi, przedewszystkiem zaś, usunięcie tradycyjnej strzechy.

Wobec konserwatyzmu i małej zdolności platniczej naszego ludu, sprawa wyboru materiału dachowego, mającego zastąpić słomę, nabiera wagi pierwszorzędnej. W przekonaniu mojem, materiałem powołanym do spełnienia tego zadania — jest dachówka cementowa.

Instytucje samorządu ziemskiego, istniejące w Rosji około 50 lat — oddawna energicznie i wytrwale — pracują nad ochroną wsi od klęski ogniowej. Obok szerzenia inicjatyw i udzielania pomocy pieniężnej w zakładaniu straży ogniowych, zwrócono pilną uwagę i nie szczędzono środków, na rozpowszechnianie ogniotrwałych materiałów dachowych.

Najpierwszym etapem w tej akcji, było rozpowszechnianie wśród ludności w Rosji popularnej blachy żelaznej. W poszczególnych guberniach zakładano cegielnie do wyrobu dachówki glinianej; wreszcie zaczęto gorliwie stosować dachy gliniano-słomiane, które i obecnie posiadają wielu zwolenników. Wszystkie te materiały ustąpiły jednak, — w przeważnej części — miejsca dachówce cementowej i tę uznano za bardziej nadającą się do szerokiego rozpowszechniania i najodpowiedniejszy materiał. Wyrazem tego przekonania jest uchwała zjazdu, odbytego w Petersburgu techników budownictwa ogniotrwałego — w listopadzie roku zeszłego, obwołanego przez Zarządy ziemskie wszystkich niemał gubernji, posiadających samorząd.

Uchwała ta brzmi: „dachówkę cementową należy uznać, za jeden z najlepszych materiałów do krycia dachów. W celu należytego popierania wyrobu i rozpowszechniania dachówki cementowej, pożądanem jest udzielenie ludności z kapitałów ubezpieczeniowych zarządów ziemskich szerokiego kredytu“.

Uchwała ta została prawie powszechnie wprowadzoną w życie i obecnie wszystkie niemal gubernje Rosji, przeznaczają na ten cel znaczne sumy.

Działalność przyjmuje formy rozmaite w zależności od warunków miejscowych.

W niektórych miejscowościach wydawane są długoterminowe pożyczki bezprocentowe na zakup maszyn i cementu; w innych zarządy ziemskie same wyrabiają dachówkę i sprzedają ludności po cenie niższej.

Niezależnie od tego zakładane są szkoły budownictwa ogniotrwałego a Zarządy zatrudniają licznych instruktorów.

Bezwzględna przewaga, jaką osiągnęła dachówka cementowa w walce ze słomianym dachem, łatwo staje się zrozumiałą przy porównaniu tego materiału z innymi rodzajami pokryć dachowych.

Blacha cynkowa i żelazna cynkowana, jako materiały zbyt drogie, nie mogą znaleźć zastosowania w budownictwie wiejskiem.

Blacha żelazna, posiadająca niewątpliwe zalety, posiada również dwie kardynalne wady — jest drogą i wymaga kosztownej i kłopotliwej konserwacji. Krycie dachu blachą żelazną, wymaga specjalisty dekarza, o którego na wsi trudno. Żelazo niemalowane rdzewieje i niszczy się nadzwyczaj szybko, malowanie zaś dachów — podnosi i tak już wysoki koszt tego pokrycia, wykonanie zaś niedbale nie zabezpiecza żelaza od rdzy.

Dachy gliniano-słomiane — są ogniotrwałe, a przy umiejętnym i starannym wykonaniu nie przepuszczają wody i są odporne na wpływy atmosferyczne. Koszt tych dachów przy starannej robocie, nie jest jednak tak niskim jakby się to zdawało, wynosi bowiem około 14 kop za 1 lok. □ pokrycia.

Wielkim hamulcem w rozwoju tych dachów jest nieodzowny warunek stosowania gliny pewnych ściśle określonych gatunków. Dachy wykonane z *materiałów nieodpowiednich* (czyli z gliny przy znacznej domieszce piasku), po upływie 2-5 lat zawodzą — glina zostaje wypłukana, a dach traci pierwotną ogniotrwałość i nadmiar złego przecieka.

Dachy gliniano-słomiane są ciężkie, szczególnie w stanie mokrym, świeżo po ułożeniu; z tego względu krokwie, wymiarów zwykle używanych w budynkach włościańskich, są zbyt słabe.

Pomimo wielu wad powyższych, dachy gliniano-słomiane, nadają się do rozpowszechniania, lecz w tych jedynie miejscowościach, gdzie znajdują się pokłady odpowiedniej gliny, czyli tlustej, bez najmniejszej domieszki piasku.

To samo da się powiedzieć o dachówce palonej z gliny. Dachówka ta jest znakomitą materjałem ogniotrwałym, nieprzepuszczalnym i odpornym na wpływy opadów, mrozu i słońca. Istnieją jednak poważne przeszkody w traktowaniu dachówki glinianianej, jako materiału przeznaczonego do powszechnego użytku w budownictwie wiejskiem. Wyrób dachówki dobrej, wymaga specjalnych kosztownie urządzonych cegielni z piecami Hofmanowskimi i z mechanicznym przetwarzaniem gliny. Dachówka ta bowiem, wyrobiona sposobem gospodarczym, wypalona w piecach

polowych, jest niewytrzymała, niejednolita, słowem — pod względem dobroci, pozostawia dużo do życzenia.

Jako wytwór przemysłu wielkiego, a w każdym razie wymagającego znacznie większego kapitału i odpowiedniej organizacji handlowej — dachówka gliniana jest produktem drogim, ponieważ dla zapewnienia swego istnienia, cegielnia musi obsługiwać znaczny obszar, przybywa tedy do ceny samej dachówki koszt przewozu i nieunikniony procent uszkodzenia w drodze.

Koszt pokrycia dachówką glinianą wynosi u nas przeciętnie ok. 25 kop. za 1 lokiec □, a nie raz znacznie drożej.

Przechodząc do oceny dachówki cementowej, podkreślić musimy przede wszystkim zasadniczą zaletę tego materiału, której nie posiada ani blacha ani dachówka gliniana. Zaletą tą jest możliwość wyrabiania dachówki cementowej przez każdego, kto ma odpowiedni piasek, na miejscu budowy.

W ten sposób zostają zaoszczędzone koszty przewozu, które dla dachówki palonej są często — bardzo wysokie; zaoszczędzonym zostaje ponadto zysk, przedsiębiorcy i pośrednika.

Włościanin wytwarza dachówkę na własne potrzeby, lub też staje się dostawcą swoich sąsiadów, a zadawać się przytem musi niewielkim zyskiem, ponieważ nie potrzebuje opłacać ani administracji ani amortyzować kosztownych urządzeń.

Stosowanie dachówki cementowej w budownictwie wiejskiem przynosi zatem i ten dobry skutek, że powstaje w ten sposób nowa gałąź przemysłu ludowego, sama w sobie wysoce pożyteczna, z niewyczerpanym rynkiem miejscowym. Wśród dachówki cementowej o tyle jest prostym, że w zupełności się nadaje dla przemysłu ludowego.

(d. c. n.)

Inż. W. Zaleski.

Ubezpieczenie od ognia a budownictwo w kraju.

Pragniemy na tem miejscu skreślić w rysach głównych stan budownictwa w kraju na mocy posiadanych przez nas cyfr, jakie dostarczają wyniki statystyczne z działalności instytucji ubezpieczeń od ognia.

Tego rodzaju zestawienie da nam materiał orientacyjny dla stwierdzenia, na jakim poziomie w dobie obecnej znajduje się budownictwo u nas. Materiał taki posiada tem większe znaczenie, że zadawający stan budownictwa jest najgłówniejszym czynnikiem w walce z klęską ogniową i przedstawia skuteczną tamę w pożarach zbiorowych.

Odrzuć jednak zaznaczyć winniśmy, że stan budownictwa u nas — zwłaszcza po wsiach, miasteczkach i osadach — pozostawia wiele do życzenia; że na tem polu pozostaliśmy w tyle w porównaniu z takimże stanem na Zachodzie.

Kto z czytelników naszych chociażby pobieżnie oglądał wsie i miasteczka tuż za granicą Kraju

na terytorjum Prus, przyznać musi, żeśmy w tym kierunku zostali upośledzeni i na niższym poziomie kultury materialnej zostajemy.

Na powyższe złożyło się wiele czynników, a bodaj za najgłówniejszy uważać należy brak u nas samorządu i stosownej ustawy budowlanej.

Takie sprawy, jak budownictwo — osobiście w miastach mniejszych i osadach — nie mogą być pozostawione samorządowi rozwojowi, muszą być natomiast ujęte w karby rygoru budowlanego i odpowiedniej opieki administracyjnej.

Kraj nasz (wyluczając Warszawę), na początku roku 1911 posiadał ogółem 1.056.726 nieruchomości z 3.445.120 budynków.

Podług kategorii przypada z powyższej ilości na działy poszczególne:

Kategorie	I l o ś ć	
	nieruchomości	budynków
Dworskie . . .	16.556	172.975
Fabryczne . . .	2.951	17.706
Miśny . . .	9.668	11.568
Kościóły . . .	3.258	20.087
Publiczne . . .	6.464	17.848
Miejskie gub. .	7.897	55.495
„ pow. . .	54.515	146.694
Osady . . .	87.755	275.045
Wiejskie . . .	887.906	2.749.704
Razem . . .	1.056.726	3.445.120

Z tego wykazu cyfrowego widzimy, że budowlę wiejską ilościowo zajmują pierwsze miejsce, stanowiąc prawie 80% ogólnej liczby budynków w kraju.

Ogólna wartość mienia ruchomego i nieruchomego w końcu r. 1910 wynosiła podług materiałów statystycznych Rb. 2.228.832.520, składka zaś ubezpieczeniowa (premja), jaką zapłacił kraj — 10.549.971 rb. straty, wypłacone pogorzelcom, sięgają 7½ miljonów rubli.

Jeżeli zważymy wszakże, że pożarom ulega nieraz mienie — zwłaszcza ruchome — nigdzie nieubezpieczone, oraz, że wogóle straty z pożaru są niemal zawsze większe od sum, wypłacanych w postaci wynagrodzenia pogorzelcowi, śmiało tedy, możemy podnieść sumę podaną o 25% i przyjąć do wniosku, że **pożary w kraju naszym wyrządzają olbrzymie szkody, sięgające 10.000.000 rubli rocznie.**

Należy nam tu jeszcze powiedzieć parę słów o pożarach pojedynczych i zbiorowych. Pożar pojedynczy, jako wypadek losowy, oparty wszakże na zwykłym działaniu fizycznym ognia, istniał zawsze i istnieć będzie; można mu nieraz w porę zapobiedz, można go zlokalizować, lecz usunąć raz na zawsze — niepodobna. Natomiast pożary zbiorowe, przy których pastwą stają się szeregi budynków sąsiednich, tworząc jedne morze płomieni rozhukanego żywiołu, zależne są już wprost od wadliwego stanu budownictwa i ze stanem kultury w bezpośrednim związku pozostają.

Zdobycze kultury w tym właśnie kierunku zmierzają ku temu, aby pożar powstały miał z góry określone ramy rozwoju i aby — dzięki wadliwej konstrukcji — nie ogarnął szeregu innych budowli sąsiednich. Pożarów zbiorowych, niszczących nie-

raz całe wsie i miasta drobniejsze, nie zna już Zachód Europy — racjonalnie bowiem prowadzone budownictwo zapobiega temu, redukując pożar w najgorszym razie tylko do zniszczenia nieruchomości, gdzie powstał ogień.

U nas natomiast pożary zbiorowe, rujnujące podwaliny dobrobytu miasteczek i wsi, są zjawiskiem normalnem, zwykłym, bo na niskim poziomie budownictwa opartem.

Wykaz niżej przytoczony świadczy wymownie, jakich rozmiarów sięgają pożary zbiorowe u nas i jak dotkliwe ciosy zadają ludności, przeważnie ubogiej. Dla ścisłości nadmienimy, że pożarem zbiorowym będziemy nazywali taki, który strawił **jednorazowo więcej, niż 25 nieruchomości.**

POŻARY ZBIOROWE.

Ilość pożarów	Rok	Ilość spalonych		Straty
		nieruch.	budyn.	
58	1904	5181	8628	1.484.670
21	1905	844	2087	585.946
54	1906	1456	4690	721.486
40	1907	2090	5890	1.045.544
58	1908	1571	5806	692.052
16	1909	405	1322	254.556
37	1910	1679	5518	924.421

Zbiorowe pożary dosięgły w okresie od r. 1904 do 1907 hiorbowych rozmiarów, przybierając zakres wprost klęski żywiołowej; dość wspomnieć, iż w tym okresie zanotowano 98 pożarów masowych, które strawiły 14518 budowli z ogólną stratą Rb. 2.550.014, przyczem *na jeden pożar poszczególny przypadało 147 budynków spalonych i 25816 rb. strat.* Nic wymowniejszego nad te cyfry przytoczyć nie można! Gdybyśmy zaś zechcieli wywzczególnić jedynie nazwy wsi i osad, które padły bądź całkowicie, bądź częściowo pastwą płomieni pożarów masowych, musielibyśmy poświęcić na to parę szpalt druku.

Mimowoli powstaje w umyśle pytanie, gdzie szukać przyczyny tego potwornego zjawiska, którego już nie zna oddawna Zachód Europy?

To pytanie rozwiązać jednak łatwo, jeśli zna się system budownictwa naszych osad, miast drobnych i wsi. Wartość budynków, dwory „okólnikiem“, żrąb z drzewa — poszycie ze słomy lub gontu brak studzien, lekceważenie najelementarniejszych zasad budownictwa i bezpieczeństwa ogniowego składają się na to, że osady i miasteczka nasze — nie mówiąc już o wsiach — przedstawiają jeden stos, jakby umyślnie ułożony ręką ludzką, by ułatwić żywiołowi dzieło zniszczenia. Najlepsza straż ogniowa w takich warunkach staje się zazwyczaj bezradną, bezsilną wobec lawiny płamienia i obfitego pokarmu, jaki napotyka na swej drodze ogień.

Potwierdzając powyższe danymi, ze statystyki zaczerpniętymi, widzimy, że Kraj nasz (w roku 1910) posiadał 86% budynków z drzewa, 7% — z muru i 7% — konstrukcji mieszanej.

Słomą pokryto w kraju 80% budowli, gontem i t. p. materiałami — 12% i zaledwie 8% budowli mają pokrycia ogniotrwałe (blacha, dachówka, papa i t. p.). Tym sposobem 2/10 budowli w Królestwie mają dachy łatwo palne. Każdy, co miał

do czynienia na praktyce z pożarami, odrazu uprzytomni sobie, że w tem właśnie kryje się — nieuchwytny na razie dla umysłu — powód, że pożary zbiorowe są u nas zjawiskiem normalnem i *nieuniknionem*.

Nawet w miastach gubernjalnych, gdzie częstokroć budynki podwórzowe są stawiane z materiałów łatwopalnych, budowle murowane stanowią 40%, budowle konstrukcji mieszanej — 8%, drowniane zaś — 52%.

Przechodząc do poszczególnych gubernji, można stwierdzić, że co do budowli murowanych i drewnianych, lecz o pokryciach niepalnych, pierwsze miejsce zajmują gub. Piotrkowska, za nią Warszawska, najgorzej zaś pod tym względem się przedstawiają gub. Siedlecka, Suwalska i Lubelska. W cyfrach i wnioskach powyższych dostatecznie oświetlony jest oplakany stan budownictwa krajowego. — Przebudowanie jednak kraju — (stosownie do wymagań bezpieczeństwa ogniowego) — z różdżki czarodziejskiej nie nastąpi — wiemy o tem dobrze. Trzeba na to dziesiątków lat i pracy planowej, mozolnej — a głównie duchem obywatelskim ożywionej. Zachód jednak nas poucza, że w tym kierunku przy mocnej i świadomej celu akcji, można dużo zdziałać w drodze odpowiednich ustaw i przepisów. Miejmy nadzieję, że samorząd nasz będzie miał poważne zadanie — a w swych skutkach dla dobrobytu Kraju — wprost doniosłe, a mianowicie zająć się uporządkowaniem i podniesieniem budownictwa ogniotrwałego.

Bolesław Chomicz.

Ubezpieczenie od strat, wywołanych przerwą w ruchu (w Niemczech).

W głównym Komitecie nadzorczym do spraw ubezpieczeń w państwie Niemieckim zostały przyjęte w następstwie rozpraw, jakie miały miejsce w wyższych instancjach sądowych, przedstawione przez związek prywatnych Towarzystw asekuracyjnych ogólne warunki ubezpieczeń od strat, wywołanych przerwą w ruchu z powodu pożaru, uderzenia piorunu lub wybuchu. Te z towarzystw w Niemczech, które pragną wprowadzić ubezpieczenie od strat wywołanych przerwą w ruchu, winny wyjednać każde dla siebie specjalne pozwolenie Komitetu nadzorczego.

Zgodnie z przepisami, koniecznym warunkiem jest to, aby ubezpieczenie zawierało podobną szkodę (pożar, uderzenie piorunu lub wybuch), — których skutkiem ma zapobiedz ubezpieczenie na podstawie ogólnych warunków ubezpieczeń od ognia. Ubezpieczenie od strat, wywołanych przerwą w ruchu, okazuje się przeto rozszerzeniem ubezpieczenia od uszkodzenia przedmiotów, przyjętego na podstawie warunków ubezpieczeń od ognia. Rozszerzenie to było już przewidziane w warunkach ubezpieczeń od ognia stosownie do końcowego ustępu § 1, punktu 2, który głosi: „Inną szkodę,

w szczególności inną *pośrednią* szkodę, jak również zysk, stracony wskutek wynikłego ognia, zawiera ubezpieczenie tylko o tyle, o ile to *specjalnie* zostało umówionem“.

Specjalna umowa o wynagrodzeniu innych pośrednich strat będzie w przyszłości mogła być zawierana na podstawie warunków ubezpieczeń od przerwy w ruchu. Stosownie do ścisłego związku, zachodzącego między ubezpieczeniem ogniowym od strat w przedmiotach i ubezpieczeniem od przerwy w ruchu, mają być do ubezpieczeń od przerwy w ruchu zastosowane warunki ubezpieczeń od ognia z wyjątkiem § 10, dotyczącego się zbycia (alienacji) ubezpieczonego przedmiotu. Tego rodzaju ubezpieczeniem objęte są:

1) strata w zysku z interesu, czyli powstały wskutek przerwy w ruchu ubytek w zysku, który byłby osiągnięty przy ruchu bez przerwy w przeciągu określonego czasu podług umowy, i 2) bieżące wydatki na prowadzenie interesu, czyli podczas trwania umowy zapłacone lub mające być zapłaconymi bieżące wydatki na prowadzenie interesu, o ile takowe są uzasadnione z punktu widzenia prawnego, lub gospodarczego (ekonomicznego) i o ile nie zostały spowodowane prowadzonym w dalszym ciągu lub wznowionym podczas trwania umowy ruchem. Zysk z interesu i bieżące wydatki na prowadzenie interesu mogą być ubezpieczane w oddzielnych pozycjach ubezpieczeniowych lub łącznie w jednej ogólnej sumie, ale również może być ubezpieczony tylko zysk lub tylko wydatki.

Szczególnie ważnym jest czas trwania takiej umowy, czyli okres, w przeciągu którego, począwszy od nastąpienia wypadku szkody, ubytek w zysku i bieżące wydatki na prowadzenie interesu mają być uważane za ubezpieczone. Jako czas trwania takiego zabezpieczenia w warunkach niemieckich oznaczono 3, 6, 9 i 12 miesięcy. Najdłuższe trwanie czasu zabezpieczenia strat, równa się 12 mies. i powinno wystarczyć we wszystkich tego rodzaju przypadkach, gdyż, w razie dłuższej nieczynności fabryki, nie może już być mowy o przerwie w ruchu, lecz jedynie o zawieszeniu produkcji. Z zawieszeniem zaś ruchu upada samo ubezpieczenie, ponieważ z chwilą tą znika możliwość otrzymywania zysków i powstawania bieżących wydatków. Nieznacne przerwy w ruchu, których następstwa dadzą się powetować bez znaczniejszych kosztów, wyłączają się również z obowiązku wynagrodzenia przez Towarzystwo.

Jakkolwiek czas zabezpieczenia strat podlega zaznaczonym ograniczeniom, jednakże ubezpieczenia na przeciąg czasu mniej, niż 1 rok, nie są przyjmowane lub nie powodują niższej premii. Przy ustaleniu stopy taryfowej trzeba zawsze brać za punkt wyjścia wysokość premii dla ubezpieczenia od ognia. Dla ubezpieczeń od przerwy w ruchu wskazana jest nieco wyższa stopa opłaty, ponieważ straty w stosunku do sumy ubezpieczeniowej przeciętnie będą większe, niż przy ubezpieczeniu przedmiotów.

Do ubezpieczeń od przerwy w ruchu stosuje się, ma się rozumieć, ogólna asekuracyjna zasada, że ubezpieczenie nie może być środkiem, ku osiągnięciu zysków przez ubezpieczonego zmierzającym. Jeżeli jakie przedsięwzięcie pracuje bez

zysków, to, w razie przerwy w ruchu, wywołanej pożarem, nie może z natury rzeczy dochodzić swych praw na odszkodowanie za stracone zyski. Dla wykazania wyników z prowadzenia interesu nieodzowne jest dokładne (według kupieckich zasad) prowadzenie ksiąg. Ubezpieczający się obowiązany jest w chwili wypadku i po nastąpieniu szkody starać się o odwrócenie lub zmniejszenie straty, co od niego, w myśl § 9 warunków, słuszenie wymaganem być może. W tym punkcie łączą się interesy ubezpieczonego z interesami towarzystw asekuracyjnych, ponieważ również i ubezpieczonemu powinno zależeć na tem, aby jaknajprędzej wznowić lub prowadzić tymczasowo w wynajętem pomieszczeniu ruch fabryki, przerwany całkowicie lub częściowo z powodu pożaru. Co do specjalnych wydatków, zmierzających ku zmniejszeniu straty, ubezpieczony winien wchodzić w porozumienie z Towarzystwem, które może te wydatki przyjąć na siebie.

Ustalenie wysokości straty czyli określenie poniesionego ubytku i bieżących wydatków, ponoszonych w dalszym ciągu wskutek przerwy w ruchu, następuje niewątpliwie znaczne trudności. Jednakże, zwykle obie strony uczynią najlepiej, używając do tego ekspertów, przewidzianych w § 11 warunków. Zadanie ekspertów polega na oznaczeniu na podstawie ksiąg, inwentarzy, bilansów i t. p. także i z poprzednich lat, jak przedstawiałby się bieg interesu w razie nienastąpienia przerwy. Ubezpieczony winien w myśl § 10 Warunków dawać Towarzystwu lub delegowanemu przez nie ekspertowi księgi, wszystkie niezbędne wskazówki i wyjaśnienia. Wypłata odszkodowania następuje w miesiąc po określeniu strat; jeżeli zaś można oznaczyć częściowe sumy strat, to takowe winny być wypłacone odpowiednio wcześniej.

Na podstawie powyżej naszkicowanych warunków ma spoczywać w Niemczech ubezpieczenie od strat, wywołanych wskutek przerwy w ruchu. Należałoby jednak narazie zacząć dla przekonania się, czy wogóle istnieje większe zapotrzebowanie na zawieranie podobnych ubezpieczeń. Żądania kół zainteresowanych nie raz wprowadzają w błąd, jak to się dało zauważyć przy wprowadzeniu ubezpieczenia od strat ponoszonych przez niewynajęcie lokali (Mietverlustversicherung). Ubezpieczenie to dopóki nie istniało, było skwapliwie oczekiwane przez właścicieli domów, obecnie zaś, po wprowadzeniu tego działu przez Towarzystwa, nadzwyczaj rzadko jest stosowane. Gdyby ubezpieczenie od strat, ponoszonych przez przerwę w ruchu, znalazło więcej popytu, to osiągnięte z biegiem czasu doświadczenie wskaże, czy i w jakich punktach warunki odpowiednie należałoby zmienić, i jaki zachodzi stosunek między wysokością premii i stratami.

—micz.



Palność i stan ubezpieczeń od ognia miasta Warszawy.

Pragnąc w słowach krótkich i w świetle cyfr przedstawić stan ubezpieczeń i palność miasta Warszawy, zaznaczamy odrazu, że przedstawia ona prawdziwą oazę wśród zaniedbanego — pod względem racjonalnego budownictwa — całego terenu Królestwa. Zadawałający mianowicie stan budownictwa (cegła i blacha), obfitość wody (wodociągi i hydranty) tudzież odpowiednia — choć z niektórymi brakami — zorganizowana straż miejska uczyniły już oddawna Warszawę terenem mało palnym. Ubezpieczenie od ognia w Warszawie — powołane do życia jeszcze na początku wieku ubiegłego — należy do jednej z najstarszych tego rodzaju instytucji w Europie i w chwili obecnej ma łatwe do spełnienia zadanie. Ustawa o ubezpieczeniu wzajemnem budowli m. Warszawy przechodziła w ciągu przeszło 100-letniego okresu istnienia różne fazy rozwoju, dzieląc losy dawnej Instytucji ogólnie krajowej, jaką była jedyna na Kraj Główna Dyrekcja Ubezpieczeń. Funkcje ubezpieczeniowe spoczywają na mocy jeszcze Ustawy z 5 17 kwietnia 1844 dotychczas w ręku Ogólnej Administracji miasta, czyli Magistratu. Ustawa ta, opracowana, jak widzimy, przed 70 laty, świeci obecnie zasadniczymi brakami i pod wielu względami — z chwilą wprowadzenia samorządu — musi ulegć gruntownej zmianie. Omówienie bliższe tej sprawy odkładamy do chwili stosownej, teraz natomiast przytoczymy nieco cyfr dla zobrazowania stanu ubezpieczeń i palności w dobie obecnej. Dla łatwiejszej orientacji nadmienimy tu, że w zakresie obowiązkowego ubezpieczenia, funkcjonującego przy Magistracie, wchodzić li tylko budowle oraz te ich części składowe, które umieszczone i umocowane są w nich nastale. Części te mogą być ubezpieczone jedynie na żądanie właściciela nieruchomości. Tym sposobem, cały szereg przedmiotów, jak towary, maszyny, wszelkie nieruchomości i budynki w trakcie ich budowy są po za sferą ubezpieczenia miejskiego.

W roku 1910 ogólna wartość ruchomości i nieruchomości, ubezpieczonych bądź w Magistracie bądź w towarzystwach prywatnych, wyniosła *rb. 440.299.170*, od której pochodziły premii *1.214.131 rb.*, przyczem na udział Magistratu z tych sum przypada 388.045 premii (składki) przy 285.468.170 rub sumy ubezpieczonej.

Ogólna ilość pożarów w tym że roku wynosiła liczbę 141, przyczem najwięcej pożarów — 20 — przypada na miesiąc maj. Z funduszy ubezpieczeniowych przy Magistracie asygnowano w roku 1910 sumę *Rb. 90.500*, jako zasilek dla straży ogniowej miejskiej oraz 30.000 *Rb.* na kupno sikawek parowych.

Budowle wszystkie w Warszawie podług obowiązującej taryfy miejskiej dzielą się podług taryfy na dwa działy główne: a) budowle zwykłe b) fabryki i zakłady przemysłowe. Z uwagi na małą palność — a więc nieznaczne straty w budowlach działu pierwszego, składka ogniowa utrzymana jest na dość niskim poziomie, wynosi bowiem zaledwie 75 kop. od 1000 *rb.* sumy ubezpieczonej.

ma się rozumieć, dla budynku murowanego o pokryciu niepalnem i niemieszczącego w sobie zakładów i rzemiosł o wyższym stopniu niebezpieczeństwa ogniowego. Dział ten budowli zwykłych, nie zważając na małą stopę składki, daje w rezultacie bardzo dobre wyniki finansowe, natomiast dział drugi, — czyli fabryk i zakładów przemysłowych — opłacających znacznie większą składkę, daje przeważnie straty nietylko dzięki właściwemu mu charakterowi większej palności, lecz również i dzięki wadliwej technice fachowej. Magistrat bowiem na mocy Ustawy obowiązany jest — bez prawa odmowy — przyjąć ubezpieczenie każdej nieruchomości fabrycznej, bez względu na jej subiektywne cechy niebezpieczeństwa, nadto zaś nie posługuje się praktykowaną przy należytej organizacji — reasekuracją, trzymając na swój udział całkowite, nieraz milionowe sumy. Wynikiem tego staje się, że dział fabryczny, ze względu na wadliwą technikę organizacyjną — szarpie zbyt dotkliwie fundusze i zyski, osiągnięte z działu budowli zwykłych. Tak, na przykład, w roku 1907 za spalone zakłady przemysłowe Michlera, czyli za jeden pożar, wypadło zapłacić przeszło 220.000 rb. *na rachunek własny*. Unormowanie należyte składki taryfowej tudzież zaprowadzenie przedewszystkiem reasekuracji mogłoby uzdrowić aparat ubezpieczeniowy Magistratu m. Warszawy. Naogół biorąc jednak miasto Warszawa pod względem palności i strat wynikłych z pogorzeł przedstawia się zadowalająco.

Bolesław Chomicz.

Boże Narodzenie a Pożary.

Suche cyfry statystyki nic nie mówią o radośnych nastrojach, ani też uciechach, wywołanych obchodem święta „Bożego drzewka“, natomiast z całą bezwzględnością stwierdzają niezwykle wzrost pożarów, wynikłych w okresie świąt Bożego Narodzenia, skutkiem zwiększonego stosowania światła nieosłoniętego.

Zapalanie świec na choince, spadanie niedostatecznie umocowanej zapalanej świecy, bliskość przedmiotów łatwopalnych, jak firanki, portjery i t. p. corocznie wywołują tysiące drobnych i wielkich pożarów, gwałtownie domagających się przestrzegania możliwych środków ostrożności. Jednem z liczniejszych źródeł takich pożarów bywają t. zw. szopki, wyrabiane z tektury lub innych materiałów palnych. Szopki te pod wpływem najmniejszego ognia stają w płomieniach i przy nieostrożnem obchodzeniu się z nimi nietylko same się spalają, lecz często wzniciają pożar znajdujących się w ich pobliżu przedmiotów.

Nawet tak niewinne na pozór świece magnezjowe, sprawujące podczas spalania się wrażenie ognia sztucznych w miniaturze, często bywają przyczyną pożarów. Według statystyki Związku niemieckich towarzystw ubezpieczeń od ognia, podczas świąt Bożego Narodzenia w roku 1909 w 27 Towarzystwach, należących do tego Związku, zameldowano 315 szkód, wywołanych przez świece magnezjowe, na ogólną sumę przeszło 39296 mk.

W większości wypadków pożarom uległy obrazy, dywany i t. d., pociągając za sobą nieznaczne sumy odszkodowania. W jednym wypadku, wywołanym zapaleniem się świec magnezjowych, w oknie wystawowym, suma odszkodowania wyniosła 30594 mk.

Również i inne towarzystwa ubezpieczeniowe zmuszone były wypłacać liczne odszkodowania za pożary, wywołane użyciem świec magnezjowych podczas Bożego Narodzenia w 1909 roku; nie wskazują one tylko dokładnej liczby tych pożarów i sum za nie wypłaconych. Ogólna liczba omawianych pożarów jest niewątpliwie bardzo znaczna, jeżeli zważymy, że wiele z nich nie jest meldowanych, albo też dotyczy towarzystw, nie należących do „Związku“.

Główną przyczyną powyższych pożarów nie jest odpryskiwanie iskier, lecz odpadanie roztopionej i rozżarzonej substancji, która na skórze ludzkiej wywołuje bolesne oparzenia, na przedmiotach łatwopalnych — większe lub mniejsze uszkodzenia ogniowe, wyroby zaś celluloidowe momentalnie ulegają płomieniom.

W ostatnich czasach wprowadzono do handlu świece magnezjowe, w których umieszczona na drucie masa palna, będąca połączeniem pyłu węglowego i magnezji, po spaleniu się nie odpada; ale palenie nawet takich świec, szczególnie przez dzieci, połączone jest z niebezpieczeństwem ogniewem.

— micz.

Pożary, wywoływane przez dzieci *).

Towarzystwa ubezpieczeń od ognia oddawna zwrócili uwagę na konieczność ograniczenia liczby pożarów, powstających wskutek nieostrożnego obchodzenia się z ogniem i światłem przez dzieci. Pomiędzy innemi, starały się T-wa wprowadzić do książek dla szkół ludowych pouczające powiadki o niebezpieczeństwach bawienia się zapalkami, ale wszystkie przedsięwzięte przez nie dotychczas środki okazały się w praktyce bezskuteczne.

Podług urzędowej statystyki Pruskiej, liczba pożarów, powstałych w Prusach wskutek nieostrożnego obchodzenia się dzieci z zapalkami, wzrosła od roku 1899 do 1905 z 535 na 1347. Liczba pożarów, wywołanych z tych samych przyczyn i w tym

*) **Uwaga Redakcji.** Z powodu braku ściśle prowadzonej statystyki Krajowej, podajemy na tem miejscu wiadomości, zaczerpnięte ze stosunków państwa Niemieckiego. Cyfry te i wnioski są nader ciekawe i odzwierciedlają ważną sprawę dla nas, a mianowicie, jak wielkie znaczenie posiadają ochronki dla dzieci wiejskich, pozostawianych zazwyczaj bez żadnego dozoru w czasie robót polnych. Dzięki gorszym warunkom kulturalnym, jakie panują u nas na prowincji, z góry możemy twierdzić, że cyfry i wnioski podane w artykule niniejszym można podwoić dla wsi naszych.

samym okresie przez osoby dorosłe podniosła się z 2520 do 4099.

Jako jeden ze środków zmniejszenia liczby pożarów z powyższych przyczyn, pruski Urząd podatkowy uważa wprowadzenie akcyzy od zapalek, wyrażając nadzieję, że środek ten skłoni ludność naogół do oszczędniejszego obchodzenia się z nimi, a specjalnie rodziców — do starannego chowania zapalek przed dziećmi, aby nie niszczyły ich bezcelowo. Czy i o ile nadzieje te się ziszcza, pokaże przyszłość.

Statystyka miejskiego towarzystwa ubezpieczeń od ognia w prowincji Saksonii, Magdeburgskiego ziemskiego towarzystwa ubezpieczeń od ognia i takiegoż towarzystwa w księstwie Saskiem wykazują za rok 1909 niewielki spadek liczby pożarów, wywołanych przez dzieci, w porównaniu z rokiem poprzednim. Rzecz prosta, że nie był to jeszcze skutek wprowadzonej akcyzy od zapalek.

Na terenie działalności miejskiego towarzystwa ubezpieczeń od ognia (z siedzibą w Merseburgu) w roku 1909 skonstatowano ogółem 90 wypadków (1908 — 121, czyli o 31 więcej) pożarów, wywołanych przez dzieci w wieku od lat 2 do 12. W 58 wypadkach winowajcami było ogółem 55 chłopców i 11 dziewcząt; w pozostałych 32 wypadkach płeć dzieci nie była ustalona.

Towarzystwo wypłaciło odszkodowanie za 81 pożarów (w 1908 — za 111) w ogólnej sumie 27189. (w 1908 — 46417,97) mk., z czego na pożary, wywołane igraniem z zapalkami, przypadło 49 (64) wypadków z 10819,09 (59589,79) mk. odszkodowania, a na pożary, wywołane przez dzieci wskutek innych przyczyn, — 32 (47) wypadki z 16370,77 (7051,12) mk. odszkodowania; w pozostałych 9 wypadkach towarzystwa wypłaciły 8886,50 mk.

Na terenie działalności dwóch prowincjonalnych towarzystw ubezpieczeń od ognia (z siedzibą w Magdeburgu i Merseburgu) w roku 1909 skonstatowano 69+42=111 (w 1908 roku—61+55=114, czyli o 3 więcej) pożarów, których winowajcami było 77 chłopców i 17 dziewcząt, czyli razem 94 dzieci (w 1908 roku—96 chłopców i 15 dziewcząt, czyli razem 111 dzieci) w wieku od lat 2 do 12. W pewnej liczbie wypadków nie można było ustalić płci dzieci. Powyższe towarzystwa wypłaciły za omawiane tutaj pożary 97458,20+45826,01=141284,21 mk. odszkodowania, wobec 104877,40+57508,66=162386,06 mk. w roku 1908, czyli mniej o 21101,85 mk.

—micz.



Operacje hipoteczne towarzystw asekuracyjnych w Niemczech.

Kapitały, jakie posiadają niemieckie tow. asekuracyjne, rosną z każdym rokiem w skali znacznej.

Ponieważ znaczna część tych kapitałów lokowana jest na hipotekach (co w naszych stosunkach państwowych mało praktykuje się), operacje więc finansowe Towarzystw niemieckich w tym kierunku nie pozostają bez wpływu ogromnego na ogólny stan gospodarki ekonomicznej w Państwie Niemieckiem.

Według danych statystycznych Komitetu Nadzorczego (Kaiserl. Aufsichtsrat für Privatversicherung) 108 instytucji asekuracyjnych, podlegających inspekcji tego Komitetu, wydały w 1911 r. 5.452 pożyczek hipotecznych na sumę ogólną 409 milionów marek. Z tej liczby przypada jedynie na nieruchomości Berlina 1.028 pożyczek na sumę 259 milionów marek, czyli przeszło 58%.

Tym sposobem tow. asekuracyjne, udzielając pożyczek wzmiankowanych, obsługują przeważnie potrzeby właścicieli domów w miastach, i ziemi na prowincji, przyczem, jak widzimy, sam Berlin z przedmieściami pochłania 1/2 tych pożyczek.

Przeciętna stopa %-owa wynosi 4,21, — przeciętna zaś prowizja 0,76%.

W Berlinie większą część zahipotekowanych sum wydano w postaci pożyczek od 150.000 do 400.000 mk., w Niemczech zaś (po za Berlinem) przeciętna wysokość pożyczki wynosiła 127.000 mk.

—micz.

Z miesiąca.

— **Pożar fabryki w Warszawie.** 17 Listopada o godz. 8-ej wieczorem, na rogu ulicy Wroniej i Żytniej Nr. 71, w posesji Maliniaka powstał pożar w fabryce obuwia mechanicznego Braci Kiper. Ogień przybrał groźne rozmiary i wkrótce objął cały dach. Silny dym z płonących skórek utrudniał w znacznym rozmiarze akcję ratunkową, którą w całej pełni zdołano rozwinąć dopiero po załaniu ognia strumieniami wody z sikawek parowych.

Po opanowaniu i umieszczeniu szalejącego żywiołu, dzięki położonym wysiłkom czterech oddziałów straży, zdołano ocalić od klęski niższe piętra. Wszystko, co było na poddaszu, spłonęło niemal doszczętnie.

Fabryka była ubezpieczona w trzech Towarzystwach, w tej liczbie i Warszawskim. Suma odszkodowania wynosi 175.000 rb. Prawie 400 robotników na razie pozostało bez zajęcia.

— **Z ŁÓDZI. Karygodna zabawa.** W 4-ym oddziale straży ochotniczej strażacy w dn. 22 Listopada zabawiali się strzelaniem z floweru do wróbli. Podczas tego żartowania, że taki mały nabój nie jest w stanie nic złego zrobić człowiekowi. Na dowód, strażak Andrzej Marczałek, kazał swemu towarzyszy, Andrzejowi Kowalskiemu strzelić do siebie, co też ten i uczynił. Strót utknął w mięsnej części nogi. Skutki tej próby były fatalne, gdyż nastąpiło zakażenie krwi, które spowodowało śmierć. Kowalskiego pociągnięto do odpowiedzialności sądowej.

— **Pożar fabryki J. Frageta w Warszawie.** Dnia 26 Listopada rano w fabryce wyrobów platerowanych pod firmą Józef Fraget, przy ulicy Elekoralnej Nr. 16, zauważono groźny pożar.

Pożar powstał w dwupiętrowym budynku na tyłach wąskiego i długiego dziedzińca i niewątpliwie szerzył się w ciągu nocy.

Okolo godziny 6^{1/2} rano w oknach I piętra zauważono niezwykłą jasność i usłyszano trzeszczenie szyb. Jednocześnie ujrano jasność w oknach II piętra. Z chwila, gdy, wskutek przepalenia się okien, nastąpił dopływ świeżego powietrza, ogień zaczął szerzyć się z zaskakującą szybkością i po upływie kilku chwil płomienie wystąpiły ponad dach.

Zaznaczyć należy, iż na I piętrze budynku mieściła się tokarnia, na II-em zaś polerownia i szlifiernia.

Pierwszy przybył oddział Mirowski, akcja ratunkowa jednak, wskutek żaru, dymu i ciasnoty dziedzińca była wielce utrudniona.

Wkrótce zjawily się na miejscu pozostałe oddziały, oddział Praski ustawiono zaś na Placu Zamkowym w pogotowiu.

Wobec zaznaczonych już trudności, ustawiono siłkawkę na ulicy i przeprowadzono linję węzów, wynoszącą kilkaset lokci długości.

Po upływie mniej więcej dwóch godzin ogień zlokalizowano, tak, iż oddziały straży cofnięto do koszar o godzinie 10-ej rano.

W warsztatach i na poddaszu znajdowało się mnóstwo przedmiotów wartościowych, które przeważnie uległy zniszczeniu. Straty w zniszczonym budynku i materiałach wynoszą przeszło 200.000 rb., z czego zaledwie część będzie pokryta przez ubezpieczenie, fabryka bowiem była asekurowana nie w całej wartości.

Fabryka była ubezpieczona w Warszawskiem Towarzystwie.

Wobec tego, iż pożar nie dotknął głównych oddziałów, produkcja fabryki nie uległa przerwie.

— Pożar kopalni nafty. W Broklinie (Ameryka Półn.) wybuchł pożar w kopalni nafty. Trzy dzielnice miasta stanęły w ogniu. Skonsygnowano całą straż ogniową. 16 strażaków odniosło rany ciężkie, a 3 zginęło w płomieniach.

Redaktor i Wydawca

Blum

WARSZAWSKIE

Towarzystwo Ubezpieczeń od ognia

założone w roku 1870.

Prezes T-wa Baron Leopold Kronenberg, Dyr.-Zarządzający Andrzej Świętochowski,
Dyrektor Paweł Górski.

Kapitał
zakładowy 2.000.000 Rb.

Kapitały
gwarancyjne 4.000.000 Rb.

Roczny zbiór
premji 8.600.000 Rb.

W ciągu lat 41 istnienia Instytucji wydano ubezpieczonym 1.850.000 polis, wypłacono odszkodowań 95.000.000 rubli

— przy ogólnej liczbie 51.000 pożarów. —

Ogólna liczba współpracowników łącznie z Agentami wynosi

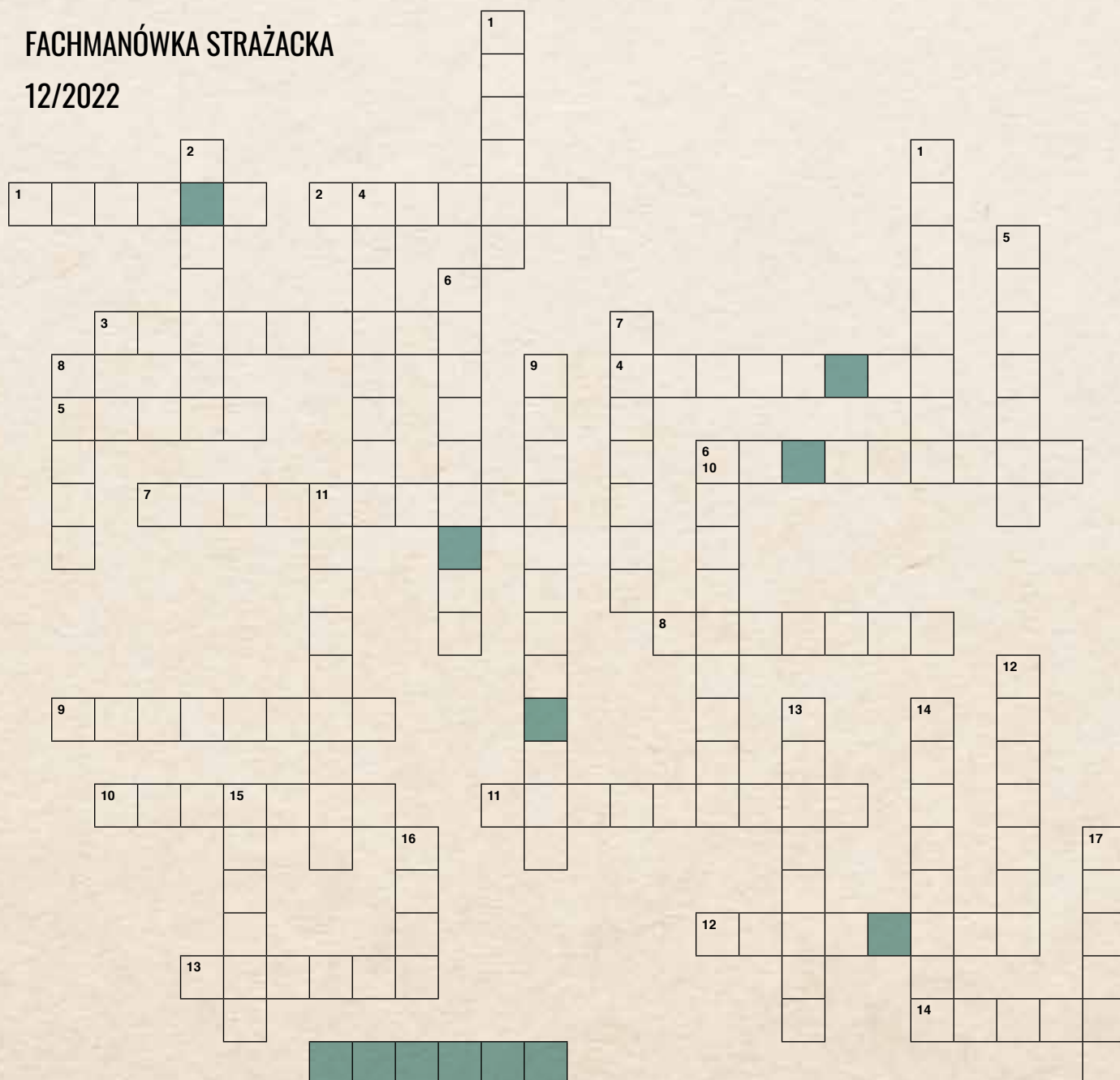
— przeszło 1000 osób. —

Dyrekcja T-wa w Warszawie, Krakowskie Przedm. № 7.

Ajenty i Oddziały T-wa znajdują się we wszystkich
ważniejszych miejscowościach Królestwa i Cesarstwa.

FACHMANÓWKA STRAŻACKA

12/2022



Dawniej liczyło się przede wszystkim to, aby mieć fach w ręku. Większość prac wykonywano ręcznie – stąd mnogość zawodów, które swoje nazwy brały często od związanych z nimi czynności lub wyrabianych przedmiotów.

W opisach haseł podano efekt pracy poszczególnych zawodów, a w diagramie krzyżówki należy wpisać poprawną nazwę profesji. Z liter w polach oznaczonych kolorem należy ułożyć nazwę zawodu i podać, czym się zajmował ktoś, kto go wykonywał.

POZIOMO:

- 1 kielbasa
- 2 miód
- 3 dzwon
- 4 kapelusz
- 5 podkowa
- 6 cholewka
- 7 ujeżdżony koń
- 8 moneta
- 9 portfel
- 10 ołtarz
- 11 koło
- 12 zbroja
- 13 głośne obwieszczenie
- 14 matryca tekstu

PIONOWO:

- 1 umowa
- 2 nieć
- 3 armata
- 4 obcas
- 5 półtusza
- 6 zamek i klucz
- 7 węgiel drzewny
- 8 sukno
- 9 oprawa książki
- 10 cynowa flaszka
- 11 pożyczka na wysoki procent
- 12 beczka
- 13 podwozie
- 14 futro
- 15 drewniany dom
- 16 piec
- 17 siodło



Tak powstawała



nasza okładka

